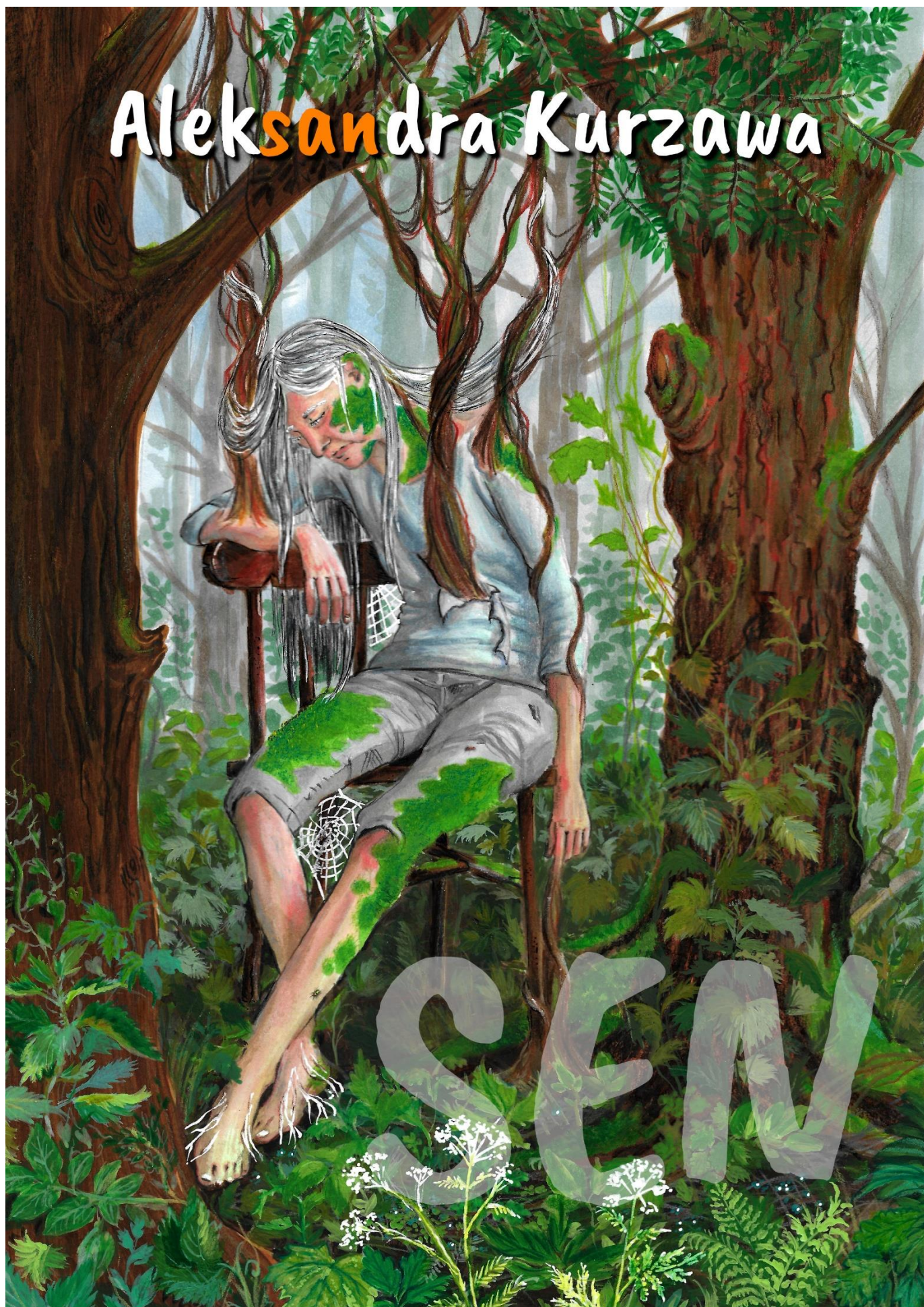


Aleksandra Kurzawa



Aleksandra Kurzawa

SEN

akurz@interia.pl

tel: 661 231 233

SPIS POSTACI

(znani z imienia)

KLANY

KLAN PSA

Machdik Majtrej – uważany za wybrańca

Demir – „starszy brat”, opiekun i nauczyciel Machdika

Jaras – przyjaciel Machdika

Majtrej – ojciec Machdika, członek rady klanu

Bahija – matka Machdika

Chetan – członek rady klanu, obsługuje pompę

Piran – kierowca rokona

Oriana – członkini rady klanu, córka urzędnika spoza klanu

Babka Szechna – szamanka, członkini rady klanu

Dziadek Babur – jeden ze starszych mieszkańców wioski

KLAN DRZEW

Zerah – przywódca wioski

Raja – żona Zeraha, „rosnąca”

CZUWAJĄCY – KLAN BLIŹNIACZYCH SERC

Eilís Finnegan, Énna Hayden, Blánid i Darina – mieszkańcy osady

Siobhan i Phelan – kapłani

Wynn – mężczyzna pozbawiony serca więzi

KLAN ŚLEPCÓW – ŚPIEWAJĄCA RODZINA

Anaru – jeden z mężczyzn

Manaia – jedna z kobiet

NOCNI WĘDROWCY

Sovanna – przewodnicząca

Chenda – jeden z obrońców

KLAN WIECZNEGO OGNI

Jovan, Davor, Sanja, Cvetka – dzieci

WSCHODNI WĘZEL

Gyuri Saz – ambasador o skórze nosorożca

Edina Fehér – jedna z kobiet

Vili Halász – młody czempion ludu ze skórą nosorożca

CENTRUM MIASTA

„SZKOŁA”

Ransam Saphed – lider grupy

Karan – kolega Ransama

Ove – wysoki chłopak mieszkający w „szkole”

Louise – dziewczyna ze „szkoły” zajmująca się chorymi

Hayley – dziewczyna pomagająca wymyślać stroje Aii

RUCH OPORU

Johtaja – przywódczyni ruchu oporu

Hiiri – asystentka Johtai

Valko – pulchny chłopak, który świetnie strzela

Zyanya – ciemnoskóra kobieta w średnim wieku

ELITA

Eco Moonlight – zarządczyni Miasta

Torelli – należy do świty zarządczyni

Jaana Poliszenko – dama żyjąca w dzielnicy dla bogaczy

Jacqueline – służąca pani Poliszenko

Caelia i Frank Valentini – młode małżeństwo, sąsiedzi pani Poliszenko

pan Blumenthal – starszy pan zwany Dziadkiem

Charles – służący pana Blumenthala

NIEŻYJĄCY

Mathis J. Carthy, Alan T. Ring – naukowcy

Abreu – polityk

Roger Johnson – polityk

INNE

Sydonia i Eliza – pseudonimy Aii i Hiiri

SŁOWNICZEK

Dooies – nieumarłe stwory wysysające życie z istot żywych.

Pyl – źródło energii.

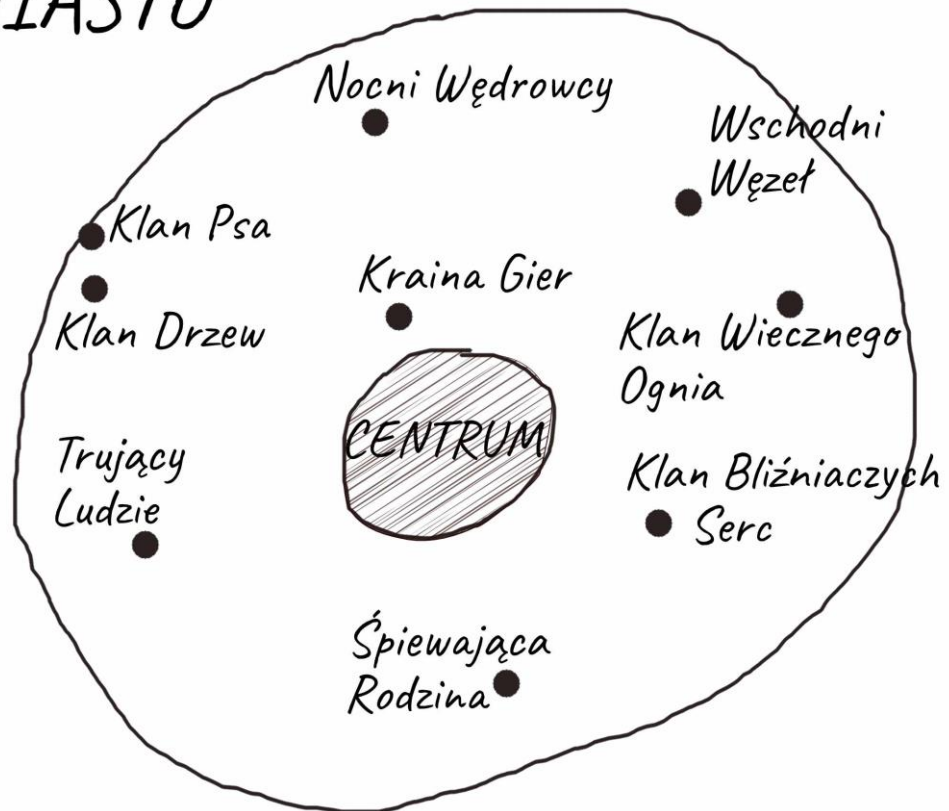
Serce więzi – określenie osoby należącej do pary empatów z Klanu Czuwających. Każda osoba w parze jest sercem więzi dla tej drugiej.

SPIS TREŚCI

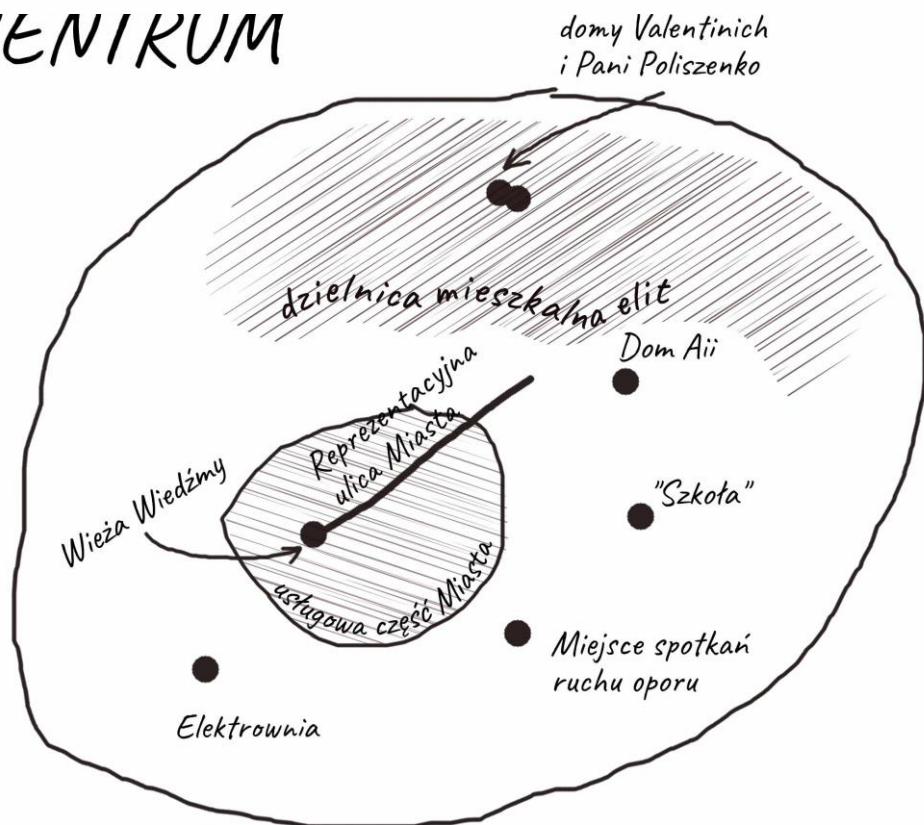
SPIS POSTACI	3
SŁOWNICZEK.....	5
MAPY	7
ROZDZIAŁ 1. Klan Psa.....	8
ROZDZIAŁ 2. Przebudzenie	20
ROZDZIAŁ 3. Drzewa	30
ROZDZIAŁ 4. Tożsamość	44
ROZDZIAŁ 5. Kraina Gier	56
ROZDZIAŁ 6. Więzy i kontakty	71
ROZDZIAŁ 7. Ruch oporu	87
ROZDZIAŁ 8. Celebrytka.....	117
ROZDZIAŁ 9. Księżycowa Wiedźma	132
ROZDZIAŁ 10. Ci, którzy mają moc	149
EPILOG – Miasto	163

MAPY

MIASTO



CENTRUM



ROZDZIAŁ 1. Klan Psia

Zanim otworzyłam oczy, usłyszałam głosy, kroki, szuranie i szum wiatru.

– Hej! Patrzcie, tu leży człowiek.

– Żyje?

Ktoś zaczął mną potrząsać.

– Słyszysz mnie? Hej, obudź się. Boli cię coś?

– Mm... Jeszcze pięć minetek. – Nie chciało mi się wstawać. Świadomość z trudem przebijała się przez warstwę otępienia.

– Spadła? Chyba strop się zarwał.

– Kto wie, nie ma żadnych widocznych obrażeń. Ej! Spójrz na mnie. Możesz się ruszyć? – Ktoś zaczął poklepywać mnie po policzku.

Posłusznie otworzyłam oczy. Ujrzałam nad sobą szczupłą twarz mężczyzny o trudnym do określenia wieku. Jego skóra była poznaczona siateczką drobnych zmarszczek, ale raczej nie przekroczył czterdziestki. Przywodził na myśl drapieżnego ptaka, a wrażenie to potęgowało przenikliwe spojrzenie szarych oczu. Mężczyzna miał kilkudniowy zarost i szpakowate włosy.

– Chyba jest w szoku. – Z lewej strony stał chłopiec, zaglądający mężczyźnie przez ramię. Miał śniadą skórę i regularne rysy. Nieduży prosty nos, wyraziste oczy i ładnie wykrojone usta cieszyłyby oko estety. Po prawej kucał drugi, nieco mniej urodziwy, zdaje się w podobnym wieku. Obaj byli nieco rozczochrani i mieli ciemne włosy do ramion.

Poruszyłam palcami prawej ręki, pomerzałam stopami i uznawszy, że czuję się w zasadzie całkiem dobrze, wsparłam się na łokciu.

– Nie wstawaj jeszcze. Pozwól... – Mężczyzna ujął mnie delikatnie pod brodę i poświecił lampą przy oczach. – Żrenica reaguje – zawyrokował usatysfakcjonowany.

– Spadłaś z wyższego piętra? Czy może ogłuszył cię oderwany kawałek gruzu? – wysunął przypuszczenie jeden z chłopców.

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam nic takiego.

Usiadłam nieco wygodniej, rozglądając się, a najstarszy z trójki dokonywał skrupulatnych oględzin. Sprawdzał, czy nie mam śladów po uderzeniu w głowę, czy na pewno niczego sobie nie złamałam, czy nie mam jakichś wewnętrznych urazów. Rozkojarzona odpowiadałam na jego pytania półsłówkami i mruknięciami, przyglądając się miejscu, w którym się znajdowaliśmy. Siedziałam na stercie gruzu we wnętrzu dużego, zrujnowanego budynku. W

rzeczy samej strop nad nami zawalił się i było widać wysoko w górze sufit wyższego piętra. Miejsce zdawało się dość wiekowe. Roślinność zaczęła powoli zajmować betonowe wnętrza. Nie dostrzegłam żadnych drewnianych elementów. Nawet okna i przejścia były pozbawione ram i ościeżnic. Znajdowaliśmy się w dużym pomieszczeniu, do którego docierało światło dzienne. W oddali widziałam też plamę zieleni wskazującą, gdzie znajduje się wyjście.

– Co to za miejsce? – spytałam z ciekawioną.

– Stara fabryka. Dotąd sięga granica naszego klanu – odpowiedział mężczyzna, podając mi rękę i pomagając wstać.

– Jak masz na imię? – zagadnął przystojniejszy z chłopców.

– Nie pamiętam – zastanowiłam się. – W zasadzie to niczego nie pamiętam.

– Ja jestem Machdik. A to są Demir i Jaras. – Wskazał kolejno mężczyznę i rówieśnika.

– Nie wiesz, jak się tu znalazłaś? – spytał Demir, przewiercając mnie na wylot swoim szarym spojrzeniem. Pokręciłam głową bezradnie. – A gdzie mieszkasz? Też nie pamiętasz? Rodzina? Twój klan? – Na wszystko kręciłam głową. Podniosłam się ostrożnie wspierana przez Demira i przyjrzałam sama sobie. Ubrana byłam w jasne spodnie z kieszeniami, nijaki szary T-shirt i brązową kurtkę z kołnierzem. Zaczęłam przeszukiwać zakamarki odzieży. W wewnętrznej kieszeni kurtki znalazłam mały czarny prostokąt i kartę identyfikacyjną. Na karcie widniało zdjęcie dziewczyny o sympatycznej, acz przeciętnej okrągłej twarzy bez cech charakterystycznych. Brązowe włosy nosiła związane w koński ogon. Sięgnęłam dłonią w kierunku tyłu głowy i przeczesałam palcami pasmo włosów upiętych identycznie jak na zdjęciu. Poniżej podobizny był podpis: Aia Ring. Poza tym plastikową kartę pokrywały ciągi drobnych literek i cyfr oraz przezroczyste, wypukłe kształty kropek i kresek. Straciwszy zainteresowanie kartą, podałam ją Demirowi i sięgnęłam do kieszonki na lewym udzie. Wyciągnęłam z niej mały składany nóż. Ciekawostka. Demir oddał mi kartę i rzekł z pewną rezerwą:

– Aio, pozwól, że zaprowadzimy cię do siedziby naszego klanu. Mimo iż nie znaleźliśmy żadnych widocznych śladów, utrata pamięci wskazuje na jakiś uraz. Dobrze, abyś pozostała pod naszą opieką.

– Dziękuję. – Z wdzięcznością przyjęłam propozycję i uśmiechnęłam się ufnie.

– Nie wyglądasz na zmartwioną – zagadnął mnie Jaras, drugi z chłopców. Był bardziej piegowaty od Machdika i miał szerokie usta skłonne do uśmiechu.

– W zasadzie czuję się podekscytowana – przyznałam szczerze.

Chłopcy parsknęli rozbawieni, zaś Demir rzucił mi krzywe spojrzenie. Może nie powinnam tak mówić, tylko okazać więcej troski o swoją tożsamość? Ale jakoś nie czułam się przygnębiona.

Wyszliśmy ze zrujnowanego budynku w światło dnia. Okolicę porastała bujna roślinność, wszystko to, czego raczej nie spodziewamy się znaleźć w pobliżu fabryki. Trawy wyschły, liście powoli żółkły, a część już szeleściła pod stopami. Wciąż jednak było na tyle zielono, by skutecznie przesłaniać widoczność. Do tego niezbyt zimne, ale tchnące rzeźkością powietrze, wszystko wskazywało na początek jesieni. Odwróciłam się, by objąć spojrzeniem gmach budynku. Wysoki na trzy piętra, kanciasty, nieotynkowany. Jego wielkość ginęła z oczu.

– Gdzie jesteśmy? – zagadnęłam, gdy ruszyliśmy wydeptaną ścieżką w gęszcz lasu.

– Na obrzeżach Miasta – odparł krótko Machdik lekko się do mnie odwracając. Szliśmy gęsiego. Pierwszy Demir, potem Machdik, ja i na końcu Jaras.

– To jest miasto? – wyraziłam powątpiewanie.

– No. Sam skraj.

Dopiero teraz w świetle dnia mogłam się przyjrzeć ubraniom moich towarzyszy. Nosili spodnie i koszule o prostym kroju z burej, grubej tkaniny. Demir miał tunikę przewiazaną w pasie szarfą, chłopcy zaś krótkie, szerokie koszule zaszyte na piersi na skos. Wyglądały na znoszone, ale na brzegach ozdabiały je piękne, kolorowe hafty.

Maszerowaliśmy jakiś czas, aż dotarliśmy do spękanej jezdni, którą przecinał w poprzek bardzo wysoki stalowy płot. Widoczna przez oczka siatki kilkupasadowa droga stanowiła chyba dawny wyjazd z miasta. Nawierzchnia była w fatalnym stanie, przebijały przez nią, rozorawszy asfalt, chwasty i korzenie drzew. Zbliżyliśmy się do ogrodzenia, które wydawało ciche brzęczenie. Gdy dotarliśmy do narożnika Demir zatrzymał się i zwrócił do mnie:

– Jest tutaj taki fragment, który musimy przebiec. Dasz radę?

– Tak, myślę, że tak... Ale po co?

– Pozwól, że wyjaśnimy ci na miejscu. Musisz biec najszybciej, jak potrafisz, zgoda? Nie oglądaj się i nie zatrzymuj. Biegnij za Machdikiem i Jarasem, będę tuż za wami. Gotowi? – zwrócił się już do całej reszty. Chłopcy przytaknęli poważnie. – Teraz!

Wystartowałam jak strzała. Z satysfakcją oceniałam, że biegnie mi się lekko, nie mam zawrotów głowy ani nic mnie nie boli. Bez trudu utrzymywałam się tuż za plecami Jarasa. Biegliśmy ścieżką, osłaniając twarze przed sprężynującymi gałęziami. Wkrótce las się skończył, przeobrażając w gęste jeżynowe krzewy. Tylko gdzieniegdzie wystrzelały w górę młode drzewka. Niemal zgubiłam krok, gdy wypadliśmy na spękaną drogę, ledwie widoczną spod traw i mchów. Skruszały asfalt chrupał pod stopami. Po chwili zaobserwowałam zabudowania. Wbiegliśmy pomiędzy nie, nie zmniejszając tempa. Wyhamowaliśmy dopiero pod małą chatką, wybudowaną w pewnej odległości od reszty domów. Moi towarzysze dyszeli ciężko, ja nawet się nie zasapałam.

Zawiesiłam wzrok na rzędach budynków. Prezentowały się raczej mizernie. Jedno-, dwupiętrowe szeregowce i kilka rozrzuconych baraków. Tynk odpadał, farba wyblakła. Część okien pozbawiona szyb – ziała pustką. Mniejsze ubytki w murach uzupełniano lepikiem. Mury, które nie przetrwały próby czasu, rozebrano. Dachy były połatane jak patchwork. Kawałki blach, deski, glina... Wyraźnie brakowało materiałów. Niegdyś to mogło być osiedle, fragment miejscowości. Wciąż przez środek wiodła asfaltowa droga, częściowo już zasypana ziemią. W miejscu, gdzie staliśmy, znajdował się niewielki placik i ów osobliwy domek, przywodzący na myśl raczej skansen niż osiedle. Niziutki, parterowy, o nierównych glinianych ścianach, kryty cieniutkimi deszczułkami. Drewniane okiennice pomalowano w kolorowe wzory, a do jednej ze ścian przyklejony był zwalisty, okopcony komin.

– Machdiku, leć po babkę Szechnę – polecił Demir. Chłopiec zniknął w chatce, po chwili wyłonił się z powrotem, a za nim dreptała niziutka babuleńka.

Miała długie, siwe warkocze i opaloną twarz, pomarszczoną jak zgnieciona bibuła. Nosiła tak samo bure ubrania, jak poznana przeze mnie trójka, a całość wieńczyło udrapowane na ramionach skrzyżowanie wełnianego szala i poncho. Kobieta podpierała się na sękatym kosturze, który grzechotał garścią przywiązanych do niego koralików, szkiełek, kostek i wszelkiego rodzaju drobiazgu wyglądającego w gruncie rzeczy na śmieci. Babka minęła mnie, obdarzywszy długim spojrzeniem pełnym rezerwy. Oczy miała małe, lekko zmrużone, ale nie nosiła okularów. Podeszła do Demira i reszty. Wszyscy troje pochylili głowy, a babka, gestykulując kosturem i wolną ręką, wyszeptała niezrozumiałe dla mnie słowa. Kostur grzechotał przy każdym ruchu, rysując okręgi, by w końcu przemienić się na powrót w praktyczną laskę.

– Przedstaw się – zwróciła się do mnie szorstko.

W milczeniu podałam jej kartę identyfikacyjną. Babka obejrzała ją skrupulatnie, a oddając, spytała:

– Skąd jesteś?

Westchnęłam, sądząc, że znów będę odpowiadać na te same pytania.

– Nie pamiętam.

Babka Szechna tylko pokiwała głową.

– Amnezja?

Wzruszyłam ramionami. Staruszka zwróciła się do chłopców:

– Machdiku, pójdz po ojca i przyprowadźcie wszystkich członków rady klanu. Jarasie, pani Oriana jest na polu. Demirze, Chetan powinien być u siebie w domu. Powiedz, że mamy zebranie. A ty, Aio, chodź.

Podreptałam posłusznie za kobietą do wnętrza chatki. W środku większość miejsca zajmowały szeroki stół i ławy. Powął izdebki była niska, w dodatku tu i ówdzie zwieszały się z niej pęki ziół. W kącie znajdował się mały piec, na którym cicho bulgotała zupa. Na półkach stały gliniane i plastikowe naczynia. Na prawo od pieca lekko uchylone drzwi zdradzały przejście do sypialni. Obok umieszczono szafa, która była chyba stalowa, ale pomalowano ją na białe. Spod farby na rogach przebijała rdza. Za szafą zgromadzono stosik drewna. Podłoga była zrobiona ze zmieszanego z gliną tłuczonego gruzu i kamieni. Ubito je równo i okryto dywanem. Spod dywanu wystawała kłapa do schowka w podłodze.

– Herbaty? – spytała babka niemal życzliwie. Przytaknęłam, obawiając się, że odmowa spotkałaby się z dezaprobatą.

Podawała mi naczynie z dziwnie pachnącym naparem. Upiłam ostrożnie łyk. Mieszanina różnych ziół. Nie zdobyłam się na to, by prosić o cukier. Babka trochę krzątała się po izbie, by w końcu zasiąść u szczytu stołu i zagapić w okno. Jakiś czas później przybyli wezwani. Machdik uchylił drzwi i wpuścił barczystego mężczyznę. Zapewne był to ojciec chłopca, gdyż miał podobnie jak syn włosy do ramion i wesołe, błyszczące oczy. Rysy twarzy nieco zatarte przez bujny zarost mimo wszystko zdradzały wyraźne pokrewieństwo.. Za nim weszła wysoka kobieta o długim wąskim nosie i tak samo wąskich zaciśniętych ustach. Machdik wślizgnął się za nimi. Jarasa nie było. Obecni zasiedli przy stole, ciekawie zerkając w moją stronę. Skłoniłam głowę na przywitanie. Ojciec Machdika przyciszonym głosem wymienił kilka słów z siedzącą u jego boku kobietą. Po chwili przybył Demir z towarzyszącym mu starszym, siwowym mężczyzną. Lekko przygięty i niezmiernie chudy staruszek jako jedyny powitał mnie bladym uśmiechem. Obaj zasiedli przy stole.

Demir i Machdik zostali poproszeni o zrelacjonowanie wyprawy do ruin fabryki. Demir zwięźle przedstawił całe zajście, a Machdik nieproszony wtrącał swoje trzy grosze.

– Zatem – odezwała się babka Szechna, gdy Demir umilkł, – mamy tu przypadek amnezji. Dziewczyna nie wydaje się osłabiona i nie ma żadnych fizycznych urazów. Niemniej nie pamięta kim jest, skąd przybyła i po co. Pozostaje pytanie czy mówi prawdę.

Wzdrygnęłam się, a wszyscy utkwili we mnie spojrzenia.

– Dlaczego miałabym kłamać? Gdybym chciała to zrobić powiedziałabym, że przyjechałam tu z pobliskiego miasteczka.

– To dobry przykład. Dziewczyna faktycznie nie umie kłamać.

– Może przeżyła jakiś wstrząs bądź podano jej silny narkotyk – zaproponował ojciec Machdika.

– Co zamierzasz? – spytała kobieta o surowej twarzy.

– Jeszcze nie wiem.

– Aio – babka po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu – rada klanu musi się zastanowić co zrobić w twojej sprawie. Zaczekaj na zewnątrz. Będziesz miała do towarzystwa Machdika.

Chłopiec trochę się ociągał, ale posłusznie wstał. Wyszliśmy przed domek.

– Chodź, usiądziemy sobie gdzieś.

Nieopodał znajdował się krąg pod ognisko zabezpieczony kamieniami, a wokół stały ławki. Przysiedliśmy na jednej z nich.

– Nie wszyscy w klanie jesteście tacy. – Machdik uśmiechnął się przepraszająco. – Ale te stare przyki tak już mają. Dbają o dobro nas wszystkich.

– A co to za klan?

– Jesteśmy Klanem Psa. Okolice fabryki, ta wieś i pobliskie pola to nasza ziemia. Unikamy wychodzenia poza jej obręb.

– Dlaczego?

– Gdyż działa na nas klątwa. Jeśli przekroczymy granice klanu, zaczynają nas ścigać demony.

– To dlatego tak biegliliśmy z fabryki, aż tutaj? – domyśliłam się wreszcie.

– Tak, musieliśmy przebiec przez część ziemi niczyjej. Ty nic nie widziałas?

Zaprzeczyłam.

– Powiedziałaś wioska... To stare osiedle nazywacie wsią?

– Coś w tym dziwnego?

– Wcześniej wspominałeś, gdy byliśmy koło fabryki, że jesteście w Mieście. Miałaś na myśli las?

– Wszystko wokół aż do płotu to Miasto. Spójrz. – Młodzieniec narysował na ziemi patykiem okrąg – to jest płot okalający Miasto. My jesteśmy gdzieś tu, z brzegu. – Dźgnął patykiem w pobliżu linii okręgu. A tutaj, jest Centrum. – Dorysował mniejszy okrąg wewnątrz pierwszego. Rysunek przypominał jajko sadzone. – Centrum jest najbogatszą dzielnicą Miasta. Mają tam wszystko. Tak słyszałem. A wokół, w pozostałościach dawnej metropolii, mieszczą się inne ocalałe klany. – Dziabnął jeszcze kilka razy ziemię w „białku jajka”.

– Ocalałe? Jak to?

Zanim Machdik zdążył mi odpowiedzieć, drzwi chatki otworzyły się i ze środka wyszedł Demir, machając na nas. Podbiegliśmy prędko, wyhamowując przed samym progiem.

Gdy wróciliśmy na miejsca, odezwał się ojciec Machdika:

– Nazywam się Majtrej. Rada nie wątpi w twoją prawdomówność. Zgodziliśmy się także co do tego, że należy ci objaśnić sytuację.

Teraz pałeczkę przejął najstarszy z mężczyzn, do tej pory milczący. Mimo cherlawej postury miał wyrazisty, przyjemny głos.

– Dawno temu ludzie żyli w dostatku. Nie brakło im miejsca ani jedzenia. Nie musieli się martwić o okrycie ani schronienie. W tych czasach jednak walczyli ze sobą. Liczne miasta, ogradzano wysokim płotem, takim jak nasz, aby chroniły mieszkańców przed najazdami sąsiadów. Mimo to posiadając broń, pojazdy i energię ludzie zabijali się wzajemnie. Bóg, widząc niegodziwość, występki i rozpustę ludzi, rozgniewał się straszliwie. Sprowadził potężną klęskę. Zniszczył maszyny, uśmiercił trzodę i poraził człowieczy lud szeregiem klątw, po których ludzie skręcali się w konwulsjach, wyrastały im dodatkowe członki, cierpieli i umierali na okropne choroby... – Mężczyzna z ukontentowaniem opisywał kolejne nieszczęścia, jakby delektując się makabrą i brzmieniem własnego głosu. – Jednak miłosierny Bóg zaprzestał w końcu dręczenia swych dzieci. Nie zamierzał cofnąć kary, jednak powstrzymał dalszy rozwój deformacji i chorób, dzięki czemu nasze Miasto ocalało. Tak powstały różne klany, w tym Klan Psa. Jesteśmy wdzięczni Bogu za łaskę i upatrujemy w przyszłości naszego odkupienia. Bowiem niedługo po bożym pogromie przybył do nas prorok, który obiecał, iż pojawi się wybraniec zdolny nas ocalić.

Słuchałam osłupiała, nie śmiać przerwać.

– Choć ta historia może zdać się tobie zwykłą opowieścią – wtrąciła wysoka kobieta i zadeklamowała z emfazą – jest to najszczęsza prawda. Gdy ludzie zaczęli chorować i się zmieniać, zrozumieliśmy, że to kara za arogancję, butę i niegodziwość nas wszystkich. Klątwa pełzła niczym jad pająka po niciach jego sieci. Im dalej od pająka, tym zajadlej i dotkliwiej kęsały nas skutki klątwy. Ale cierpienie nasze było zbyt wielkie, dlatego dobry Bóg zlitował się nad nami. Ucałował swe dzieci, by zahamować działanie klątwy. Na ogrodzenie otaczające Miasto rzucono czar, który pomaga odstraszać dooies i wszystko to, co grozi nam z zewnątrz. Albowiem poza ogrodzeniem wszystko przepadło i zginęło wszelkie życie. Nas uratował litościwy Pocahunek Boga. Jesteśmy Ocalałymi, którzy dostali drugą szansę.

– Dziękuję, Chetanie, Oriano – teraz z kolei wątek podjęła babka Szechna. – Jak widzisz, nie mogłabyś przybyć spoza miasta. Ani z miejsca oddalonego o sto kilometrów, ani nawet o dwa, gdyż Miasto jest jedno jedyne. Za płotem zaś mieszkają głodne potwory, czekające aż jakaś żywa dusza wyściubi nos poza ogrodzenie. Pył, dzięki któremu niegdyś wszystko działało, rozproszył się. Od osiemdziesięciu dwóch lat żyjemy w zamknięciu, w bezpiecznym zamknięciu. Szpital, do którego chciałaś się dostać, znajduje się w Centrum miasta. To bogata, najludniejsza dzielnica, którą włada Księżycowa Wiedźma. Tylko ona potrafi korzystać z mocy

pyłu. Ale skwapliwie obdarowuje nią tylko swoich popleczników. Dlatego proponujemy ci, abyś pozostała z nami, w Klanie Psa. Przynajmniej póki nie powróci twoja pamięć.

– Dziękuję – odparłam po chwili. Na nic więcej nie mogłam się zdobyć. Miałam mętlik w głowie. Czułam, jak powoli rodzą się kolejne pytania, ale jak na razie nie potrafiłam ich wyartykułować.

– No dobrze. – Babka Szechna podniosła się ze swojego miejsca. – Myślę, że na razie wystarczy. Póki co, gdzieś cię ulokujemy. Majtreju, czy u was w domu znajdzie się wolny pokój? – Od razu wydała mi się jakaś bardziej ludzka.

– Muszę zapytać żonę o zdanie, ale sądzę, że nie będzie problemu. – Zerknął na mnie z uśmiechem. Nieśmiało odpowiedziałam tym samym. Przyszło mi do głowy, że zapewne zdążyli już to wszystko uzgodnić, ale na moją potrzebę odgrywają kurtuazyjną scenkę.

– Bardzo dziękuję. Nie zajmę dużo miejsca. I przepraszam za kłopot – skłoniłam się lekko. W końcu nie warto robić sobie wrogów, wśród ludzi, z którymi najwyraźniej przyjdzie mi mieszkać.

– Aio, utrata pamięci to nie przelewki. – Babka Szechna chwyciła mnie za łokieć gdy, sposobiałam się do wyjścia. – Dobrze, aby ktoś zawsze ci towarzyszył. Póki nie będziemy mieć pewności, że twojemu zdrowiu nic nie grozi.

Babka utkwiała spojrzenie w Machdiku. Jeden wdech zajęło mi stwierdzenie, że chłopiec ma mnie pilnować. Mimo wszystko nadal mi nie ufają. Poczułam się trochę jak przestępca.

Spotkanie dobiegło końca. Starszy mężczyzna, który wcześniej wziął mnie w obronę, wyszedł pierwszy, za nim Demir. Kobieta zwana Oriana rozmawiała cicho z babką.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, zapytałam Machdika o członków rady.

– Babka Szechna, Oriana, mój ojciec i Chetan. Stanowią radę klanu. Na posiedzeniach często jest także Demir. Krążą słuchy, że w przyszłości może do nich dołączyć. Wspólnie decydują o różnych rzeczach w imieniu większości. Kiedy siać, czy coś wybudować, jak rozsądzić spór i tak dalej. Chetan zna się trochę na technice. Umie obsługiwać pompę i dogląda ogrodu czy gdzieś przypadkiem nie zostało zerwane. A Oriana jest córką urzędnika, który kiedyś przybył z Centrum Miasta. Jej też dotyczy klątwa, ale nie widzi demonów, dlatego nie opuszcza wioski nawet na krok – opowiedział mi Machdik, nachylając się za plecami ojca.

Chyba zdziwi mnie jeszcze sporo rzeczy. Podążałam za panem Majtrejem, rozglądając się wokół z zaciekawieniem. Już domyślałam się, dlaczego budynki przypominają domy Frankensteina. Skoro nie mogą opuszczać pewnej przestrzeni, zasobność materiałów jest ograniczona. Czasem odnajdowałam elementy ozdobne – snycerka w drewnie, gliniane rzeźby, haftowane zasłony w oknach i malunki na pobielonych wapnem ścianach. Starano się ozdobić

wioskę mimo niedostatku materiałów. Choć dostrzegłam też sporo śmieci, żelastwa i gruzu. Część domów się osypywała, a spod fragmentów betonu i asfaltu wyłaziły trawy i korzenie. Wyglądem otoczenia przejmowano się najwyraźniej połowicznie. Przestrzeń w wiosce była wykorzystana maksymalnie. Wszelkie wolne miejsca między domami zajmowały grządki roślin i zagrody dla nielicznych zwierząt. Długie pnącza dyni i cukinii ulokowano na balkonach niezamieszkałych budynków. Część grządek była wręcz piętrowa. Faktycznie przypominało to wieś wewnątrz Miasta. Ciekawa byłam, jak wyglądają inne rejony.

Przybycie ojca pani Oriany było dowodem, że kontakt z resztą Miasta nie był zupełnie zablokowany. Przypuszczałam, że mogły zachodzić jakieś wymiany towarów, ale raczej nieczęsto i w niezbyt dużej ilości. Zamknięte Miasto nie oferuje wiele.

Dom Majtrejów usytuowany był w jednym z szeregowców, które kiedyś musiały stanowić osiedle. Większość sąsiednich budynków mocno nadgryzł czas. Wilgoć i temperatura dały się we znaki dawnym materiałom.

Weszliśmy w zacisze domu, gdzie napotkaliśmy matkę Machdika, więc w dużym skrócie wyjaśniliśmy całą sytuację. Zostałam ulokowana w jednym z pokoi na piętrze. Czuć było dymem – chyba stale palono w kominku. Toaleta była na zewnątrz. W zasadzie bardziej wygodka, wspólna dla kilku domów, za to w miarę czysta. Widocznie kanalizacja działała jako tako.

Prądu, jak się prędko dowiedziałam, nie było. Nie było mowy o telewizji czy telefonach. Ludzie musieli wrócić do najprostszych rozwiązań. I radzili sobie, wykorzystując to, co skromnie oferowało otoczenie. Dostrzegłam kominki, paleniska i lampy jakby naftowe. Z ciecżą w środku i knotem ze sznura.

Nie czułam się zmęczona ani nie miałam ochoty siedzieć w zamknięciu. Postanowiłam poszwendać się po okolicy. Towarzyszył mi Machdik. Czy ze względu na polecenie starszyny, czy z własnej woli, było mi obojętne. Cieszyłam się z kompana, którego zasypywałam pytaniami o wszystkie drobiazgi. W końcu usiedliśmy na dachu okrągłego, metalowego silosu, skąd widać było spory fragment wioski.

– Wszystko jest dla mnie dziwne i nowe. Nic nie pamiętam, a jednak mam jakąś wiedzę. Na przykład zaskoczył mnie ten brak prądu.

– W Centrum Miasta podobno działają światła. – Machdik wskazał dłonią ponad dachami domów. – W nocy widać łunę. Ojciec twierdzi, że to Księżycowa Wiedźma zapewnia dostatek dzięki swojej mocy. Do nas to... nie dociera.

– No właśnie, Księżycowa Wiedźma. Kim ona jest?

– Władza Miastem. Ma swoją policję i stanowi prawo w Mieście. Może robić, co jej się żywnie podoba, bo jest potężna i bogata. Słyszałem, że ci, którzy nie chcą się jej podporządkować zostają po prostu zabici.

Skrzywiłam się i popatrzyłam na chłopca z lękiem.

– Nie boicie się?

Machdik wzruszył ramionami.

– Jesteśmy tylko biednym klanem na samym skraju Miasta. Czego mogłaby od nas chcieć? Nie interesują jej peryferia. Zdaje się, że nigdy nie opuszcza Centrum.

– Czy jeśli wasz klan jest na obrzeżach, to znaczy, że macie blisko do ogrodzenia? Tego, które chroni Miasto?

Chłopak przyjrzał mi się podejrzliwie.

– Do czego zmierzasz?

– Mógłbyś mi pokazać ogrodzenie? Chciałabym zobaczyć, jak wygląda świat na zewnątrz.

– Chyba nie chcesz wychodzić...

– Nie, skąd. Niby po co? Chcę tylko popatrzeć. – Uśmiechnęłam się prosząco. Mój strażnik zmrużył oczy, jakby próbował się doszukać podstęp. W końcu jednak się rozpogodził.

– Dobra, chodź! Tylko szybko. Będą się gniewać, jeśli dowiedzą się, że podeszliśmy do płotu tak blisko.

Zeskoczyliśmy z silosów i chyłkiem, krzaczorami, przemknęliśmy na tyły wioski. Czepiały się mnie rzepy i dzikie, wyschłe jeżyny, ale byłam podekscytowana konspiracją, więc mi to nie przeszkadzało.

Przebiegliśmy pochyleni wśród wysokich traw i gdy Machdik dał sygnał, wspięliśmy się na niewielki nasyp, po czym zniknęliśmy za górką. Tam na chwilę zatrzymaliśmy się, by odsapnąć, szczerząc się do siebie jak siedmiolatki podkradające ciasteczka. Wtedy ujrzałam ogrodzenie.

Wyglądało rozczarowująco normalnie. Wysoka podwójna siatka o dwucentymetrowych oczkach zwieńczona drutem kolczastym. Co parę metrów na słupkach migały kanciaste urządzenia wydające co parę sekund bardzo delikatny pisk.

Teren za płotem porastały trawa i chwasty podobnie jak na tym skrawku. Widać było też sporo śmieci. W oddali jakiś stary zarośnięty pnączem, zardzewiały samochód, zrujnowana budowla, a w zasadzie kupa cegieł i pustaków. Stos starych blach falistych i płachty papy.

– To wszystko? Czy to aby na pewno jest zabezpieczenie? – Byłam pełna wątpliwości, a wtedy coś przykuło mój wzrok. W oddali znajdowało się kilka drzew i wzgórze, zza którego dostrzegłam ruch. Czarną smugę, która wystrzeliła w górę i znikła w mgnieniu oka.

– Co to!? – Wskazałam palcem, ale choć wyteżaliśmy wzrok, nic nie było widać. Już zaczynałam tracić zainteresowanie, gdy usłyszałam daleki dźwięk. Coś jak skowyt albo charkot. Wtedy cień pokazał się znowu. Zanurkował gwałtownym uderzeniem, prędej i gwałtowniej niż pikujący myszołów. Skowyt nasilił się, a po chwili smuga uniosła się po raz wtóry, dźwigając jakiś ciężar. Z pewnością zwierzę, sarna, może jakaś zdziczała koza lub coś o krótszych nogach. Trzymało ją coś, co przypominało w dalszym ciągu obłok czarnego materiału. Jakby zwierzę zostało zaatakowane przez poszarpany czarny prochowiec. „Prochowiec” zawisł na moment w powietrzu, a ja poczułam na sobie coś jakby spojrzenie, po czym dziwo znikło za pagórkiem.

Wszystko działo się w odległości może dwustu metrów od nas, w ciszy zakłócanej naszymi oddechami, piszczeniem ogrodzenia i cykaniem świerszczy.

– Co to było? – zapytałam szeptem, zamarła w bezruchu i cała spięta. Spojrzałam kątem oka na mojego towarzysza. Machdik zbladł wyraźnie.

– Dooies.

– Co to takiego?

– Nieumarli. Mówiliśmy ci o nich, to wypaczona pozostałość po ludziach.

– To był człowiek? – Dotarła do mnie zgroza tego faktu. Machdik ruszył z powrotem, ciągnąc mnie za kurtkę.

– Dawne wspomnienie po człowieku. Dawno i nieprawda. Klątwa bezlitośnie doświadczyła ludzkość. Zagadką jest, kto właściwie zamienił się w dooies. Ale jeśli zdarzyli się odporni albo ucałowani przez Boga jak my, dooies zapewne i tak ich pożarły.

– To one jedzą ludzi? Nie zachowały świadomości?

Machdik przewrócił oczami. No pewnie, kto byłby tak dumny, aby przeprowadzać badania na tak niebezpiecznych istotach.

– Dooies wypijają z istot ich życiową energię. Nie można ich zabić, nikomu się to nie udało, są szybkie i tylko ogrodzenie trzyma je na dystans. Bliżej, niż widziałas, nie podchodzą, ale lepiej ich nie kusić i nie przesiadywać zbyt blisko ogrodzenia.

Wzdrygnęłam się i objęłam ramionami.

– Czaję. Nie podchodzić... Nie zamierzam. Wiesz, to może lepiej się rozdzielić, żeby nas nie przyłapali, że się włączymy tutaj. Mógłbyś mieć przeze mnie kłopoty.

– Niespecjalnie. – Machdik odzyskał już kolory na twarzy i uśmiechnął się zawadiacko. Zaraz jednak usłyszeliśmy głos jego matki, który sprawił, że aż schował głowę w ramionach.

– Maaaaachdiiiiik!...

– Kurczę, wołają mnie.

– Leć. Ja pójdę naokoło.

Patrząc za oddalającym się susami chłopakiem, zastanowiłam się po raz wtóry, w jakim może być wieku. Zapomniałam zapytać. Wyglądał na piętnaście lat, a mimo to miał nad sobą chyba spory nadzór. Dlaczego? Nie chciałam być wścibska. Zaczynałam się powoli przyzwyczajać do tej myśli, że jestem jakby w przyszłości. Tak jakbym pojechała do innego kraju na przeciwny koniec globu i oswajała się z obecnością w nowym miejscu. Bardziej właśnie odczuwałam psychiczny dyskomfort wobec czasu, w jakim się znalazłam niż wobec samego miejsca.

Minęłam silosy i przeszłam tyłami wioski wzdłuż linii domów. To zaplecze wsi, jednolicie zarośnięte i jałowe, musiało być niekorzystne do upraw. Poszurałam butem w ziemię. Skruszały beton, trochę starego asfaltu. Może był tu parking?

Snując nieco abstrakcyjne, senne rozmyślenia, doszłam do domu, pozbawionego tylnej ściany. Fasada wciąż wychodziła na uliczkę, ale bok zupełnie się rozpadł. Przez to chatka wyglądała trochę jak dom dla lalek. Użyteczne sprzęty zostały wyniesione, ale pozostawiono stary sprężynowy materac, w zdezelowanym zardzewiałym łóżku. Rama skrzypiała i ugiwała się pod moim ciężarem, gdy usiłowałam usiąść. W końcu łóżko poddało się i materac opadł do samej ziemi. Było mi jednak dziwnie wygodnie. Umościłam się, kładąc ręce pod głowę i obserwując pnące rozchodzące się po suficie. Nie wiedząc kiedy, odpłynęłam w sen.

ROZDZIAŁ 2. Przebudzenie

Otworzyłam oczy zdრётwiała i zaspana. Wciąż było ciemno. Poruszyłam ręką, a ta natrafiła na ścianę i rozległ się metaliczny brzęk. „Co jest?” W rozespaniu szarpnęłam się i wyciągnęłam przed siebie ręce, macając na oślep. Ściana, ściana, metal... Rozpaczliwie naparłam ramionami na przód. „Cóż to, zamknięto mnie? Trumna!” – pomyślałam ze zgrozą. Ale ściana odskoczyła w zawiasach, okazując się drzwiczkami szafy. „Co ja, do licha, robię w szafie? To jakiś dowcip?”. Wyszłam do słabo oświetlonego korytarza jakiegoś budynku. Może jeszcze mi się śni? Gdzie ja jestem? A gdzie powinnam być?

Umysł zaskoczył na dobre, przywracając mnie rzeczywistości. Zasnęłam gdzieś w wiosce Klanu Psa. Więc co to ma znaczyć? Czy to Klan Psa tak mnie urządził? Westchnęłam, gratulując sobie, że udało mi się zapamiętać przynajmniej poprzedni dzień. Hurra! Już mam jeden dzień wspomnień. Rozejrzałam się wokół strapiona. Korytarz w dwie strony, drzwi gdzieś w oddali. Z jednego małego prostokątnego okienka wlewało się słabe, szare światło. Wzdłuż ściany Za moimi plecami ciągnął się rząd szafek, trochę jak w szatni. Szafka, z której wyszłam, była niemal pusta. Na ziemi leżały stare papiery i pomięta gazeta. Podniosłam ją, otrzepując z brudu. Przedtem na niej stałam.

„Rok 2072, marzec. W Państwie A załamanie na giełdzie. C budują nową stację na planetoidzie W40. R nie zgadza się oddać miasta K... Odkryto nowy gatunek małża, ponoć zupa z niego poprawia odporność i pomaga w leczeniu w chorobach układu krwionośnego, Nicolas Renis wygrał turniej tenisa na poziomie międzynarodowym po ostatnim meczu, który trwał prawie 10 godzin w trzech setach: 7:6(4), 6:2, 7:6(6)...”

To wydaje mi się jakieś bliższe. Może nie konkretnie znajome, a mimo to swojskie. Pozostałe kartki były pokryte wykresami i obliczeniami, których nie rozumiałam.

Nic mi to nie mówiło. Zostawiłam makulaturę w szafce i poszłam szukać wyjścia.

Jedyne otwarte drzwi, na jakie natrafiłam, wiodły na kolejny korytarz, a następnie do ciemnego pomieszczenia, w którym potykałam się co rusz o szafki, przewrócone krzesła i różne inne przedmioty. Szurając butami po betonie i kierując się odrobiną światła, dotarłam do okien zabitych od wewnątrz deskami. Przez szczeliny wypatrzyłam ciemniejące, zmierzchające niebo i światła. Spróbowałam wyrwać osłony, aby rozjaśnić wnętrze. Poskutkowało na tyle, że przedostałam się na drugi koniec pomieszczenia do następnych drzwi. Na chwilę poczułam zew paniki, gdy drzwi nie chciały ustąpić. Ale użyłam więcej siły i z okropnym zgrzytem udało mi się je uchylić na zewnątrz. Z trudem, bo drogę zagradzały śmieci. Znalazłam się w brudnym

zaułku, do którego ledwie wpadała resztką dziennego światła. Wyszłam stamtąd na ulicę i oniemiała otworzyłam szerzej oczy. To nie była wioska Klanu Psa. To było wciąż Miasto, ale jakieś zupełnie inne miejsce. Co do diaska?

Przede mną rozciągała się pusta ulica, trochę zaśmiecona i słabo oświetlona, ale zrozumiałam, że jestem na tyłach głównych budynków. Coś jak magazyny, zaplecza sklepów. Na murze naprzeciwko widniała przerdzewiała tabliczka „ulica F”. Ponad dachami najbliższych budynków widziałam pasy światła i smukłe linie wieżowców. Dochodził do mnie także zgiełk maszyn, głosy ludzkie, hałasy, stukania, odległa syrena, zniekształcona odległością muzyka... Ruszyłam w kierunku tego miejskiego harmidru. Szłam jak zaczarowana, przyciągana coraz bliżej, jak ćma do światła. Przeszłam zaułkami i przechodniakami na przełaj, przez kolejne ulice. Kilkoro ludzi, jakich mijałam, nie zwróciło na mnie szczególnej uwagi. Potrąciłam kosz na śmieci, strasząc gromadkę szczurów i zaropiałego kota. Wreszcie wyszłam na szeroki plac, który aż jaśniał od wieczornego życia.

Większość ludzi przemierzała się spiesźnie w różnych kierunkach, niemniej gdzieś widziałam grupki przycupnięte przy fontannach, na ławkach czy na skwerkach. Było trochę samochodów, ale jeździły także rowery i riksze. Mimo braku typowego hałasu ulicznego zewsząd dochodził mnie zgiełk muzyki, a nad głowami ludzi wirowały kolorowe światła.

Założyłam ręce za siebie i zaczęłam spacerować, starając się wyglądać nienerwowo i zupełnie naturalnie. Ale niepokoiłam się niepotrzebnie, nikt nie zwracał na mnie specjalnej uwagi. To tylko moje wewnętrzne poczucie, że pasuję tu jak kwiatek do kożucha.

To co zobaczyłam, wywołałoby zapewne zazdrość ludzi z Klanu Psa. Sklepiki i kawiarnie lśniły kolorowym blaskiem sztucznego oświetlenia. Ludzie nosili znacznie lepsze gatunkowo stroje, czasem bardzo ekstrawaganckie. Z głupią miną śledziłam wzrokiem dwie postaci ubrane w jaskrawe kreacje, z zabawnymi szpiczastymi kapeluszami, bufkami na ramionach, wykraczającymi poza rozsądek i dobry gust. Na dokładkę jedna z osób miała pelerynę upstrzoną barwnymi łatkami i różnorodnymi dodatkami. Wyglądali jak przerysowani czarodzieje z bajek. Ściągnęłam wargi, usiłując się nie roześmiać. W tym momencie pod murami gdzieś na skraju widoczności ujrzałam ludzi zgoła odmiennych. „Łachmaniarze” – przeszło mi przez myśl. „A więc są tu jakieś klasy społeczne”. Ja wyglądałam na coś pomiędzy. W bardzo przeciętnym ubraniu, za to niezniszczonym.

Chciałam zasięgnąć informacji, ale tak, aby nie zabrzmiało to, jakbym spadła z kosmosu. Do kogo powinnam się zwrócić? Do tych obrzydliwie bogatych czy biedniejszych? Stwierdziłam, że bogaty odprawi mnie z kwitkiem. Zadowolona z konceptu ruszyłam w kierunku obrzeży placu, następnie skręciłam w boczne uliczki powodowana ciekawością.

„Żeby mnie tylko nikt tu nie napadł” – pomacałam się po kieszeni na udzie. Spoczywał tam ten ciężki przedmiot, który miałam nadzieję, że okaże się szczyrykiem. Sięgnęłam po niego dłonią i faktycznie wymacałam złożone ostrze. „Dobra jest. Zawsze mogę kogoś postraszyć albo otworzyć mu puszkę”.

Wyszłam na większą przestrzeń, gdzie oświetlenie dawała jedna samotna lampa. Po prawej stronie widać było fundamenty jakiegoś budynku, niewielki murek i kupki gruzu, na których rozsiedli się łachmaniarze. Na lewo ograniczał nas niewysoki szary mur, w którego pobliżu rosła mała, stara gruska. Oplatało ją owocujące pnącze. Łachmaniarze ignorowali mnie. Może nawet lepiej, bo popalali coś i zachowywali się nieco dziwnie. Może byli naćpani? Wolałam nie zbliżać się do większych grup. Tymczasem podeszłam do drzewka. Grusza była pozbawiona owoców, ale pnącze okazało się winoroślą. Mimo, że nie czułam głodu, uznałam, że winogrona byłyby w sam raz, żeby napelnić trochę żołądek. Sięgnęłam po owoce, zrywając dwie kiście i pakując je sobie do ust. Ciut kwaśne, ale nawet dobre. Wtem usłyszałam szuranie i na murze za gruszą pojawił się szczupły, ciemnowłosy chłopak. A od mojej lewej kolejny, ten z kolei był białowłosy. „Albinos?” Zastanowiłam się, zastygając z winogronem w pół drogi do ust. Nie, miał ciemne oczy, choć skórę też miał bladą, bardzo jasną, prawie przezroczystą. Obaj byli chudzi i trochę brudni. Przy ich wyglądzie strój Klanu Psa mógł uchodzić za odświętny.

Ciemnowłosy ze szczytu muru sięgał po najwyżej rosnące owoce. Pozazdrościłam, bo tamte były czerwiejsze i z pewnością słodsze. Rwał je garściami, rozsypując wokół liście i drobne gałązki. Białowłosy sięgnął po kiść ze spokojem.

– Jesteś ze szkoły? – zagadnął mnie jakby od niechcenia.

– Nie... Wyglądam na uczennicę?

– Mieszkasz w pobliżu? – Chłopak przyglądał mi się jakby uważniej. Może to było jakieś hasło? Poczułam się zdemaskowana.

– Nie. W zasadzie to, nie...

Wtedy chłopak z muru zeskoczył na ziemię.

– Idą! – wykrztusił zduszonym głosem i rzucił się na klęczki nerwowo zbierać to, co wypadło mu z kieszeni podczas skoku. Były tam monety i różne drobne przedmioty. Złodziejaszek? Odwróciłam od niego wzrok, ciekawa, co wywołało takie poruszenie. Białowłosy też stracił swój spokój, zrobił przysiad, jakby chciał zerwać się do biegu, ale się powstrzymał. Naciągnął tylko na głowę kaptur i przytulił się do muru. Do uliczki z przeciwnej strony weszło kilka osób ubranych w te śmieszne teatralne stroje, przypominających czarodziejów oraz milicjantów. Słowo daję, wyglądali jak milicjanci z dawnej Anglii, w wysokich kopulastych czapkach, z pelerynkami, w długich, czarnych oficerkach i granatowych mundurach. Otaczali drobną

kobietkę, która wystąpiła nieco naprzód. Miała falbaniastą różową sukienkę z kołnierzem i różowawe blond włosy. Twarz umalowała jak arlekin i trzymała na smyczy małego pieseczka. Wyglądała absurdalnie, dziwacznie i śmiesznie. Tylko że jakoś nikt się nie śmiał. Podeszli do grupki łachmaniarzy, a kobieta wskazała paluszkiem długowłosego wiotkiego chłopaka, który podobnie jak część jego towarzyszy miał mętny wzrok i trochę nieskoordynowane ruchy.

– O co chodzi? Mogą nas złapać? – Nachyliłam się zaniepokojona ku białowłosemu.

– Jak masz dokumenty, to raczej nie.

Pomacałam wewnętrzną kieszeń, wyciągając plakietkę identyfikacyjną.

– Mam – oznajmiłam tryumfalnie, ale chłopak nie odpowiedział. Zamilkłam, śledząc w napięciu rozgrywającą się scenę. Milicjanci i „magicy” zasłaniali trochę widoczność, ale wtem zobaczyłam, jak pojmany chłopak zostaje przytrzymany za ręce i nogi, a milicjanci rozcinają go od krtani do brzucha. Oszołomiony i przerażony wiszący nie krwawi, niemniej widać, że cierpi. Najwyraźniej nie może z siebie wydać dźwięku. Różowa kobieta chwyta za brzegi rany i przygląda się jej, pochylając z uwagą jak biolog nad żabą. Trwa to niedługo, w ciszy. Wszyscy obecni albo ignorują sytuację pogrążeni w narkotycznym otępieniu, albo zmartwieli z powodu efektu, jaki wywarła na nich ta scena. I ja się zaliczam do tej grupy. Mija kilka uderzeń serca. Chłopak najwyraźniej zemdłał. Magicy i milicjanci owijają go w szerokie płótno jak pakunek i zabierają, opuszczając plac. Różowa kobietka też odchodzi.

Wtedy odniosłam wrażenie, że całe moje wnętrze ruszyło do życia, a strach został wyparty przez oburzenie, złość i poczucie chęci czynu, zadośćuczynienia. Nim ktokolwiek zdołał powiedzieć choć słowo, ruszyłam biegiem za całą tą groteskową zgrają.

Śmignęłam jak wicher przez plac i w pełnym pędzie wpadłam do przeciwnego zaułka. Nic. Przyhamowałam na chwilę, rozglądając się zdezorientowana. Czułam, jak złość buzuje we mnie, domagając się sprawiedliwości za absurdalną krzywdę. Pobiełam jeszcze kawałek na wycucie, ale byłam zmuszona znów się zatrzymać. Nikogo. Gdzie oni się podzieli?

Nagle ktoś złapał mnie za przedramię. Podskoczyłam nerwowo, gotowa bić się, gryźć i walczyć.

– Spokojnie. Nie szarp się. Nie możesz jej tak po prostu dopaść – usłyszałam żeński, lekko chropawy głos.

– Co? Kogo? Kim jesteście!? – pytałam podniesionym głosem, ale stopniowo zaczął opadać ze mnie szal bitewny. Przytrzymały mnie dwie dziewczyny w skromnych, obcisłych strojach. W pobliżu znalazły się jeszcze ze trzy, podobnie ubrane osoby. Zza ich pleców w zaułku pojawiło się kilku łachmaniarzy z placu. Tych „czystych”, jak dotarło do mnie po chwili.

– Najpierw ty się przedstaw. Skąd się tu wzięłaś, czego chcesz? – spytała jedna z dziewcząt. Z wyglądu starsza, z włosami związanymi w kucyk.

– Jestem... Przechodniem? – Uśmiechnęłam się nieśmiało, chcąc wyglądać niegroźnie i głupkowato. Do diaska. To ten moment, gdy prawda brzmi bardziej niewiarygodnie niż kłamstwo. Ale cóż. Trzymajmy się jednej wersji. – Zabłądziłam. Znalazłam się tam przypadkiem. Nawet nie wiem, w jakiej części Miasta się teraz znajduję.

– Czemu pobiegłaś za nimi? – Dziewczyna ruchem głowy wskazała nieokreślony kierunek. Domyśliłam się, że ma na myśli milicję, różową kobietę i magików. Wbijała we mnie wzrok, jakby chciała się nauczyć mojej twarzy na pamięć.

– Bo oni torturowali tego biednego chłopca... i bardzo mnie to... przejęło.

– I co chciałaś zrobić?

– Nie wiem... Pobić ich? – wypowiedziałam na głos to, co przed chwilą dyktowały mi moje wzburzone emocje.

Wokół rozległy się chichoty i parsknięcia. Wysoka dziewczyna w kucyku uniosła brwi i patrzyła na mnie jak na dziwadło. Druga z dziewcząt, drobniejsza i chyba młodsza, zmrużyła oczy podejrzliwie i skrzywiła się, nadając swojej fizjonomii dość odpychający wygląd. Miała dwa krótkie, chude warkoczyki i wąskie zaciśnięte usta.

– Dobra. Załóżmy, że ci wierzę. Zgubiłaś się, mówisz? Ktoś cię stąd wyprowadzi. – „Szefowa” w kucyku obejrzała się przez ramię, szukając wzrokiem odpowiedniej osoby, ale zaprotestowałam prędko.

– Poczekaj, chwila. Kto to był? Ta różowa kobieta? Muszę wiedzieć.

– Kto to był?! Ty mnie, dziewczynko, pytasz kto to był? Czekaj no, skąd jesteś? – Jawna niechęć zastąpiła niedowierzanie w głosie szefowej.

– Jestem... z obrzeży Miasta. Z Klanu Psa – zaryzykowałam. Klan Psa mimo wszystko miał chyba ograniczony kontakt z resztą Miasta.

Przedłużające się milczenie nie wróżyło mi dobrze. W końcu szefowa powiedziała, ważąc powoli słowa:

– Ludzie z innych rejonów rzadko zapuszczają się do Centrum. Nie wyglądasz też na zdeformowaną. Chyba że twoim upośledzeniem jest głupota.

– Daj mi spokój. Zrobiłam wam coś, że się mnie tak czepiacie? Znalazłam się po prostu w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie. Gdzieś może było napisane, że mam się nie zbliżać? – zaczęłam się irtować. Dziewczęta zamieniły szeptem kilka słów, nie spuszczając ze mnie wzroku. Czekałam bez słowa. W końcu wysoka dziewczyna rzuciła krótko:

– No dobra. Spływaj. Ale będziemy mieć na ciebie oko.

Szefowa i jej towarzysze ulotnili się niczym dym. Łachmaniarze rozeszli się, tracąc zainteresowanie całym zajściem. W zaułku pozostali tylko białowłosey i jego śniady kolega.

– Ransom, chodź – ponaglił białowłosego „złodziejaszek”, jak nazwałam go w myślach wcześniej. Ale ten ruchem dłoni dał znak, by zaczekał.

– Jak masz na imię?

– Aia – odparłam, wodząc niepewnie wzrokiem, od jednego do drugiego. Złodziejaszek miał ogorzałą twarz, kilkudniowy zarost, wyrazistą szczękę i ciemne oczy o długich rzęsach. Ransom był drobniejszej budowy. Miał trójkątną twarz, z kilkoma wąskimi bliznami, i przypominał mi trochę czujnego białego szczura, ale paradoksalnie wzbudzał we mnie więcej zaufania. Obaj nosili bure ciuchy, nałożone jedno na drugie, i dziurawe buty. Wyglądali na starszych i bardziej zabiedzonych niż Machdik.

– A ja jestem Ransom. Ransom Saphed. To prawda, że nie jesteś z Centrum?

– Prawda – odparłam znużona.

– A masz gdzie nocować, masz jakichś znajomych?

Z jednej strony bardzo chciałam odpowiedzieć, że zamieszkałam niedaleko i moja rodzina na pewno na mnie czeka. Niestety nie za bardzo miałam się gdzie podziać, więc zdecydowałam się zaryzykować. Pokręciłam przecząco głową w odpowiedzi.

– No dobrze. Chodź, zaprowadzę cię do nas.

– Ransom, jesteś pewien? – Ciemnowłosey wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Tak, Karanie. Myślę, że ona jest w porządku. Idź przodem, sprawdź czy jest czysto.

Karan wzruszył ramionami i ruszył szparkim krokiem, znikając w mroku jednej z uliczek.

– Czemu sądzisz, że jestem w porządku?

– Bo jadłaś winogrona.

– Ee?

Ransom uśmiechnął się.

– Wyglądałaś na głodną i w ogóle nie podeszłaś do tych ćpunów, tylko rzuciłaś się na owoce. Do tego zapytałaś, czy Księżycowa Wiedźma i jej świta może nas złapać.

– No właśnie. Słuchaj, wyjaśnij mi proszę, co właściwie zaszło. Kim jest, do stu diabłów, ta kobieta, dlaczego... Dlaczego tak załatwili tego biedaka? Co on im zrobił?

– Nie żartuj, na pewno coś słyszałaś o Księżycowej Wiedźmie.

– Coś. Niewiele. Że ma władzę. Że jest bogata i nie ma litości dla tych którzy nie są jej posłuszni.

– Wszystko się zgadza. Dużo pieniędzy, moc i władza nad wszystkim. Nad Miastem, nad ludźmi, nad prawem. Narkotyki są zakazane. Perfidia polega na tym, że wiemy, że to ona je

produkuje i nieoficjalnie rozprowadza. Ludzi, którzy się na to łapią, można potem odławiać jak muchy. Po co? Z różnych powodów. Na przykład dla rozrywki.

– To była rozrywka? – Zatkąło mnie.

– Jak najbardziej. A największą frajdę sprawia jej posłanie takiego nieszczęśnika do Krainy Gier.

Zrobiłam minę, która miała wyrażać powątpiewanie, czy Kraina Gier to taki straszny odpowiednik więzienia. Ransom właściwie odczytał moje skrzywienie i pospieszył z wyjaśnieniem.

– Kraina Gier to tor przeszkód, a może raczej tortur, który ludzie mają przejść, często naszprycowani narkotykiem. Kończy się to krwawo i najczęściej śmiertelnie. Elity uważają to za świetną rozrywkę. Ofiary nieświadome zagrożenia, w ogóle pozbawione strachu giną w wilczych dołach często sporządzonych przez siebie samych.

– Gdzie to jest? Tutaj, w Centrum?

Ransom zaprzeczył.

– Kiedyś bardzo blisko Centrum żyła gromada odmieńców, którzy bardzo upodobnili się do zwierząt. Mieli futro, czasem pazury, rogi. Gdy zaczęli podchodzić bliżej Centrum, kraść, przetrząsać śmietniki, a z czasem nawet pojawiać się na ulicach za dnia. Wiedźma kazała ich wszystkich eksterminować. Wybiła całą zgraję odmieńców, a później teren na którym żyli przerobiła na potężną arenę Krainy Gier.

– Coraz mniej mi się tu podoba.

– Nie jesteś jedyna. Ale ty przynajmniej jesteś zdrowa... Na pierwszy rzut oka nic ci nie dolega.

– Raczej nie. To znaczy, ostatnio spadłam z dużej wysokości i... I mam ubytki w pamięci.

– Ubytki?

– Gdyby pamięć była kolorową tkaniną, to moja wyglądałaby jak sieć rybacka.

Milczałam chwilę, ważąc w głowie całe zajście.

– A ta dziewczyna? Ta, która podejrzewała mnie najwyraźniej o nieczne zamiary względem całej okolicy.

Ransom uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Masz na myśli Johtaję. Nie, to zwykłe nieporozumienie. Ona i jej... grupa nieszczególnie lubią się z Księżycową Wiedźmą. Obserwują ją, a ty akurat znalazłaś się na miejscu, no i pognałaś za Wiedźmą.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Ransom prowadził mnie istnym labiryntem uliczek i przejść. I to takich, które nie wyglądały na trasy ludzi. Bardziej kotów i szczurów. Tajemnicą pozostaje, jak odnalazł nas Karan.

– Czysto – zaraportował. – Ej, ty. Jesteś Aia, tak? – zagaił wesoło Karan. – Mieliliśmy kiedyś w grupie dziewczynę, na którą tak mówiliśmy.

– To była tylko ksywka – skrzywił się Ransom.

– Co się z nią stało? – Poczułam się nieswojo, sądząc, że odpowiedzią będzie Kraina Gier. Może nie trzeba było wcale pytać...

– Zachorowała i przeniosła się w inny rejon. No, już prawie jesteśmy. Oto „szkoła”. – Karan zaprezentował z dumą budynek, który był chyba niegdyś galerią handlową. Teraz większość witryn zakryta była metalowymi roletami. Chłopcy rozejrzeli się ostrożnie i pchnęli jedno z bocznych drzwi, dawniej zapewne wejście pracownicze. Zeszliśmy schodami w ciemność piwnic i wędrowaliśmy po omacku, póki słabe jarzeniówki nie wskazały kierunku. Ponownie straciłam orientację, bo skręcaliśmy kilka razy. Gdyby ktoś pod groźbą śmierci kazał mi wrócić na plac, skąd wyruszyliśmy, to bym chyba zginęła. Wreszcie weszliśmy do równie słabo oświetlonego pomieszczenia. Pomagały trochę świece, ale rozmieszczone były bardzo oszczędnie. Znajdowało się tu sporo ludzi, czemu towarzyszył zaduch i niezbyt przyjemny zapach. Sporo osób leżało na ziemi. Całą przestrzeń zajmowały prymitywne posłania.

– Ransom. Jak dzisiaj? Widzieliście się z ruchem oporu? – Podszedł do nas bardzo wysoki, bosi, młody mężczyzna. Czuło się od niego smażonym jedzeniem, a w ręku trzymał mały czarny notes.

– Mhm. Ale niechący. Zabrali znowu szczęśliwca.

– O cholera. Niedobrze.

– Co jest, co się stało? – Nieopodal na kocu siedziała grupka dziewczyn, jedna z nich podeszła zaciekawiona. Wysoki obejrzał się na nią.

– Wiedźma zabrała szczęśliwca.

– Och nie, ktoś z naszych?

– Nie, ale było blisko. Widzieli nas, nie powinniśmy się zapuszczać w tamtą okolicę przez jakiś czas – odpowiedział Ransom.

– To już trzecia osoba w tym tygodniu. Wiedźma idzie ostro. Niedługo przetrzebią nas jak gołębice.

– Czwarta. Jeszcze wzięli staruszkę z mieszkalnego – wtrącił Karan.

– Naprawdę? – Dziewczyna wyglądała na wstrząśniętą.

– Nie wiedziałaś?

– Coś tam słyszałam, ale myślałam, że to... Ojej! – Dziewczyna wybałuszyła oczy, jakby dopiero mnie spostrzegła. Chyba faktycznie tak było. – A kto to?

– To jest Aia. Jest bezdomna, chciała dziś gonić Wiedźmę i jej świtę.

– Coo?!

Milczałam stropiona i trochę zawstydzona, a chłopcy streszczali poprzednie zajście. Podeszło do nas kilka osób. Część sprawiała wrażenie bardzo nieufnych, mimo to przedstawiali się po kolei. Ze zdenerwowania wszystkie imiona od razu mi umknęły. Zapamiętałam jedynie, że ten bardzo wysoki ma na imię Ove.

– Rozgość się – powitał mnie nieco ironicznie.

Ransam wyjaśnił, że nazwa „szkoła” wzięła się głównie od tego, że wiek zgromadzonych oscylował w okolicach nastu lat. Przeważającą część stanowili chorzy albo bardzo osłabieni, biedni, bezdomni, albo na bakier z prawem. Miejsce było trochę wilgotne i chłodne, jak to piwnice, ale najwyraźniej bezpieczne. Znalazłam dla siebie niezbyt wygodny kąt, gdzie nisko przebiegały rury. Było tam jednak dość zacisznie i miałam niemal pewność, że nikomu nie będę przeszkadzać.

Ransam zostawił mnie na chwilę, gdyż musiał zrobić obchód po „szkole”, sprawdzić jak się miewają jego podopieczni. Z miejsca, które sobie wybrałam na nocleg, widziałam jego białe włosy migające to tu, to tam, pochylające się nad posłaniami. Ransam wysłuchiwał wszystkich, uspakajał i wspierał. Założyłam, że część z obecnych trochę kradła bądź pożywiała się na śmietnikach. Ludzie zebrani tu w podziemiach wyglądali ogromnie żałośnie. Najbliżej mnie leżał mężczyzna, któremu w płucach rzeziło z każdym oddechem niczym w starym samochodzie. Wyglądało na to, że wiekiem zawyża średnią mieszkańców „szkoły”. Miał zapadnięte oczy, siną, zarosniętą twarz i był chudy jak szkielet.

– Nowa? – zagadnął zniecierpliwiony, nie podnosząc głowy z posłania. Przytaknęłam. – Ten chłopak znowu sobie bierze na głowę kolejną przybłędę do wykarmienia. – Rozciągnął wargi w szczerbatym uśmiechu. – Wkrótce nie będzie gdzie stopy postawić.

– Ransam jest nad wyraz opiekuńczy – zauważyłam ostrożnie, podsuwając się, aby lepiej go słyszeć. Mężczyzna machnął osłabłą dłonią.

– Powinien nas zostawić tam, na powierzchni. Co mu po takim słabym zewłoku? Ja już raczej nie wyjdę na górę. – Usiłował się roześmiać, ale przerodziło się to od razu w silny kaszel.

– Ransam przynosi panu jedzenie?

– Wszystkim. Codziennie dostajemy coś do ust. Czasem jakieś leki. Ale rzadko. Trudno to wszystko zdobyć. Mało kto nam sprzedaje cokolwiek. Wiedźma pilnuje.

– Zabrania sprzedaży bezdomnym?

– Nie masz karty identyfikacyjnej, to jakbyś nie istniał. Ale nawet mając ją, trudno przeżyć na ulicy, nie kradnąc. A za kradzież traci się kartę. Ot psikus.

Patrzyłam na niego w milczeniu, myśląc z przejęciem o tym błędnym kole. A on z kolei przyglądał się mnie.

– Nie jesteś stąd. Jesteś zdrowa i masz nowe ubranie. Pierwszy raz w Centrum?

– Mhm. Do tej pory byłam na obrzeżach.

Nie wiem co pomyślał, ale już więcej nic nie powiedział. Chyba się zmęczył. Rozkaszał się ponownie, a ja wycofałam się na swoje miejsce.

Po jakimś czasie Ransam odnalazł mnie, przynosząc zatęchły koc.

– Trzymaj. Lepiej, żebyś nie leżała na gołej ziemi.

– Dziękuję. – Rozłożyłam podarunek, na którym usiedliśmy oboje. – Opiekujesz się tymi ludźmi... Dlaczego to robisz?

Ransam wzruszył ramionami i przez chwilę milczał. Wokół robiło się coraz ciszej. Milkły nawet szeptane rozmowy. Słyszać było jedynie nierówne oddechy leżących.

– Nikt inny tego nie robi – odpowiedział Ransam szeptem, gdy już sądziłam, że mnie zignorował. – Elity nie dostrzegają nas. Nie chcą. Pośrodku jest garstka zwykłych, zapracowanych ludzi, którzy obawiają się Wiedźmy nie mniej niż my. A jeszcze bardziej obawiają się, że znajdą się na naszym miejscu. Byliby szczęśliwsi, gdybyśmy po prostu wyparowali.

– Dlatego udzielasz noclegu bezdomnej, obcej dziewczynie, pochodzącej nie wiadomo skąd? – Uśmiechnęłam się, dodając: – Nie chciałabym, abyś czuł się za mnie odpowiedzialny.

– Źle się wyraziłem. Każdy jest odpowiedzialny za swoje postęпки, a ja za moje. Nie chciałbym być ostatnim, który przetrwał Księżycową Wiedźmę. Chcę być jednym z wielu.

– Współpracujesz z dziewczyną, której w głowie nadałam już ksywkę „Szefowa”?

Ransam parsknął rozbawiony.

– Z Johtają? Nie do końca. Mamy trochę inne cele. Za bardzo pochłania mnie zapewnienie środków do życia tym tutaj. – Umilkł na moment wytrącony z uwagi jakąś myślą. – Aio... wtedy na placu zapytałaś czy... – zaciął się. – Nie, nie ważne. Śpij. Może porozmawiamy rano. Dobranoc.

Nie naciskałam. Wcisnęłam się pod płataninę rur, od których czuć było odrobinę ciepła. Moje myśli krążyły wokół tego, co dziś widziałam i czego się dowiedziałam.

I tak zasnęłam na zatęchłym kocu, w podziemi Miasta.

ROZDZIAŁ 3. Drzewa

Materac gniótł mnie w plecy wyłazającymi sprężynami, a rosa spływała po nosie, łaskocząc i wybudzając z resztek snu. Świt zasnuty delikatną mgiełką należał chyba do ostatnich tak pogodnych. Owady na łące obudziły się i brzęczały w najlepsze.

Usiadłam raptownie z jękiem zdumienia. No nie! Znowu? Przed moimi oczami rozpościerał się ten sam widok, jaki miałam pod powiekami, gdy zasnęłam po raz ostatni w zrujnowanym domku na ziemi Klanu Psa. Wciągnęłam powietrze ze świstem, czując, że moje własne galopujące myśli zostawiają mnie gdzieś w tyle.

„Machdik! Muszę go znaleźć” – pomyślałam w końcu i zerwałam się, roztrącając łopiany i przeskakując krzaczki. Wypadłam na główną ścieżkę przecinającą całą osadę i popędziłam do domu Majtrejów. W środku trochę się zagubiłam, szukając pokoju Machdika. Gdy go wreszcie odnalazłam, chłopiec wciąż jeszcze smacznie spał. Zaczęłam nim bezceremonialnie potrząsać.

– Machdik! Obudź się, nie uwierzysz! Wstawaj szybko!

Chłopak zamachał rękami rozespany i wyjęczał coś niezrozumiale, nadal nie otwierając oczu.

– Wstawaaaaj! – wysyczałam, siadając okrakiem na śpiochu, poklepując go po twarzy i ciągnąc za nos. Zasapał i machnął na odlew, trafiając mnie w kość jarzmową.

– Sssoo się... Co, Aia? Matko, co ty wyprawiasz?

– Machdik! Słuchaj, co mi się przytrafiło. Ja podróżuję w snach! Byłam w Centrum! Widziałam Księżycową Wiedźmę! Bo wiesz, ona faktycznie jakaś nienormalna jest, więc niektórzy chcą z nią walczyć. I spotkałam różnych ludzi...

– Czekaj, czekaj... Obudziłaś mnie tak wcześnie, żeby opowiedzieć, co ci się śniło?

– Co?... Nie! Ja... – Mój entuzjazm opadł i zastanowiłam się przez chwilę. A jeśli to był naprawdę tylko sen? Zaraz, przecież chyba umiem odróżnić sen od jawy. – To było realne! Mówię prawdę. Może właśnie stąd się wzięłam! Przemieszczam się dzięki snom. W ten sposób znalazłam się i tutaj.

– Chcę ci przypomnieć, że znaleźliśmy cię w starej fabryce.

– Gdzie *spalam*!

– Chyba spadłaś...

– Nie wiesz tego. Spałam na stercie gruzu! Po prostu mnie obudziliście. Nawet nie byłam ranna!

– No tak... Ale to niczego nie dowodzi.

- Ach tak? A wiesz, co to jest Kraina Gier?
- Nie wiem. Jakiś plac zabaw?
- To miejsce kaźni, gdzie Księżycowa Wiedźma zsyła swoich więźniów, aby ginęli w krwawej rozgrywce na śmierć i życie – zniżyłam głos dramatycznie. – I skąd to wiem? Ha?!
- Bo sobie to wymyśliłaś?
- Ransom mi powiedział! Chłopak, który mieszka w Centrum. On to widział! Zabierają nieszczęśników pod głupim pretekstem. Tak Wiedźma pozbywa się ludzi. Was też to czeka!
- Kogo? Nas? Klan Psa? Chyba nadal śnisz. Aio, po pierwsze zejdź ze mnie. Po drugie weź głęboki oddech...

Widząc, że ma mnie za niespełna rozumu, rozżaliłam się sama nad sobą. Wygięłam usta w podkówkę i zesłam z łóżka, fukając niezadowolona.

– Tak! Jasne! I proszę bardzo, nazwij mnie wariatką! Ale wiesz co? Jak przyjdzie milicja i was tutaj pozabijają, to nie mów, że nie ostrzegałam. – Głos zadrżał mi zdradliwie, aż chłopak spojrzał na mnie łagodniej.

– Aio, uspokój się. Nikt nie będzie tu nikogo zabijał. Poczekaj, usiądź. Opowiedz mi wszystko po kolei – mówiąc to, podkulił nogi i wskazał miejsce obok, na łóżku. Milczałam przez chwilę obrażona, ale emocje trochę opadły i dostrzegłam histeryczność swoich poczynań. Usiadłam, składając nogi po turecku i mnąc pościel zawstydzona. Rzeczywiście wzięłam głębszy oddech i już spokojniejszym tonem podjęłam opowieść, opisując dokładnie wszystko, co mi się przydarzyło. Machdik słuchał z kamienną twarzą, ale w miarę jak zagłębiałam się w szczegóły, mina mu rzedła.

- ...i gdy otworzyłam oczy, było już rano, a ja byłam znowu tam, gdzie mi się przysnęło.
- Cały wieczór cię wczoraj szukaliśmy. Ale tata stwierdził, że daleko nie mogłaś odejść i może chcesz pobyc trochę sama.

– Ha! A byłam tak naprawdę w samym Centrum Miasta!

– No nie wiem... Brzmi niesamowicie, ale podróże we śnie... To w ogóle możliwe?

Wzruszyłam ramionami. Wobec wszystkiego, czego się dowiedziałam przez ostatnią dobę, ta koncepcja brzmiała dla mnie całkiem sensownie.

– Słuchaj, mniejsza o mnie, ale jeśli to, co usłyszałam, jest choć w części prawdą, to Klan Psa jest w niebezpieczeństwie. Nawet jeśli nikt tu nie zawita, to zostanieie odcięci! Co z ogrzewaniem, co z jedzeniem, jak przyjdzie mróz...

– Aio. – Machdik usiłował być poważny, ale nie mógł ukryć rozbawienia. – Ależ my jesteśmy odcięci od lat. Może oprócz kanalizacji, ale to jakby mniejszy problem.

– Jak to?

– Stało się to dobre kilka dekad temu. W zasadzie niedługo po tym, jak na Miasto spadła klątwa, a Klan Psa wypowiedział władzy posłuszeństwo. Możni na długo przed Księżycową Wiedźmą chcieli, abyśmy całą ziemię przeznaczyli pod uprawy i karmili Miasto. Ówczesna starszyzna sprzeciwiła się temu, tak samo kiedy nie wyrazili zgody na ścięcie drzew w pobliskim lesie otaczającym fabrykę. Miasto, w sensie przywódcy, wściekli się, zablokowali nam dostęp do energii, światła, wody. Zginęlibyśmy, ale z pomocą przyszedł nam Klan Drzew. Zawarliśmy szczególne przymierze i trwa ono po dziś dzień.

– Nie bardzo rozumiem, ale to chyba oznacza, że jesteście bezpieczni?

– Noo... – przytaknął z wahaniem Machdik. – Powiedzmy, że mamy swoje zabezpieczenia. Zamilkłam na dobrą chwilę, dumając nad tym wszystkim.

– Chodź na śniadanie, mam pewien pomysł, ale musimy spytać ojca.

Matka Machdika, Bahija, przygotowała słodkie pieczone ziemniaki i garść nasion dla każdego. Naśladowałam domowników, którzy rozgnietli miękkie warzywo na papkę i posypali nasionami, a potem zapijali rozwodnionym mlekiem. Dobre, choć trzeba się przyzwyczaić.

– Tato, czy możemy przedstawić Aię Klanowi Drzew? – Machdik zaczął prosto z mostu. Pan Majtrej zakrztusił się porcją ziemniaka.

– No wiesz, cóż to za pomysł... Wykluczone.

– Tato, poczekaj. Aia się martwi. Myśli, że nie przetrwamy zimy, bo jesteśmy odłączeni od Miasta.

Majtrej spojrzał groźnie na syna, ale Machdik dzielnie wytrzymał spojrzenie. – Tato, nic jej nie mówiłem. Sama się domyśliła.

Pani Bahija wstrzymała oddech, patrząc z obawą na męża, który ze zmęczeniem przeciągnął dłońią po twarzy.

– To prawda – podjął i rzucił mi butne, groźne spojrzenie. – Jesteśmy wyrzutkami.

– Rozumiem, niemniej skoro sobie radzicie... Ale problemem jest, co się stanie, gdy Księżycowa Wiedźma postanowi was zgładzić na dobre. Jeśli przyjdzie tu z milicją i wojskiem?

– Ona tu nie przyjdzie. A na pewno nie osobiście.

– Jesteście tacy pewni?

– Owszem. Księżycowa Wiedźma nigdy nie opuszcza Centrum. Zresztą od lat nikt się nami nie interesuje.

– Tak się wam wydaje. – Wstałam, z emocji pochylając się nad stołem. – A Wiedźma już zajęła jeden z bocznych rejonów. Nie wiem, gdzie się mieści, ale zgładziła jego mieszkańców i zorganizowała tam swoją Krainę Gier...

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? Czy wraca ci pamięć? – Głos pana Majtreja miał w sobie jakiś niebezpieczny ton, ale zignorowałam to we wzburzeniu.

– Pamięć mi nie wróciła, ale spotkało mnie coś niezwykłego i musicie mi uwierzyć, dla własnego dobra! W innych rejonach...

– W innych rejonach nigdy nie byłaś, jak sama zeznałaś przed Starszyzną. A może temu zaprzeczysz?

– Ja... nie... Dotąd nie byłam, owszem. A jeśli jest inaczej, nie mogę potwierdzić, bo – nie pamiętam!

– Hola, moja panno! Nie unos się tak, bo nie my tu stanowimy problem.

– Mam kartę identyfikacyjną, możecie sprawdzić, gdzie została wyrobiona i do jakiego rejonu byłam przypisana, proszę bardzo!

– Twoja karta jest bezużyteczna na ziemi Klanu Psa!

Oboje staliśmy naprzeciw siebie, mówiąc coraz głośniejszym głosem, już niemal krzyżąc. Pani Bahija osłaniała usta dłonią, przyglądając się z szeroko otwartymi oczyma, Machdik zaciskał szczęki i wodził chmurnym spojrzeniem między naszymi twarzami.

– Twoja karta identyfikacyjna działa na twoją niekorzyść. Nikt z nas jej już nie posiada. Miasto nie wydaje dokumentów wyrzutkom.

Zamilkłam, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć. Pan Majtrej westchnął ciężko i usiadł, chowając na chwilę twarz w dłoniach.

– Ale ja was nie uważam za wyrzutków... – zaczęłam nieśmiało, czując się zawstydzona swoim wybuchem. Usiadłam powolutku, wbijając wzrok w talerz.

– Aio, zrozum. Twoje pojawienie się jest wielką niewiadomą. Nie wiń nas, że jesteśmy podejrzliwi – powiedział pan Majtrej spokojniej. Dotarło do mnie, że w zasadzie Klan Psa ma wszelkie prawa, aby mi nie ufać. Żyjący na uboczu, przemilczani, może nawet uznani za martwych. W ich mniemaniu ktoś posiadający dokument tożsamości staje się w spowinowacony z władzą. Co jednak doprowadziło mnie do kolejnego wniosku.

– Nie lubicie się z Księżycową Wiedźmą, prawda? – wysnułam przypuszczenie.

Pani Bahija odezwała się pierwszy raz podczas całej tej dyskusji.

– Księżycowa Wiedźma jest dla nas bardzo odległa. Nigdy jej nie widzieliśmy ani ona nas. Równie dobrze mogłaby nie istnieć. Ale faktem jest, że zostaliśmy zapomniani. Najlepiej, aby tak pozostało. – Pani Bahija pochyliła się do mnie, łagodnie kładąc dłoń na mojej.

Nie było nic do dodania. Podziękowałam za posiłek i wyszłam na zewnątrz. Po chwili dogonił mnie Machdik.

– Wybacz, chyba włożyliśmy kij w mrowisko – zaczął, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Nie, nie przejmuj się. To ja jestem zbyt porywcza. Łatwo ulegam emocjom. Może macie wszyscy rację. Po prostu to, co widziałam... Przestraszyłam się. Nie chcę, aby zamienili Klan Psa w obóz krwawej rozrywki Wiedźmy.

Machdik uśmiechnął się ciepło. A ja się zamyśliłam.

– Dlaczego chciałeś, żebyśmy poszli do Klanu Drzew? I dlaczego jest to niebezpieczne?

Machdik przeciągnął się i zapatrzył w niebo, zbierając myśli.

– Martwiłaś się więc chciałem, żebyś na własne oczy przekonała się, jak sobie radzimy. Ale może faktycznie nie był to najlepszy pomysł. Klan Drzew jest najbliższy naszego rejonu. Jesteśmy w stanie tam dotrzeć mimo klątwy, ale nadal jest to ryzykowne.

– Jak dokładnie działa ta klątwa? Wiem, że ścigają was jakieś demony, ale jak to wygląda z twojej perspektywy?

– Nie mamy zwyczaju rozmawiać o tym... – Skrzywił się jak na wspomnienie czegoś nieprzyjemnego, ale zanim zdążyłam się odezwać, podjął wątek z własnej woli. – Pewnie dlatego, że to indywidualne, nieprzyjemne przeżycie. Jak koszmar senny albo bolesna choroba. Gdy opuszczamy oczyszczoną ziemię, demony jakby czekały na jej skraju, by nas dopaść. Początkowo czają się w zasięgu wzroku, jeden, dwa. W krótkim czasie ani się obejrzysz, a otacza cię cała chmara. Dostajesz ataku paniki. Jedynym wyjściem jest ucieczka.

– A czy demony kiedyś kogoś dopadły? – zapytałam z nabożnym lękiem.

– O tak. Ci ludzie w najlepszym wypadku są tak znerwicowani, że już nie są w stanie opuścić bezpiecznej strefy. W najgorszym demony wnikają do wnętrza człowieka. Przerazenie, jakie wtedy ogarnia takiego nieszczęśnika, doprowadza do zgonu.

– Och nie – wymknęło mi się, gdy z przejęciem słuchałam, wyobrażając sobie taką sytuację.
– To w ogóle niesamowite, że jesteście w stanie opuścić wasz teren.

– Trzeba być szybkim i nie rozglądać się za bardzo. Jak zobaczysz psy, możesz być niezdolna do ucieczki.

– Psy?

– Tak nazywamy demony. Jeśli można ich wygląd do czegoś przyrównać, to zgraja bezpańskich psów. Choć to psy z piekła rodem.

– Ahaaa i stąd taka nazwa waszego klanu? To, dlaczego Klan Drzew jest... – Nie mogłam powstrzymać nagłego ataku wesołości, gdy wyobraziłam sobie upiorne drzewa, ścigające członków sąsiedniego klanu.

– No nieee, daj spokój. Ich umiejętność jest o wiele bardziej użyteczna niż nasza. Może po prostu... Chodźmy tam. Ojciec nie musi wiedzieć. – Chłopak zapalił się do pomysłu.

– Machdiku, zwariowałaś? Z tego, co opowiadasz, ja też myślę, że to po prostu niebezpieczne. Może ci się wydawać, że jesteś szybki, ale potkniesz się i będzie po tobie. Jeśliby ci się coś stało, twój ojciec by mnie zabił i to nie jest przenośnia. – Zbladłam na samą myśl. Kogo obchodziłaby martwa obca. Nawet nie musieliby zakopywać ciała. Przerzuciliby mnie przez płot i do widzenia! Potrząsnęłam głową, chcąc ocucić się z takich myśli. Do niczego to nie prowadziło. – Wiesz co, może będzie łatwiej, jeśli mi wskażesz, którędy mam pójść i wybiorę się tam sama.

Ale chłopak pokręcił głową.

– Nie trafisz tam. Jest specjalne przejście...

„No jasne. I pewnie tajne hasło” – pomyślałam poirytowana.

– To nie idziemy. Czemu tak chcesz ryzykować? Dla sportu? Myślę, że to szczeniackie i głupie...

Można by oczekiwać, że będzie się ze mną spierał albo zamieni to w żart, ale on tylko popatrzył na mnie z nieprzeniknioną twarzą i bez słowa odwrócił się na pięcie.

– Hej. Machdik... Czekaj! – Nie zareagował nawet, więc podbiegłam. – Nie obrażaj się i nie złość. Chciałeś dobrze, wiem. Ale nie zamierzam dla własnej zachcianki ryzykować twojego życia.

Stał chwilę w milczeniu.

– Nie zrozumiesz.

– Czego?

Wzruszenie ramionami. Zaraz go palnę i wytargam za uszy. Wzięłam głębszy oddech.

– Chłopie, cała ta wasza klątwa brzmi przerażająco, a przy tym dość abstrakcyjnie dla mnie. Ale nie chcę mieć nikogo na sumieniu...

– To przez to, że... Prawdopodobnie to ja jestem wybranym. – Teraz ja z kolei zamilkłam, czekając na kontynuację. Dotarliśmy do „mojego” zrujnowanego domku, gdzie mogliśmy się schować i porozmawiać na spokojnie. Usiedliśmy na starym materacu. Machdik długo patrzył w ziemię, aż podjął myśl:

– Księga przepowiedziała wybranca, który nas ocali. Tak jak mówiła moja matka, jest to dość ogólnikowe i w zasadzie można by uznać nawet za poetycki ustęp ku pokrzepieniu serc. Ale moim narodziom towarzyszyło kilka drobiazgów, które sprawiły, że wioska uznała mnie za wybranca. Po pierwsze ludzie mówili, że ponoć psy zebrały się na skraju wsi. To było bez tego, no. Prede... sensu.

– Bez precedensu?

– Właśnie. Widzimy je, opuszczając bezpieczną, oczyszczoną ziemię. A wtedy kilka osób zeznało, że widziało psy na granicy. Niby mogło się im wydawać, a może ktoś zobaczył prawdziwego psa i tak zaczęły się ploty. Wiesz, tutaj narodziny to wielkie wydarzenie, cała wioska jest przejęta. No, ale mniejsza o psy. Podobno także na głównej ulicy od naszego domu prawie przez całą wieś rozjarzyły się lampy. Słupy starego oświetlenia nadal stoją, nikt jakoś nie ośmielił się ich zdemontować nawet długo po odłączeniu od Miasta. Jakim cudem się zapaliły? Błąd tych, co w Centrum sterują rozdzielaniem energii? Może.

W każdym razie, wszystko to już wydaje się dziwne, niemniej do wytłumaczenia. Ale gdy miałem cztery lata, po raz pierwszy wyszedłem poza granicę. Musiałem uciec matce i zapędziłem się za daleko. Ludzie, którzy spostrzegli zajście, zeznali że nie byłem wcale przestraszony, mimo iż najwyraźniej *coś* dostrzegałem. Demir pobiegł po mnie i mnie zabrał. Babka mnie oczyściła, tylko że wcale nie wyglądało na to, jakby to było w ogóle konieczne. Potem przez wszystkie moje dziecięce lata bardzo mnie pilnowali. Gdy byłem starszy i pod eskortą zacząłem wychodzić na zewnątrz, widziałem demony jak każdy z Klanu Psa.

– Ej, to rzeczywiście dobry znak. Może *jesteś* tym wybrańcem! – Mój entuzjazm zdawał się jednak jeszcze bardziej dobijać chłopca.

– Właśnie. Może jestem. To znaczy, że każdy ode mnie tego oczekuje, a z drugiej strony jak niby mam spełnić słowa proroctwa? Zgłaszam się na wszystkie wyprawy poza, ale wciąż jestem... jesteśmy tu uwięzieni.

Milczałam, rozważając odpowiedź. Cisnęło mi się na usta: „no to zrób coś”, ale przecież sama oponowałam przed tym, aby się narażał. A w dodatku, co niby miał zrobić? Pobiec do Księżycowej Wiedźmy i nakrzyczeć na nią? Z kolei mówienie „nie naciskaj tak na siebie, bez presji” było również nie na miejscu.

– Zatem wszyscy chcą od ciebie cudów, a ty nie wiesz, jak się za to zabrać? – ujęłam wreszcie swoje myśli w słowa. – To kiepsko. Powinieneś już, zaraz oswobadzać wszystkich i głosić mądre sentencje warte odnotowania – zażartowałam, aby podnieść go na duchu. Parsknął krótkim, powstrzymywanym śmiechem, więc ciągnęłam, łapiąc wenę. – Gdzie te spektakularne pioruny i wichry zdolny zdmuchnąć wszelkie smutki Klanu Psa? Czy nawet całego Miasta? Totalnie powinieneś rzucać błyskawicami. Doprawdy nieudacznik z ciebie. – Wyszczrzyłam się łobuzersko, a Machdik odpowiedział tym samym.

– Przekonałaś mnie. Obiecuję, że od dziś zacznę sumienną naukę, aby kształcić umiejętność ciskania gromami. Jakie to było niedopatrzenie z mojej strony.

– Cieszę się, że zrozumiałeś swój błąd.

Rechotaliśmy jak głupki przez dobry kwadrans, podsycając wzajemnie swoje napady głupawki. Wreszcie postanowiliśmy wyjść z naszej kryjówki, a w zasadzie wytoczyliśmy się jak pijani, chichrając się nadal z byle głupoty. Tak natrafililiśmy na Jarasa.

– Cześć, właśnie do was szedłem. Co wam? – spytał, wywołując tylko kolejną falę chichotów. – Też się cieszę na wasz widok, ale ogarnijcie się, bo wyglądacie jak naćpani, a ty, Machdik, masz gębę czerwoną jak dureń.

Trochę się opanowaliśmy, a Machdik sprzedał przyjacielowi kuksańca w rewanżu za obelgę.

– Co chciałeś?

– A wymyśliliśmy, że zrobimy pod wieczór wielkie ognisko.

Machdik wydał pomruk pochwalny dla pomysłu.

– Znakomicie. Już dawno nie świętowaliśmy.

– Demir i starsi obiecali nanieść drwa. Mamy pomóc przygotować coś do jedzenia. Ojciec mówił, że wytoczy beczkę wina.

– Czekaj... Demir i inni idą po drewno? Czemu ja nic o tym nie wiem?

– Teraz wiesz.

Machdik posłał mi spojrzenie pełne ognia. Jego czarne jak węgielki oczy błyszczały w oprawie ciemnych brwi i długich rzęs.

– Aio, to nasza okazja!

– No nie wiem... – Wspomniałam naszą niedawną rozmowę, ale wezbrała we mnie również ekscytacja, że zobaczę coś nowego.

– Widzę, że coś knujecie. Ale to może się nie udać. Naprawdę mamy przydzielone...

– Idziemy zapytać czy możemy dołączyć do grupy! – zawołał Machdik w biegu. Moje nogi zareagowały, zanim zdążyłam się namyśleć i już biegłam razem z nim. Widziałam tylko kątem oka, jak Jaras przewrócił oczami i z lekkim opóźnieniem pobiegł za nami.

Grupa szykująca się do przeprawy przygotowywała się na placyku przed domkiem babki Szechny. Sprowadzało się to do krzątania wokół osobliwych maszyn. Wyglądały na toporne motocykle. Koła były grubsze, w zasadzie tak masywne jak samochodowe. Każdy pojazd był dwuosobowy. Druga osoba siedziała trochę wyżej ponad sakwami, umocowanymi po bokach. Podobały mi się te niepiękne maszyny.

– Co to za motocykle? Sami je zrobiliście? – Podeszłam do jednego z mężczyzn poprawiającego paski przy sakwach. Facet spojrzał na mnie trochę zaskoczony, ale szczerzy entuzjizm w moim głosie chyba nastawił go do mnie przychylniej.

– To rokony. Oczywiście w naszej autorskiej wersji. Nie są zbyt szybkie, ale przejadą przez każdy teren, a to najważniejsze. Po w miarę równej powierzchni osiągają tyle, co biegnący sprinter człowiek. I tyle nam potrzeba, aby ująć przed kłutwą.

– A co je napędza?

– Ropa... Coś w tym stylu. Nie znamy dokładnego składu. Kupujemy ją od ludzi Klanu Drzew. Wymieniamy ją za warzywa i mięso.

– A jak to się odpala? – Moja ciekawość rosła i niemal zapomniałam, dlaczego tak się spieszyliśmy. W tym momencie miałam ochotę wsiaść na to cudne brzydactwo i pojeździć po wertepach. Tymczasem Machdik z sekundującym mu Jarasem dorwali Demira i męczyli go o pozwolenie dołączenia do grupy. Rokonów było trzy i czterech „jeźdźców”. Na upartego mogliśmy usiąść z tyłu.

– Proszę, pozwól nam jechać, to ważne. Chcę przedstawić Aię Klanowi Drzew. Może będą coś o niej wiedzieć? W dodatku, jeśli Aia zostanie z nami, musi wiedzieć, jak to wszystko działa.

– Co na to twój ojciec?

– Daj spokój, doskonale wiesz, że każdą wyprawę muszę u niego negocjować i nigdy nie jest zadowolony.

– Martwi się o ciebie.

– Przesadza. Ale nic na to nie poradzę. Musi żyć ze swoimi zgryzotami.

– Machdiiiik... – Demir zawiesił głos ostrzegawczo.

– Rany, mam już szesnaście lat, byłem na zewnątrz. Nie trzeba mnie niańczyć. Umiem o siebie zadbać.

– W to nie wątpię. Ale nadal twój ojciec decyduje. O, proszę. Widzę, że chyba idzie do nas. Chcesz jechać, proszę bardzo. Dyskutuj...

W tym momencie, któryś z uczestników wyprawy odpalił swój motocykl, aby sprawdzić pracę silnika i nie usłyszałam reszty rozmowy. Pan Majtrej kłócił się długo z Machdikiem, machali rękami i najwyraźniej pokrzykiwali na siebie, a Demir ścisnął nasadę nosa, jakby starając się opanować wzbierającą migrenę. W końcu pan Majtrej posłał mi nieprzychylnie spojrzenie, jakbym była wszystkiemu winna, i odwrócił się na pięcie wyraźnie niezadowolony. Machdik przeciwnie, aż tryskał humorem.

– Aio, udało się, przekonałem ojca!

Postanowiłam nie drażnić sprawy, więc tylko rozłożyłam ręce.

– Brawo, widzisz, już zaczynasz czynić cuda.

Gdy tylko rokony zostały zapakowane i dokonano przeglądu, można było ruszać. Zasiedliśmy ostrożnie nad pakunkami. W środku były różne produkty na wymianę z Klanem Drzew. Na koniec babka Szechna pobłogosławiła nas swoim kosturem i mogliśmy ruszać. Wystartowaliśmy, zatoczywszy koło z głębi osady, aby na wyjeździe mieć już znaczną prędkość. Jechałam na czele za mężczyzną, z którym rozmawiałam wcześniej, a Machdik za Demirem jako drudzy. Pozostała dwójka zamykała kolumnę.

Wyjechaliśmy żwawym tempem na popękaną szosę, poprzetykaną korzeniami roślin i przebijającą trawą. Droga wznosiła się lekko i za szczytem odbiliśmy w prawo w zwykłą piaszczystą ścieżkę. Próbowałam ocenić, czy jedziemy podobną trasą jak poprzedniego dnia, gdy przybiegliśmy ze starej fabryki, ale nie. Teraz zmierzaliśmy bardziej na wschód.

Zaczęło przybywać drzew i droga stawała się trudniejsza do pokonania, ale rokony sprawowały się doskonale. W tym czasie obserwowałam także towarzyszy podróży. Czułam nerwowość w powietrzu. Starali się nie rozglądać za bardzo, ale widziałam, że każdy z nich powstrzymuje się, aby nie spoglądać za siebie. W końcu pokonaliśmy niewielki mostek nad płytkim rowem i wjechaliśmy w gąszcz pnączy. Czułam się trochę zawiedziona. Całe to tajemnicze przejście sprowadzało się po prostu do kurtyny utworzonej ze zwisających pnączy i gałęzi.

Znów wyjechaliśmy na ścieżkę, która trochę się poszerzyła i wkrótce ujrzałam zabudowania. Niemniej mój kierowca nie zwalniał. W pełnym pędzie wjechaliśmy na środek wioski, trąbiąc głośno klaksonami. Myślałam, że zsiądziemy, wypakujemy się... Nie. Rokony zaczęły zataczać kręgi, czyniąc zgiełk i przyciągając coraz więcej mieszkańców.

„Jak oni zamierzają w ogóle wypakować sakwy?” – pomyślałam zaskoczona. Nie zamierzali. Tymczasem ludzie Klanu Drzew zaczęli nas otaczać i mogłam dojrzeć niezwykłość ich wyglądu. Wielu było pokrytych mchem. Albo grzybami. Część nie posiadała włosów, a jedynie dziwne narośle.

– Witajcie, cześć, Demirze, Piranie... Wymiana?

– Tak. Zerahu. Wybacz, wiesz, że zawsze goni nas czas.

Zerah – mężczyzna, którego lewy policzek porośnięty był dziwną zdrewniałą tkanką jak huba i białymi galaretowatymi grzybkami, nosił długą, wielokolorową szatę. Był szczupły i wysoki i na pierwszy rzut oka to chyba była z grubsza druga wspólna cecha mieszkających tutaj ludzi.

Na znak Zeraha kilkoro ludzi popędziło do chat i przyniosło sakwy podobne do naszych. Domy, jak zdążyłam zauważyć, były dość osobliwe i w dużej mierze pokrywało je coś jak kora.

Wokół rosły drzewa, tworząc zacieniony klimat elfiej idylli. Tylko zamiast pięknych elfów byli ludzie zniekształceni przez porosty. Wyglądali na zainfekowanych przez leśną roślinność.

Prędko uwinięto się z zawartością sakw. To był jedyny moment, kiedy zatrzymaliśmy się i w trybie ekspresowym dokonano zamiany pakunków. Na chwilę musieliśmy zsiąść. Wykorzystałam ten moment uwagę Zeraha.

– Dzień dobry, panienko. My się chyba nie znamy. Jesteś z Klanu Psa?

– Nie... niezupełnie. Przygarnęli mnie. – Powiedziałam niepewnie. Zerah odpowiedział ciepłym uśmiechem, nieco krzywym z powodu narośli, choć nie wyglądało, aby mu w jakikolwiek sposób przeszkadzała. Miał coś takiego w sobie, że od razu go polubiłam. Sprawiał wrażenie ostoji spokoju i łagodności.

Demir nieco zielonkawy na twarzy wszedł nam w słowo.

– Zerahu, czy możemy prosić kogoś od was, aby podrzucił nam drwa na ognisko?

– Naturalnie. A czy ta młoda dama też się spieszy? – zadał to pytanie taktownie w czasie, gdy jego ludzie dopinali sakwy, a ktoś już biegł przodem, aby usunąć z drogi rokonów wszelkie przeszkody.

– Dziewczyna decyduje sama za siebie. Aio, czy jesteś w stanie sama trafić do domu?

Kiwnęłam głową energicznie.

– Bułka z masłem. To w zasadzie bardzo blisko.

– Ależ! Może jechać na wozie, jak przywieziemy wam drewno.

– Świetnie. Aio, bądź rozsądna i... do później. – Demir pogroził mi palcem jak starszy brat. A ja uśmiechnęłam się szeroko, machając Machdikowi. Posyłał mi trochę zazdrosne, a trochę spłoszone spojrzenie. Ciekawe, czy już zaczęli dostrzegać ścigające ich demony. Nie bawiąc się w nadmiar konwenansów, pojechali, odprowadzani przyjaznymi okrzykami mieszkańców osady.

– Jesteś Aia, tak? Mam na imię Zerah, jestem przywódcą Klanu Drzew – przedstawił się oficjalnie mężczyzna, składając mi delikatny ukłon. – Chcesz się przyjrzeć naszemu klanowi? Chyba nigdy tu nie byłaś?

Poczułam, że mam ochotę być szczerą z tym człowiekiem.

– Dopiero od wczoraj pamiętam cokolwiek ze swojego życia. Machdik, Demir i Jaras z Klanu Psa znaleźli mnie w starej elektrowni. Nie wiem, jak się tam znalazłam. Ale jeśli komuś z was kojarzy się moja twarz, byłabym wdzięczna za wszelkie informacje.

Zerah przyjrzał mi się strapiiony.

– Popytam, choć znam tu w okolicy wszystkich i wcale nie kojarzę twojej miłej buzi. Pójdź ze mną, oprowadzę cię trochę. Co wiesz o naszym klanie?

– Niewiele. Tylko tyle, że zawarliście przymierze z Klanem Psa i pomagacie sobie nawzajem. I choć od wczoraj jestem bez ustanku zaskakiwana różnymi rzeczami, to chyba zaczynam się do tego przyzwyczajać.

Zerah zaśmiał się krótko.

– Jesteś interesującą osobą, Aio. Cóż. Zapewne ciekawi cię nasz wygląd. Ha! Poczekaj, aż zobaczysz resztę. Klan Drzew otrzymał niezwykle dar po drugiej eksplozji. Tak, tak jest – potwierdził Zerah, widząc moje niedowierzanie – nasz przypadek jest o wiele bardziej pożyteczny niż to, co spotkało Klan Psa.

Nie komentowałam, idąc posłusznie za Zerahem i przyglądając się ludziom. Osobliwi, dziwni, zaskakujący. Tak bym ich opisała. Narośle rozrastały się niekiedy znacznie, ale nikt nie wyglądał, by sprawiało mu to ból czy jakikolwiek dyskomfort. Prawda, część mieszkańców poruszała się z pewnym trudem, jeśli narośl znajdowała się na nodze, blokując swobodę pracy mięśni, lub na barku, zmuszając do pochylenia. Takie przypadki były jednak raczej odosobnione. Można było zauważyć, że przeważnie elementy roślinne wzrastały w zgodzie z ludzkim ciałem.

Roślinność była tu wyraźnie uwielbiana. Nie wrywano chwastów, raczej je przesadzano. Wszystko rosło swobodnie, czasem tylko podpierane, zabezpieczane i przycinane, gdy gałąź usychała. Pnącza wspinały się na drzewa (głównie dęby) oraz na ściany domów. Okolica wyglądała nawet dziwniej niż w wiosce Klanu Psa, gdzie zaadoptowano stare budynki mieszkalne. Tutaj chyba zburzono większość z nich i zbudowano na nowo. Zapytałam o to.

– Masz bystre oko. To prawda, przebudowano w ten sposób całą przestrzeń Klanu Drzew. Zrobili to nasi ojcowie w poprzednim pokoleniu. Gdy tylko klan porozumiał się z Drzewami, postaraliśmy się, aby architektura nienaturalna współgrała z tą naturalną. Zaraz zobaczysz na własne oczy.

Zobaczyłam i odjęło mi mowę. Przeszliśmy na obrzeża zabudowań. Tu rosło znacznie więcej drzew, o ile w ogóle były to drzewa. Wyglądało to trochę, jakby ktoś posadził tu ludzi. Przez myśl przemknęła mi straszna tortura, polegająca na przywiązywaniu pojmanego człowieka przy ziemi na pędach bambusu, który przerastał przez ciało. Wzdrygnęłam się odruchowo.

– Aio, w porządku, nic im nie jest. Zapadli w letarg, dostosowując tempo swojego metabolizmu do tkanki drzewnej. Wrażenie towarzyszące temu przypomina to, które odczuwa się, gdy w wieku młodzieńczym rosną kości. Ponadto rośliny wydzielają specyfik uśmierzający ból.

Podeszłam bliżej, gdy ciekawość przemogła niechęć. Niektórzy byli już tak zarośnięci, że było widać jedynie twarze. Czasem leżeli skuleni na ziemi, jakby faktycznie drzemali. Raz w pnączach dostrzegłam, że kobieta, z której wyrastają długie pędy, siedzi na krzesełku. Wskazałam to z zapewne głupim wyrazem twarzy. Zerah uśmiechał się czule.

– To Raja. Moja żona. Nie za dobrze czuła się w ludzkim ciele, które było słabe, i dla poprawy zdrowia postanowiła wcześniej urosnąć.

– Urosnąć? – Mój głos zadrżał, z trudem wydobywając z zaciśniętego gardła.

– Tak. My nie umieramy. To znaczy nie prędko. Żyjemy w skali życia drzew. Nasza populacja jest niezbyt wielka, ale za to długowieczna. Gdy nadchodzi czas, zawiązki naszych roślinnych symbiontów rozrastają się i zakorzeniają. Czasem ktoś kładzie się na ziemi bądź siada jak Raja. Trochę cierpliwości i zapada w letarg. W dużym uproszczeniu oczywiście. Początkowo poimy rosnących. Z czasem łączą się systemem korzeniowym z resztą, która będzie ich wspierać i zasilać. Później wykształcą dostatecznie dużo liści, by odżywiać się samodzielnie.

– Liści – powtórzyłam ogłupiała.

– Do fotosyntezy. Ci tutaj odżywiają się tak jak rośliny. Jednak, mimo iż różnica między ciałem ludzkim a roślinnym trochę się zaciera, rosnący mają także inne zdolności. Wciąż możemy się z nimi kontaktować.

– Jak to się dzieje? Można ich obudzić?

– Nie, niezupełnie. Nazywamy to letargiem dla uproszczenia. Oni są świadomi, tylko sygnały odbierają drogą wewnętrznych połączeń. Aby się z nimi skontaktować, wprowadzamy się w trans i wykorzystujemy grzybnię żyjącą na naszych ciałach. To zupełnie inny wymiar rozmowy.

Popatrzyłam nowym okiem na las ludzi. Wtedy połączyłam kilka faktów.

– Z tej perspektywy rozumiem, jak ważne są dla was drzewa... Ale przecież Klan Psa prosi was o drewno. Brzmi drastycznie.

Zerah roześmiał się szczerze.

– Skąd, w żadnym wypadku. Uprawiamy drewno niemal w czystej postaci. To rodzaj odpadów. Zbudowane jest z miazgi drzewnej i uzupełniane o związki przedłużające spalanie. Dzięki bliskości z ziemią możemy sprawiać naprawdę cudowne rzeczy. Nasi rosnący wyciągają dla nas z ziemi kaloryczną ropę, którą handlujemy z Klanem Psa. Oni zaś zaopatrują nas w jedzenie. Nie mamy zbyt wiele miejsca na zwykłe uprawy, także nie trzymamy zwierząt z obawy, że pokaleczą naszych rosnących.

– To dobry układ – stwierdziłam. – Brzmi bardzo uspokajająco. Spodziewam się, więc również, że Klan Psa zabezpiecza się u was na zimę. Mogą palić waszym drewnem i nie potrzebują kontaktu z Miastem... A wy? Czy też jesteście odcięci?

Zerah milczał dobrą chwilę i już myślałam, że wcale nie odpowie.

– Nie. I tak. Miasto nie zdążyło nas odciąć. Sami to zrobiliśmy. Wszystko, czego potrzebujemy, jesteśmy w stanie zapewnić sobie sami. Więc byłaś zaniepokojona sytuacją Klanu Psa?

– O tak. Sądziłam, że Księżycowa Wiedźma zechce się do nich dobrać i przemienić ten obszar na swoją Krainę Gier.

– Jesteś miłą dziewczynką, że się o nich martwiłaś – powiedział Zerah ciepło, choć po raz wtóry zastanowiłam się, na ile lat mnie oceniają. Skoro traktował mnie jak dziecko, postanowiłam to wykorzystać i dać upust swojej ciekawości. Pytałam o wszystko do woli, wściubiając nos tak dalece, jak mi pozwalano. Aż sama miałam poczucie, że naginam pewne granice. Co jednak zrobić, Klan Drzew był niesamowity. Zostałam u nich dłuższy czas, aż zaczęło zmierzchać i ujrzałam, że drzewa emanują delikatną poświatą.

– To również sprawiają rosnący. We współpracy z drzewami wyciągają potrzebne pierwiastki z ziemi i oświetlają nam noc. Nie jesteśmy nawet w stanie w pełni określić składu większości produktów, jakie tworzą. Działają intuicyjnie, na podstawie prób i błędów.

Dopiero teraz zorientowałam się, że czas wracać. Ludzie przygotowali głęboki wóz wypełniony drewnem na ognisko. Za konia robił trójkołowiec, ale poza tym widok jak ze starej pocztówki. Drzewianin (Jak nazwałam w myślach człowieka z Klanu Drzew) usiadł za kierownicą, a ja na koźle, rozkoszując się zapachem drewna. Pożegnałam się wylewnie, a ludzie, z którymi rozmawiałam tego dnia, uśmiechali się i machali mi na pożegnanie.

ROZDZIAŁ 4. Tożsamość

Dojechaliśmy tuż po zmroku. Słońce zaszło i niemal zatarła się cała złotość nieba. Klan Psa wyszedł mi na spotkanie. Ależ podróż. Całe trzy kilometry. Może cztery... To jednak była dla tych ludzi granica możliwości. Pierwszego spotkałam Jarasa, który oznajmił mi, że Machdik i tak cały ten czas przeleżał w łóżku, osłabiony wyjściem. Zmartwiłam się, więc dopadłam Demira, aby go podpytać.

– Nic mu nie będzie. Rozboliła go głowa. Dziś obyło się bez problemów. Ale byłbym wdzięczny, gdybyś nie podsycala w nim ochoty na opuszczanie wioski – skarcił mnie, a ja po raz kolejny uznałam, że faktycznie jest dla Machdika jak starszy brat.

– Nie chciałam żeby szedł. A w zasadzie, czy rokony w ogóle pomagają w starciu z kłutwą?
– zapytałam niefrasobliwie.

– Pomagają. Jadą powoli, w tempie biegu człowieka, ale możemy dzięki nim przewieźć coś cięższego.

– I demony nie dopadają was tak prędko? – dopytywałam niestrudzenie.

– Gromadzą się jak zwykle, ale przemieszczanie się, rochę nas zabezpiecza. – Demir skrzywił się, jakby coś go bolało, ale ja nie mogłam się powstrzymać od jeszcze jednego pytania.

– To jakby wyjść tylko troszeczkę, tak na pół metra za granicę i stanąć, to też może być niebezpieczne? A jakby jechać bardzo szybko jakimś innym pojazdem? A na przykład helikopter...

– Aio. Dość. Nikt nie robi takich niebezpiecznych eksperymentów. Czy gdybyś hodowała węże, to wsadzałabyś dłoń do terrarium, aby sprawdzić, czy ukąsi cię jeden, czy może pięć?

– Ale...

– Nie wiem. Zwyczajnie nie wiem i nie zamierzam sprawdzać. Kłutwa ma nieodgadnioną formę i wykracza poza naszą sferę pojmowania.

Demir mówił cierpliwie, ale wyraźnie dał do zrozumienia, żebym nie męczyła go dłużej o sprawy związane z kłutwą. Musiałam powściągnąć ciekawość aż do czasu, gdy znajdę odpowiednią ofiarę. Czułam w sobie iskrę eksperymentatora i odkrywcy. Zwłaszcza po dniu spędzonym w Klanie Drzew, gdzie moja wyobraźnia została znacznie pobudzona.

Tymczasem Klan Psa czynił ostatnie przygotowania do ogniska. Mogło się zdawać, że to ot zwykłe spotkanie znajomych. Ale uczestniczył w nim niemal cały klan, a w powietrzu czuć było ekscytację, jakby zbliżało się święto. To było święto.

– Aio, weź tę blachę i postaw na stole. – Któraś z gospodyń wręczyła mi podłużną blachę z babką ziemniaczaną. Swoją drogą stałam się chyba odrobinę sławna. Dwa dni i już ludzie znają moje imię. Widocznie taki urok znajdk.

Na miejscu otoczonym kamieniami ułożono drewno, wokół zaś stały stoły, na które znosiliśmy jedzenie. Było trochę ciast, głównie drożdżowych, babki mięsno-ziemniaczane, szaszłyki, półmisek kaszy z omastą, placki, cierpkie wino oraz słodowe piwo. Ludzie siadali wokół, mając stoły za plecami, ktoś przyniósł nawet bardzo starą gitarę. Nie miała jednej struny, ale i tak dało się na niej coś zagrać.

Przyszędł teŹ Machdik w zupełnie dobrym humorze. Wypytywał mnie o wrażenia z dnia spędzonego na zewnątrz. Opowiadałam chętnie i w emocjach, aż przysiadł się do nas Jaras i kilkoro młodszych dzieci. Ludzie z Klanu Psa spędzali poza granicami swych ziem zbyt mało czasu, aby marnować go na zwiedzanie, zatem moja opowieść przyciągała ucho również starszych mieszkańców.

– Tego nawet nie wiedziałem, Źe Źona Zeraha jest teraz rosnącą. Nie widywaliśmy jej juŹ od dłuższego czasu, ale nigdy nie pytaliśmy – wtrącił Demir z zadumą. AŹ podskoczyłam, gdy się odezwał zza moich pleców, nie przypuszczałam, Źe słuŹa.

– Ale faktycznie słabowita była. Tylko raz nas odwiedzili, ale to było jeszcze przed narodzinami Machdika – dodał pan Majtrej, który juŹ chyba przestał się na nas gniewać.

– Była teŹ i później, jak Machdik miał ze cztery lata. Wtedy ponoć coŹ dziwneŹo działo się z ziemią. Wszystkie drzewa i wszyscy rosnący się niepokoili.

– I co, wydarzyło się wtedy coŹ? – zainteresowałam się.

– Nie. W zasadzie chyba nic. Tylko trochę padało. Drzewa się ekscytują zupełnie innymi rzeczami.

– A pamiętacie, jak dziadek Babur odkorkował stare butelki i myślał, Źe tam jest wino, a w środku był ocet i twierdził, Źe to z powodu słońca? – podjął ktoś, jak to zwykle bywa i zaczęły się wspominki i historyjki, których czasem nie rozumiałam, ale klika razy śmiałam się wespół z chłopcami do rozpuku.

Próbowałam trochę piwa słodowego i tańczyłam wokół ogniska, mimo zupełnego braku umiejętności w tej kwestii. Później oparta o skrzynkę, na której wcześniej siedziałam, wyciągając nogi w stronę ogniska, nie wiedzieć kiedy, odpłynęłam w sen.

Gdy się obudziłam, było mi chłodno, twardo i niewygodnie. W powietrzu unosił się stęchły zapach dawno niewietrzonego pomieszczenia. W dodatku gdzieś musiała wybić kanalizacja.

Otworzyłam oczy i spod półprzymkniętych powiek, wsparta na łokciu, rozglądałam się wokół. Ktoś okrył mnie śmierzącym kocem. Panował półmrok.

Momentalnie ocuciła mnie świadomość, że to znowu nie jest miejsce, w którym ostatnio zasnęłam. Wstałam niepewnie, czekając na zawroty głowy, ale nie odczułam nic takiego. Za to wokół zapanowało poruszenie. Ktoś krzyknął, ktoś wstał i pobiegł. Zaczęły się szmery i szepty.

– Obudziła się.

– Raaansaaam! – wydarła się jakaś dziewczyna.

Ruszyłam powoli, mijając leżących wszędzie łachmaniarzy.

„Wiem gdzie jestem”, uświadomiłam sobie z opóźnieniem. Byłam tu. Zza kolumny wspierającej strop wyłonił się białowłosey.

– Aia – bardziej westchnął niż powiedział. – Nic ci nie jest?

– A co ma mi być? – zapytałam zdziwiona. – Dopiero się obudziłam. Czy coś się stało?

Zaczęli podchodzić do nas ludzie. Również ten wysoki... Skupiłam się... Ot... Ota, Ote?

– Ove – podpowiedział mi wielkolud, a ja spieszyłam się, gdy spostrzegłam poniewczasie, że sylabizuję na głos.

– Aio, spałaś cały dzień i dwie noce.

– Aaaaa? Naprawdę? – Zastanowiłam się i oznajmiłam tryumfalnie: – Faktycznie! Wczoraj cały dzień byłam z ludźmi Klanu Drzew. – Wszyscy popatrzyli na mnie jak na niespełna rozumu.

– Nie żartuj, martwiliśmy się. Nie dało się ciebie dobudzić. Nic, kompletnie, żadnej reakcji!
– Ransam wyglądał teraz na poirytowanego.

– To leżałam tu cały czas? Bo... Ja... – zacięłam się. – Taką mam przypadłość. Zasypiam na bardzo długo. To taka klątwa, popromienna. – Nie brzmiałam wiarygodnie, ale nie chciałam jakoś wszystkiego tłumaczyć. Sama nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. Moja teoria o podróżowaniu we śnie miała chyba jakąś lukę. – Mniejsza z tym. Działo się coś w tym czasie?

– Może – odparł Ransam tajemniczo. – Możemy porozmawiać? Wyjdźmy na zewnątrz. I tak chciałem zrobić mały obchód. Miała mi towarzyszyć Louise, ale skoro się obudziłaś, to możesz być ty. Louise, rozdzielisz wobec tego leki na wszystkich? Dzięki.

Lekko pulchna blondynka o ładnej twarzy przytaknęła energicznie. Podeszedł do nas Ove z dużą drewnianą skrzynką.

– Pomogę Louise. Przydałoby się jednak, żeby ktoś poszedł po wodę.

– Dajcie najpierw leki, a potem weź kilku chłopaków i idźcie. Wrócimy niedługo.

– Okej.

Patrzyłam z podziwem, jak wszyscy słuchają Ransama i podporządkowują mu się naturalnie.

– Skąd macie leki?

Białowłosy nie odpowiedział, tylko ruszył korytarzem, który, jak pamiętałam, prowadził na zewnątrz. Potruchtałam za nim.

– Ransom... Ransom, czekaj.

Zwolnił nieco, zerkając, czy idę, ale się nie zatrzymał. Wyszliśmy na dwór. Zachmurzyło się i zaczął siąpić deszcz. Pomyślałam, że jeśli pada również nad Klanem Drzew, to rosnący pewnie się cieszą. Ciekawe, co robią Machdik i reszta. Czy i tam leżą teraz jak kłoda i się nie budzą? A może tylko jedna z tych rzeczywistości jest prawdziwa? Może teraz po prostu śnię. To jak udowodnię, że to sen? Szłam bezwiednie za Ransomem, który kluczył w uliczkach. Ja wymacałam mój kozik w kieszeni spodni i zrobiłam krzyżyk na wierzchu dłoni. Niezbyt głęboko, ale zabolalo. Tylko delikatnie rozciąłam skórę. Nawet nie krwawiłam.

– Co ty wyprawiasz? – Zatrzymaliśmy się pod wysokim murem z drabinką przeciwpożarową i Ransom odwrócił się do mnie akurat w momencie, gdy przyglądałam się krytycznie własnej dłoni.

– Nic. – Schowałam rękę za plecy. – Sprawdzam, czy to nie sen.

Nie skomentował tego, tylko podjął wspinaczkę w górę po drabinie. Zaulek był ślepy. Stały tu pordzewiałe, blaszane kontenery na śmieci. Budynek zbudowany był z czerwonej cegły i najwyraźniej miał już swoje lata. Bałam się, że stopnie drabinki oderwą się ze ściany, ale gdy Ransom był w połowie, ruszyłam za nim.

Na gorze przeszliśmy boczkiem po dachu i znaleźliśmy się na płaskim tarasie obmurowanym do wysokości pasa. Wystawało tu kilka strzelistych anten. Widać było także ślady po gołębiach.

Ransom oparty o murek przyjrzał mi się lekko skrzywiony.

– No co? Zrobiłam coś złego?

Wzruszył ramionami.

– Niby nic. Ale chciałbym, żebyś coś powiedziała o sobie. Przyjęliśmy cię do nas, bo rozumiemy trudną sytuację. Historie bywają skomplikowane. Ale to dla nas również ryzyko. Przedstaw się i zadbaj, żeby brzmiało to realistycznie.

Zamilkłam, zastanawiając się, co powiedzieć i czy może lepiej faktycznie skłamać.

– Im dłużej wymyślasz tę historyjkę, tym bardziej twoja wiarygodność siada – przypomniał mi Ransom beznamiętnie. Posłałam mu spojrzenie spod byka.

– Zastanawiam się, bo sama nie wiem jak to ująć. Wspominałam, że mieszkam z Klanem Psa? – Chłopak przytaknął. – To mój trzeci dzień odkąd mnie znaleźli. I trzeci dzień, który w ogóle pamiętam. Nie mam żadnej rodziny, byłam kompletnie nieświadoma, gdzie się znajduję,

co to za miejsce, dlaczego Miasto jest ogrodzone, dlaczego nie ma prądu, czemu wszystko wygląda jak po apokalipsie.

– No to skąd się wzięłaś w Centrum? Czemu nie siedzisz ze swoimi nowymi ziomkami?

Rozłożyłam ręce w geście rezygnacji.

– Nie wiem. Wczoraj wieczorem jeszcze siedziałam ze wszystkimi przy ognisku.

Ransom potarł skronie ze zmęczenia.

– Nie pomagasz mi, Aio. To w ogóle nie było realistyczne. Twoja historyjka jest tak kuriozalna, że chyba musi być prawdziwa.

– Wierzysz mi?

Uśmiechnął się.

– Niezupełnie. Ale rad jestem, że nie próbowałaś mi wciskać kitów wbrew temu, co mówiłaś ostatnio. Albo tylko po to, by zjednać sobie sojusznika.

– Potrzebuję sojuszników – odparłam szczerze. – Nie znam tu nikogo poza wami. Nie do końca wiem, co się dzieje. Mam kartę identyfikacyjną, choć nie powinnam jej mieć. Mam wiedzę o świecie, który istniał, zanim... no przed tym „pocałunkiem boga”, jak to mówią w Klanie Psa.

– Przed czym? – Ransom uniósł wysoko brwi.

– No przed tym wydarzeniem, klątwą czy jak, co napromieniowała ludzi, że mają teraz różne defekty i zdolności.

– Masz na myśli wielką eksplozję pyłu?

– A co to takiego?

– Pytasz o sam pył czy eksplozję?

– O wszystko. Opowiedz mi.

Chłopak milczał jakiś czas, przewiercając mnie spojrzeniem, jakby był wykrywaczem kłamstw. W końcu podjął opowieść.

– Kiedyś w Centrum stała elektrownia, która dostarczała energii całemu Miastu i chyba nawet okolicy. Źródło tej energii stanowił pył. Był pozyskiwany na miejscu i był chyba niewyczerpany. To było wiele, wiele lat temu...

– A czym właściwie jest pył? Skąd go brali, to jakiś pierwiastek czy coś osiąganego mechanicznie?

– Nie mam pojęcia. Nie znam się na tym. Jakie to ma znaczenie? W każdym razie w końcu coś nie wyszło. Może nagromadzili zbyt wiele pyłu, a może maszyny w elektrowni zostały uszkodzone, a może ktoś celowo to zrobił, bo część ludzi zdołała się na jakiś czas ukryć. Miasto ma swoje schrony i wpuszczono tam oczywiście elity. W każdym razie nastąpił potężny

wybuch. Ani nie zniszczył żadnego budynku ani bezpośrednio nikogo nie zabił. Ale ludzie w Centrum osłabli, zaczęli chorować, a ci, którzy żyli w oddaleniu, doznali wszelkiego rodzaju deformacji i zmian. Natomiast żyjący jeszcze dalej, poza płotem, zginęli. Bądź przerodzili się w pozbawione człowieczeństwa kreatury, których nie dało się zabić.

– Dooies. Widziałam je – szepnęłam trwoźnie.

– Kiedy elektrownia została pozbawiona mocy, Wiedźma ją przejęła.

– Elektrownię?

– Moc! Księżycowa Wiedźma potrafi kontrolować energię, znikać nam z oczu, ranić i doprowadzać ludzi do szaleństwa.

Przetrawiałam te informacje w ciszy.

– Masz na myśli to, że Księżycowa Wiedźma włada czymś w rodzaju magii?

– Pył sprawił, że jest bardzo potężna. Potrafi zdziałać straszne i okrutne rzeczy. Nie ważne czy nazywa się to magią, czy czymś innym.

Nie odpowiedziałam, po części zgadzając się z takim stwierdzeniem, a także sądząc, że aby być okrutnym nie potrzeba żadnych nadprzyrodzonych mocy. Ale wolałam nie denerwować Ransama takimi uwagami.

– Słuchaj, Aio – przerwał moje rozmyślenia białowłosey. – Chciałbym... Jakie masz plany? Zostajesz w Centrum?

Wzruszyłam ramionami.

– Chcąc, nie chcąc. Ale chyba tak. To dobre miejsce bym się czegoś dowiedziała. Oprócz utraty pamięci nic mi nie dolega. Może tak naprawdę pochodzę stąd? Dlaczego pytasz.

– Otóż... Wiesz, bardzo możliwe, że jesteś z Centrum.

– Dlaczego?

– Bo posiadasz kartę identyfikacyjną. Dostają ją tylko, jakby tu rzec, pełnoprawni obywatele. Stąd trudno mi było uwierzyć, że przyszedłeś z jakiegoś Klanu Psa. Ludzie z obrzeży nie dostają statusu obywateli. To odszczepieńcy, mutanty.

Nie bardzo spodobała mi się ta uwaga. Ale pokiwałam głową, niby rozumiejąc sytuację.

– Masz rację, nie pomyślałam o tym. To dobry trop. A można gdzieś w jakimś urzędzie sprawdzić taką kartę? Znaczący, jako właścicielce, pewnie udzieli mi więcej informacji. Może choćby adres?

– Słusznie... Tak, rzeczywiście można takie rzeczy sprawdzić. Na przykład w banku.

– W banku? Jak to?

– No, zwyczajnie. Bank posiada wszelkie dane, a w dodatku mogą ci powiedzieć o stanie twojego konta.

Zaśmiałam się, ale Ransom najwyraźniej mówił zupełnie serio.

– Myślisz, że mogę mieć jakieś pieniądze? Nie wydaje mi się.

Uśmiechnął się.

– Sprawdź. To dość przydatna informacja. Za jednym razem poznasz swój adres, nazwisko, historię chorobową i powiązania z innymi użytkownikami. Jeśli takie masz. Jakbym stracił pamięć i miał przy sobie swoje dane osobowe zakodowane na karcie identyfikacyjnej, to bank byłby pierwszym miejscem, do którego bym się udał.

– Zaprowadzisz mnie tam?

– Jasne. Chodź, przejdziemy tędy.

Przeszliśmy po dachach kolejnym kocim szlakiem Ransama. Trasa nie należała do najbezpieczniejszych, ale byliśmy ukryci przed spojrzzeniami przechodniów. Widok z góry robił wrażenie. Spadziste kąty dachów, las pionowych anten i wystrzeliwujące w niebo smukłe sylwetki wieżowców. Centrum wyglądało jak korona drzewa. Niczym najgrubsze konary czy główny pień, ku niebu pięły się najbardziej masywne i najwyższe budowle. Im dalej od środka, tym budynki stawały się niższe i bardziej przytulne. Kordon kamienic połączonych dachami lub położonych dość blisko siebie. To z pewnością ułatwiało wędrówki Ransomowi, Karanowi i innym. Ale bliskość tych budowli miała też swoje wady. Ciekawe, że nie bano się pożarów. Uznałam, że po prostu wykorzystywano tu każdy skrawek terenu.

W końcu zeszliśmy po kolejnej drabinie w podobny, ciasny zaułek. Stanęliśmy na skraju ruchliwej ulicy. Ransom przytulony do muru wskazał fasadę wysokiego, szarego budynku. Na parterze tłoczyli się ludzie. Tam przyjmowano klientów, wyżej prawdopodobnie mieściły się biura.

– Zaczekam tu na ciebie, za bardzo się wyróżniam w tej dzielnicy – stwierdził, nakładając kaptur i chowając głębiej w zaułku. Poczułam się niepewnie bez niego, ale wzięłam głęboki oddech, poprawiłam swoją skórzaną kurtkę, wytupałam ziemię z butów i włączyłam się w ruch pieszych. Usiłowałam wytworzyć aurę pewności siebie, która niestety została kompletnie stłamszona, gdy tylko przekroczyłam próg banku. Prezentowałam się słabo. Kobiety i mężczyźni w marynarkach i eleganckich butach witali mnie z uśmiechem, a ja szłam po dywanach, na których zamiast komfortowo, czułam się jak intruz.

– Przepraszam, chciałabym porozmawiać z jakimś przedstawicielem bankowym... Ojciec przelał mi coś na konto, ale w zasadzie nie wiem, jaką kwotą dysponuję i trochę czuję się zagubiona w całym systemie – zagadnęłam jednego z pracowników, wypowiadając jednym tchem ułożoną w głowie formułkę. Musiałam ją powtórzyć jeszcze ze dwa razy, bo przekazywano mnie sobie z rąk do rąk.

Zatrzymałam się w kolejce, gdzie przede mną stała nieco otyła kobieta w paskudnym futrzanym kołnierzu i ekstrawaganckim pasiastym kostiumie. Wyglądała trochę jak ożywiony fotel z retro tapicerką. Czekać, nie mogłam się powstrzymać od rozglądania wokół. Wnętrze było bardzo nowoczesne i robiło wrażenie. Ze zdumieniem śledziłam ludzi niosących ciekawe urządzenia przypominające dwie plastikowe rurki z rozpiętą pomiędzy folią. Można było je złożyć – jedna część wpasowywała się w drugą – do kształtu niewielkiego walca, długości mniej więcej dwudziestu centymetrów i średnicy dwu. Na folii wyświetlał się tekst, ale można go było dostrzec tylko pod pewnym kątem. Z boku blakł i był zupełnie nieczytelny.

Wreszcie ładnie wyglądająca kobieta w spiętych ciemnych włosach przyjęła mnie do swojego okienka. Wysłuchiła mojej historyjki z zawodowym zainteresowaniem.

– Żaden problem, droga pani. Proszę okazać dokument, zaraz sporządzę plik z wszelkimi danymi. Czy życzy sobie pani szczegółowy raport, czy jedynie stan konta?

– Poproszę szczegółowy – ucieszyłam się.

Musiałam chwilę poczekać. Dłużyło mi się niesamowicie, gdyż z napięciem wpatrywałam się w terminal, który połknął moją kartę identyfikacyjną. Bałam się, że zaraz włączą się alarmy, wpadnie milicja i ktoś powie, że karta jest podrobiona i jestem winna przestępstwa. Nic takiego jednak się nie stało. Byłam tylko proszona o uruchomienie dostępu do informacji przez czytanie linii papilarnych. Zostałam poinformowana, że zgodnie z procedurą bank nie zachowuje do własnej dyspozycji żadnych informacji szczegółowych oprócz stanu konta. Wszelkie dane pozostają bezpieczne wedle preferencji użytkownika, co może się zmienić w przypadku zadeklarowania chęci udziału w personalnym monitorowaniu użytkownika... bla, bla...

– Czy mogę prosić o pani holo?

– Proszę?

– Pani holo-czytnik. Abym mogła zgrać informacje, których sobie pani życzyła.

– A tak, faktycznie. Gapa ze mnie. Zostawiłam w domu... – zawiesiłam głos, bezczelnie czekając, aż pracownica banku rozwiąże ten problem za mnie. Skrzywiła się delikatnie, ale po chwili z wystudiowanym opanowaniem zaproponowała:

– Mamy na stanie kilka holo-czytników w promocji do subkonta. Może zechce pani je nabyć po rynkowej cenie?

– Nie jestem pewna czy mnie stać...

Rzut oka na terminal i uśmiezek kątem warg wzbudziły we mnie przypuszczenie, że owszem, zanim jeszcze usłyszałam z jej ust:

– Z pewnością, to niewielka kwota. Decyduje się pani czy przyjdzie pani innym razem?

– Poproszę.

Formalności nie były długie. Inny pracownik banku poinstruowany przez urzędniczkę przyniósł niepozorne urządzenie. Kobieta z uśmiechem podała mi je, przegrawszy odpowiednie informacje i zapytała, czy może jeszcze w czymś pomóc. Już się podnosiłam, gdy przypomniało mi się coś jeszcze. Wyłuskałam z kieszeni drobny czarny kwadracik, który wydawał mi się czipem. Pokazałam go kobiecie.

– A można gdzieś w pobliżu sprawdzić również to?

Pracownica banku zafrasowała się, obracając w dłoni czarny element.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia, co to jest. Wygląda mi nieco na jakąś starą technologię. U nas niestety nie mamy do tego odpowiednich urządzeń.

Przyjęłam przeprosiny, pożegnałam się i wyszłam.

Już idąc do drzwi, pospiesznie przerzucałam holo. Było intuicyjne i łatwe w obsłudze. Suma na moim koncie przedstawiała się całkiem imponująco. Tak mi się wydawało, choć nie byłam pewna kursu pieniężnego. Natomiast inne informacje, przebijające się przez bełkot urzędowy, były zastanawiające.

Aia Ring; Upoważniona do korzystania z konta o numerze 1000878778; data założenia: rok -1; odsetki – 5%; czas narastania: 82 lata; lokum nieprzypisane, zameldowanie: dzielnica 12 – ulica F. 2, Miasto – Centrum; Obywatelka; Powiązania: A. T. Ring. (baza i konto nieaktywne) hospitalizacja/urazy/choroby: 0.

Reszta dotyczyła historii zakupów i była kompletnie pusta. Dalej zaś były wykresy i oferty banku w kwestii prognoz i rozwoju konta. Wyszłam na ulicę, mrużąc oczy. Podeszłam do zaułka, w którym czekał Ransam.

– I co, załatwiłaś?

A ja się palnęłam w czoło.

– Zapomniałam wypłacić gotówki. Niech to dunder świśnie.

– A po co ci gotówka? Drobnyimi płaci tylko biedota. Jak masz kartę identyfikacyjną, to wszędzie zapłacisz za jej pomocą.

– Tą samą kartą? – Zaczynałam pojmywać, jak cennym nabytkiem jest ta plakietka.

– Tak. A jak twoje dane? Coś ci to podpowiedziało? Adres?

– Dziwny – odparłam wymijająco. Jakoś nie chciałam się chwalić, że mój adres to, jak się domyśliłam, ta sama elektrownia, w której się ocknęłam. – A nie spytasz, ile mam na koncie?

Ransam usiłował wyglądać na obojętnego, ale im bardziej się starał, tym bardziej rozumiałam o co mu chodzi. – Na chleb wystarczy – dodałam. Uśmiech bezwiednie wypełził mi na twarz.

Białowłose wypuścił wstrzymywane powietrze. Chyba mu ulżyło.

Znów ruszyliśmy drogą dachową, aby przenieść się w pobliże ustronnej piekarni. Ransam poinstruował mnie co i jak.

– Tam, widzisz? Tam gdzie stoi taka drewniana konstrukcja z kolorową markizą. Kup trochę chleba, niech będzie najtańszy. Co zdobędziesz. I trochę takich płaskich placków zbożowych. Są bardzo sycące. Weź te z wczoraj...

Weszłam, przywitawszy się, a szczupła, miła pani w średnim wieku skłoniła mi się życzliwie.

– Czy dostanę trochę chleba?

– Oczywiście. Jasny, ciemny? Z ziarnami?

Poprosiłam kilka dużych zwykłych chlebów, placki i wzięłam słoiczek białawej pasty, jako smarowidło. Musiałam dokupić też dwie duże torby do niesienia całych zakupów.

– Będzie przyjęcie? – zagadnęła mnie sprzedawczyni.

– O tak, zaprosiłam sporo osób. Będą kanapki, grzanki i koreczki.

– Jak miło. Z pewnością im posmakuje. Poproszę kartę.

Czytnik okazał się chmurą... Kulistym hologramem, w którym sprzedawczyni umieszczała kartę. Kula rozjarzyła się na zielono i wypłuła moją kartę. Przestraszyłam się, że się nie powiodło, ale pani zapakowała mi wszystko w torby i podała z uśmiechem.

Wyszłam, idąc przez jakiś czas ulicą, tak jak poinstruował mnie Ransam, po czym rozglądając się, aby nikt mnie nie spostrzegł, schowałam się za pobliskim magazynem. Ransam przyprowadził jakiegoś chłopaka i dwie nieznane mi dziewczyny, którzy odebrali ode mnie pieczywo i rozpieczęśli się każde w inną stronę. My z Ransamem też wzięliśmy po bochenku. Ja niosłam moją część zwyczajnie w torbie, a Ransam schował swoją za pazuchą. Chłopak wytłumaczył mi, że w ten sposób chcą uniknąć odkrycia kryjówki. Osoba z wielkimi pakunkami kręcąca się nieopodal „szkoły” mogłaby zdradzić jej umiejscowienie.

– W dodatku mniejsze szanse, że napadnie nas konkurencyjna banda. Tu wiele osób głoduje. Dobra, tamci już chyba wyprzedzili nas dostatecznie dużo.

Zanim jednak ponownie podjęliśmy nasz bieg po dachach, Ransam przygarnął mnie do siebie, przytulając mocno.

– Dziękuję ci, Aio. Spotkanie ciebie jest chyba najlepszą rzeczą, jaka nas ostatnio spotkała.

Wydałam z siebie nieartykułowany dźwięk, gdy siła uścisku wypchnęła ze mnie powietrze.

– Cieszę się, że mogłam się przydać. Widzisz? Karma wraca.

– Co?

– Takie powiedzenie.

Dotarliśmy bezpiecznie na miejsce. Nikt nas nie napadł, tylko ludzie w „szkole” rzucili się na nas gromadnie.

– Skąd wzięliście tyle chleba? – Ove też ułamał sobie kawałek i wpakował do ust.

– Aia zasponsorowała – odparł krótko Ransam. – Gdzie Karan?

– Wyszedł. Chyba poszedł do matki.

– Zostawcie im trochę, jego mama się ucieszy. Aio, pomożesz mi? Rozdzielimy na wszystkich.

Pomagałam ze ściśniętym gardłem. I tym razem nie ze względu na to, że zaciemniona piwnica cuchnęła stęchlizną i ludźmi. Widziałam autentyczną radość z kawałka chleba. Nie było tu bardzo małych dzieci, ale i tak przede wszystkim „szkoła” gościła w swych surowych warunkach młodzież. Kilkoro dorosłych było zbyt słabych aby wstać ze swego posłania.

– Jak sobie radzicie na co dzień? – zachrypiałam na ucho Ransamowi.

– Słabo. Chociaż z wodą nie ma problemu. Czerpiemy ją z kilku kranów wciąż połączonych z wodociągami. Najczęściej trzeba swoje odstać w kolejce, no i nie ma mowy, aby brać więcej, do kąpieli na przykład. Gdy ludzie Wiedźmy zaobserwują znaczny upływ wody, to docierają do takich miejsc i je zamykają na całym odcinku, więc nawet nie ma możliwości podłączenia się gdzieś obok do rur. Z jedzeniem jest gorzej. Czasem coś podkradniemy, czasem robimy zrzutkę z zarobionych groszaków. Często obywamy się bez jedzenia kilka dni.

– A leki?

– Leki nam podrzucają dobrzy ludzie. Mamy kilka dobrych dusz, które nam pomagają. Ale to i tak za mało. Oni tu leżą na betonie, w zimnej zatęchłej piwnicy... To nie za dobre dla zdrowia. Ale nie mamy gdzie się przenieść. Księżycowa Wiedźma węszy.

– Jak gadałam ze sklepikarką, wyglądała na zwykłą, miłą panią. Niektórym żyje się całkiem dobrze.

Ransam zmełł w ustach przekleństwo.

– I to mnie właśnie najbardziej martwi. Jeśli podpadniesz Wiedźmie i jej milicji, kończy się piękne normalne życie. Nie każdy może być zwykłym obywatelem.

Trochę nam zeszło, bo ludzi unieruchomionych było kilkunastu a trzeba było im pomóc, podtrzymać w pozycji siedzącej, aby się nie zadławili, napoić, ułożyć z powrotem. Chleb łamać na drobne kawałki.

Usiedliśmy pod ścianą i żuliśmy swój przydział. Ransam odetchnął zadowolony.

– Karan się ucieszy. A zwłaszcza jego mama. Zawsze się złości, kiedy Karan przynosi kradzione pieniądze albo kupuje za kradzione. Jest problem, bo wtedy matka nie chce jeść tych rzeczy...

Umilkł nagle, bo w podziemia wpadła Louise, dziewczyna, którą widziałam rano. Była zdyszana i przestraszona.

– Co się stało? – Ransom zerwał się z podłogi i chwycił dziewczynę za ramię.

– Karan... Milicja zabrała Karana.

ROZDZIAŁ 5. Kraina Gier

– Jak to zabrali, kiedy? Co takiego zrobił? – Ransam ścisnął łokieć Louise tak mocno, aż ta pisnęła z bólu.

– Przyłapali go, jak kradł.

Zamilkliśmy w chwili pełnej napięcia. Ransam złapał się rękami za głowę, puścił, chwycił za żołądek, zrobił kilka niezdecydowanych kroków jak tygrys w za ciasnej klatce. Wszystko to w kompletnej ciszy. Stałam jak sparaliżowana, czekając na wybuch. Ale chłopak się opanował. Przeprosił cicho Louise i ruszył do wyjścia. Pochylony i jakby mniejszy.

Widać było, że chce być sam.

„Co mam robić, co mam robić, co mam robić...!?” W głowie przetaczało mi się tylko to jedno zdanie jak napis na elektronicznym szyldzie. Poza tym pustka i rosnąca groza. To znaczy, że Karan trafi do Krainy Gier? Czy za złodziejstwo czeka go śmierć?

– Owe, co będzie z Karanem? – zapytałam stojącego za moimi plecami chłopaka.

– Nie wiem... Na razie chyba go zamknęli.

– Gdzie? Czy ludzie stamtąd wychodzą po odsiadce?

Owe zawahał się.

– Nie jestem pewien. Nie wydaje mi się, by kogokolwiek puścili wolno. Ale nie mam pojęcia, co tam się dzieje.

– Czyli nie widzieliście jak giną? Czy tę makabrę w Krainie Gier można oglądać, czy to jest widowisko publiczne, czy tylko...

– Aio. – Owe miał zboląłą minę. – Nie wiem, nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem Krainy Gier. Z nas wszystkich był tam chyba tylko Ransam, może Johtaja...

– A wiesz, gdzie przetrzymują schwytanych? Macie tu jakieś więzienie?

– Jest taki budynek, który dobrzy obywatele nazywają karcerem, a my pieszczotliwie kostnicą.

Wzdrygnęłam się.

– Pokaż mi go.

Parę minut później ja i Owe spoglądaliśmy na okalający karcer mur i zmieniających się strażników przy wejściu. Leżeliśmy na brzuchach, wyglądając z dachu hangaru, który dawał najlepszy widok na karcer. Pod nami cicho buczały jakieś maszyny.

– Co teraz? Co chcesz zrobić?

– Jeszcze niezupełnie wiem – przyznałam w zadumie. – Trochę to poważniej wygląda niż w mojej wyobraźni.

Ove prychnął zniechęcony.

– No to powodzenia. Ja się zwijam, zanim nas nakryją. – Mruknęłam coś niewyraźnie w odpowiedzi. Ove trącił mnie w ramię. – Daj sobie spokój, nic nie poradzisz. Jak ktoś wpadł w szpony Wiedźmy Eco, to już go tak łatwo nie wypuści.

– Eco?

– Tak ma na imię. Przecież nikt normalnie nie nazywa jej Wiedźmą. Ja spływam.

Ove ulotnił się, zeskakując po drugiej stronie dachu, a ja pozwalałam sobie na wszelkie najbardziej absurdałne wizje, byle tylko jakaś naprowadziła mnie na dobry pomysł...

Zeskoczyłam z dachu, starając się nie narobić rabanu, ani nie zwracać na siebie uwagi. Sterty śmieci, w jakie zeskoczyłam, stłumiły wszelki hałas. Okrążyłam zespół hangarów i magazynów, by wyjść jak grzeczna obywatelka od głównej drogi, wprost do budki strażniczej. Zignorowałam wartowników, uznając, że pewnie nawet nie będą mogli się do mnie odezwać.

Zapukałam do przeszklonego budynekczku, w którym siedział mundurowy i notował coś w czytniku na wyświetlającej się holo-klawiaturze.

– Dzień dobry! Przepraszam... Dzień dobry! – Skinęłam mężczyźnie, który uchylił drzwiczki i patrzył na mnie nieco zaskoczony. – Czy będą... Gdzie mogę się dowiedzieć, kiedy jest najbliższy spektakl?

– W Krainie Gier? – Przytaknęłam. – Na pewno podadzą informację w wiadomościach, a za kilka dni będzie emisja powtórkowa z całego ostatniego sezonu.

– A na żywo?

– Nie orientuję się. Proszę oglądać wiadomości.

– Aaa... bo to dopiero wieczorem, a ja słyszałam, że to może już dzisiaj, bo złapano sporo nowych... – zacięłam się. Strażnik wyglądał teraz na poirytowanego.

– Proszę pani, nie mam takich informacji. Będzie pani łaskawa nie zawracać mi głowy.

Zamknął mi drzwiczki do stróżówki przed nosem, a ja nie, mając żadnego innego pomysłu, odeszłam na stosowną odległość i zza węgła jednej z uliczek wpatrywałam się w budynek karceru, wciąż gorączkowo główkując.

– Co ty wyprawiasz! – Syk za moimi plecami i nieprzyjemny ucisk pod lewą łopatką. Dziewczęcy głos.

– Stoję sobie w zaułku i patrzę – odparłam grzecznie, starając się przekonać samą siebie, że przecież nie można mi niczego zarzucić.

– Gadasz z tymi padalcami. Sprzedajesz, co? Przyznaj się! – Moja rozmówczyni wbijała mi pod łopatkę coraz boleśniej jakiś przedmiot.

– Ja się tylko chciałam dowiedzieć, kiedy będzie organizowany spektakl w Krainie Gier.

– Po co? Gadaj, po co!? Ale już!

– Wypchaj się! – Wywinęłam się, aby zobaczyć, z kim tak miło gawędzę. Dziewczyna nieco niższa ode mnie miała, jeśli nie więcej siły, to sporo umiejętności. Wykręciła mi rękę i przyparła do muru, celując z małego pistoletu w twarz.

– O, ja cię już widziałam – stwierdziłam z ukontentowaniem, czerpiąc radość z każdej zapamiętanej rzeczy. Drobne, chude dziewczę z kucykami było prawą ręką „szefowej” Johtai. Obie odgrażały mi się, gdy wiedzioną gniewem pobiegłam za Księżycową Wiedźmą.

– I czego leziesz policji pod nos? Na co ci Kraina Gier, pomóc ci się tam wybrać? Ha!? – zagroziła mi złowieszczo.

– Tak – odparłam wesoło. – Tak! – powtórzyłam olśniona, bo wreszcie wpadłam na diabelski plan. – Dawaj kochana, pomożesz mi, co?

– Zdurniałaś? – Skrzywiła się, odsuwając ode mnie, jakbym była włochatą gąsiennicą. Nadal jednak mierzyła we mnie z pistoletu.

– Nie, nie, nie. Rzecz wygląda tak: złapali jednego z chłopców ze „szkoły”. A czy można jeszcze spotkać kogoś złapanego przez Wiedźmę?

– No. Można. Jak się wybierzesz na spektakl.

– Bingo kochana. Ale czy można po prostu na niego pójść?

– Obywatele mogą, mają wstęp wolny. Jesteś obywatelką?

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie wydruk z konta bankowego.

– Ano – mruknęłam lakonicznie.

Otaksowała mnie, serwując krzywą minę numer dwa.

– Bawi cię oglądanie kaźni? Mnie nie bawi, wiesz?

– Kochana, jestem najdalej od czerpania satysfakcji z takich rozrywek, uwierz. Posłuchaj, z pewnością kazali ci mnie pilnować, żebyś była zajęta i zdyscyplinowana. Ty już jesteś jak żołnierz, nie potrzebujesz takiej musztry, ale niech będzie. Pilnuj mnie. Zawsze możesz powiedzieć, że podjęłaś decyzję, aby mnie kontrolować, bo wydawałam się niespełna rozumu i mogłam, pozostawiona sama sobie, przeszkodzić realizować... To, w co się tam bawicie.

Wyłożyłam koncepcję zdumionej dziewczynie bardzo przekonującym tonem, analizując sytuację ekspresowo i improwizując rozpaczliwie. „Byle się zgodziła. Nie może mieć zbyt dużo czasu do namysłu, to się zgodzi” – myślałam. Ale już widziałam, że się waha. Postanowiłam zagrać inaczej.

– Albo pójdziesz ze mną, albo i tak zrobię, co chcę. Lepiej, żeby ktoś miał na mnie oko prawda? – dodałam łobuzersko i odwróciłam się w kierunku ulicy. Usłyszałam tylko lekkie kroki. Idzie. „Dobra jest! Połowa sukcesu!”.

Działanie mnie cieszyło. Miałam poczucie, że to zawsze lepsze niż bezczynność.

Znów zaczął padać deszcz. Gdy odeszłyśmy na bezpieczną odległość od karceru, zapytałam:

– Jak się dostać do Krainy Gier? W sensie na trybuny, czy co to tam jest?

– To poza Centrum. Trzeba tam pójść lub pojechać.

– Pojechać?

– Jest pociąg. Jeździ wokół Centrum i jeden kurs odbija w stronę Krainy Gier. Ale kolejką jeżdżą elity. Zwykły obywatel musi mieć zaproszenie.

– Aaa, to trochę kłopot. Ale damy radę. Czy ty jesteś obywatelką?

– Byłam. Moja karta identyfikacyjna straciła ważność.

– No dobrze, a elity... gdzie mieszkają?

– W porządnym dzielnicach. Nie wiem, co planujesz, ale widzę, że szamoczesz się bez sensu. Nie będę marnować na ciebie czasu. Ale jak spróbujesz pójść tam na gapę, to słowo daję, wylądujesz w Krainie Gier, zanim piśniesz słówko.

– Dobra, nie kwękaj. Plan jest taki, że zdobędziemy referencje.

– Refe... co?

– No, wbijemy się do elit kochana.

– Chyba cię pokręciło. I, do diaska, przestań mnie tak nazywać! Mam na imię Hiiri.

Uśmiechnęłam się pogodnie.

– Pani koleżanko, prowadź do jakiejś bogatej dzielnicy!... A nie, nie nie... Czekaj. Trzeba zrobić z siebie najpierw idiotki. Idziemy do sklepu.

Ruszyłam w kierunku, gdzie spodziewałam się znaleźć centrum handlowe. Hiiri powłokła się za mną bardzo niezadowolona, narzekając bezustannie.

Dotarłyśmy bez problemu, choć nieco lawirowałam w uliczkach, kierując się jedynie moim wątpliwym zmysłem kierunku. Obserwując witryny, znalazłam okazały sklep. Był to lokal oferujący absurdalną modę elit. Kolory cieszyły oko psychopaty, a forma wyznawców kubizmu. Weszłam, chowając dumę do kieszeni i ciągnąc Hiiri za sobą jak prosiaka na rzeź. Opierała się dzielnie, ale okazałam się silniejsza. Wybrałam stroje, które nawet mnie samej obniżyły poziom zdrowia psychicznego o połowę. Miałam białe spodnie w prążki okraszone eleganckimi dziurami i łańcuszkami, opalizującą koszulę i wściekło-różową kamizelę z bufkami, których nie powstydzilaby się sama Wiedźma Eco, oraz kapelusz o rondzie wielkości

parasola. Szukając pozytywów, stwierdziłam, że nie będzie na mnie padać. Może istotnie takie było zamierzenie projektanta?

Hiiri dostała sukienkę, która byłaby nawet ciekawa, gdyby nie szare kółka z tworzywa powodujące, że nie sposób było się do niej zbliżyć. Opasywały jej talię, ramiona i zachodziły na spódnicę. Sprawiałam jej też mściwie obrzydliwe białe butki, które miały być dostatecznie wygodne i szkaradne zarazem. Moje zachowałam na nogach. I tak kryły się pod przydługą nogawką. Dziewczyna była skrajnie nieszczęśliwa, ale chyba zaczęła łapać moją ideę.

Zapłaciłam kartą, dokupując wielką torbę (kolejny koszmarek), w której pochowałam nasze rzeczy. Wyglądałyśmy paskudnie i tak się czułyśmy, ale nie traciłam ducha.

– Teraz idziemy, kochana Elizo, w odwiedzin.

– Jak mnie nazwałaś? – warknęła gniewnie.

– Pseudonim artystyczny – uśmiechnęłam się nieszczerze.

Zabrnawszy do dzielnicy dla bogaczy, czułam, że czas zaczyna uciekać nam coraz bardziej, ale nie miałam innego pomysłu i liczyłam, że trochę to jednak potrwa, zanim Karan wkroczy na arenę Krainy Gier.

Popatrzyłam krytycznie na domy i wybrałam ten, którego ogród był najmniej szkaradny. Było to trudne. Ludzie ozdabiali swe ogródki rzeźbami i betonem, ściskając rośliny w kształtach Odmawiających im jakiegokolwiek rozsądnego rozwoju. Zadryndałam do furtki. Mimo absurdałności sytuacji miałam poczucie cofnięcia w czasie.

– Słucham? – Wyrzała umalowana kobieta, w makijażu będącym skrzyżowaniem koszmaru cybernetycznej gejszy z królową dancingu. Farba na twarzy zaburzała odbiór wieku. Była szczupła, średniego wzrostu, w czymś srebrnym, co mogło uchodzić zarówno za kostium, szlafrok, sukienkę oraz nieudane przebranie robota z folii aluminiowej.

– Dzień dobry, chciałam się przywitać. Jestem Sydonia z sąsiedztwa. To znaczy zamierzam się po sąsiedzku wprowadzić,

– O rety, jaka niespodzianka. Proszę, proszę. Nieczęsto mam gości. – Kobieta sprawiała irracjonalne wrażenie szczerze ucieszonej. Rzuciłam Hiiri nieco zaskoczone spojrzenie. Nie miałam pojęcia, że pójdzie tak łatwo.

– Nie chcemy przeszkadzać – odparłam nieco odruchowo.

– Ależ co pani mówi, proszę choć na herbatkę. Mam pyszne maślane ciasteczka.

Weszłyśmy trochę spłoszone. Siliłam się na swobodny krok, ale zaczęłam też odczuwać okruszynki paniki. Kobieta otworzyła drzwi i wpuściła nas do salonu. Było przytulnie. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale milusie kanapy, fotele i pufki aż skłaniały do umoszczenia się na nich. Ściany były szare, upstrzone kolorowym malarstwem. Kolorowe szkiełka, blaszki

i breloczki w firanach błyszczały od delikatnego światła świec. W pomieszczeniu było zapalone także zwyczajne światło, gdyż zachmurzone niebo za oknem powodowało wewnątrz półmrok.

– Proszę, proszę, siadajcie. Zaraz polecę zrobić coś gorącego. Jacqueline! Herbata!

W sąsiednim pokoju zakręciła się jakaś istota. Mignęła mi tylko spódnica. Służąca.

– Nazywam się Jaana Poliszenko. Mieszkam tu sama. Skąd pani jest?

Pani Poliszenko była chyba w średnim wieku i sprawiała miłe wrażenie. Oczywiście poza wyglądem. Czy taka osoba w ogóle bywa w Krainie Gier?

– Przeprowadziłam się tutaj kilka dni temu. Jeszcze szukam dobrego lokum, ale ta dzielnica wygląda obiecująco. Chciałam od razu nawiązać jakieś znajomości. Proszę wybaczyć, że tak bez zaproszenia...

– Ależ skąd! Przyznam, że zdziwiłam się, widząc taką młodą damę, ale to dla mnie duża przyjemność. Czy pani tu z rodziną?

– Nie. Mamy dom niedaleko rejonu Centrum, ale ojciec woli, jak jest spokojniej i więcej drzew. Mnie ciągnęło do Centrum, więc wysłał mnie tutaj. Czuję się jeszcze trochę zagubiona, bywałam w Centrum jako mała dziewczynka. Praktycznie nic nie pamiętam.

– Poważnie? A to zaskoczenie. Ale naprawdę warto przyjrzeć się Miastu od środka. Niemniej rozumiem pani ojca, pani Sydonio, zgiełk tutejszych klubów, wysokie wieżowce, to może być przytłaczające. Ale w naszej dzielnicy jest bardzo przytulnie. Powinien panią odwiedzić tutaj, może rozważy przeprowadzkę. Ja nie wyobrażam sobie życia poza Centrum.

– Wszędzie jest blisko, parę kroków i ma się sklep pod ręką – podchwyciłam.

– No dokładnie. Czasem chodzę, nawet nic nie kupuję. Tylko śledzę nowinki. Albo umawiam się z przyjaciółmi. Doprawdy to moja największa rozrywka.

– A propos, słyszałam, że ludzie czasem chodzą obejrzeć... tę... Mmm... Krainę Zabaw?

Pani Poliszenko skrzywiła się nieznacznie.

– Krainę Gier. Tak, owszem. To popularna rozrywka. Pani Eco zaprasza regularnie na widowisko, ale ja nie przepadam. Trochę za głośno dla mnie. Nie chce mi się jeździć. To dla młodszych... Ale wiesz, jeśli miałabyś ochotę się wybrać... Przepraszam, że tak przesłam na ty. Czy mogę?...

– Bez problemu, naprawdę, będzie mi miło.

Służąca – zwykła kobieta w szarej spódnicy – przyniosła herbatę i ciastka. Napar był gorzki i zostawiał dziwny posmak na języku. Wolałam tę, którą babka Szechna częstowała w Klanie Psa. Ale ciepły napój i tak przyjemnie rozplýwał się po ciele. Hiiri też dostała, ale nie tknęła swojej filiżanki. Ciasteczka były dobre. Pani Poliszenko podjęła:

– Więc pozwolę sobie. Sydonio, moi sąsiedzi wybierają się regularnie. Jeśli masz ochotę, to cię przedstawię. To młoda para, myślę, że się dogadacie.

– Och tak! Byłabym zobowiązana! – ucieszyłam się szczerze, a pani Poliszenko uśmiechnęła się z lekkim politowaniem acz życzliwie. Rozmawialiśmy przez jakiś czas. Hiiri była milcząca i grała służącą, która towarzyszy swojej pani. Doskonale niewidzialna.

Wymieniłyśmy kilka uwag dotyczących organizacji Miasta, techniki, dobrodziejstw, jakie Pani Eco zapewnia Miastu, nieco o sąsiadach. Rozmawiało się lekko i naturalnie, prawie przestałam zwracać uwagę na dziwny makijaż i strój gospodyni. W końcu uznałam, że wypada się pożegnać.

– Pani Poliszenko, na nas już czas. Pięknie dziękuję za herbatę. Czy mogę panią jeszcze odwiedzić?

– Ależ! Jeśli nie będzie cię nużyć towarzystwo starszej pani, to z przyjemnością cię ugoszczę, Sydonio. A proszę, jeśli masz jeszcze chwilę, przedstawię cię Valentinim.

Zgodziłam się niby z wahaniem i podreptałyśmy za nią do następnych drzwi. Otworzyła nam młoda kobieta w platynowych blond włosach z wielką fioletową kryzą wokół szyi.

– A, pani Jaana. Co za miła niespodzianka. A my jedziemy zaraz z Frankiem na spektakl. Wybiera się pani z nami?

– O, kochana, wiesz, że nie zwykłam tam bywać. Chciałam natomiast przedstawić wam uroczą młodą damę. Sydonio, to Caelia Valentini. Caelio, Sydonia zamierza się wprowadzić w okolice, niedawno zjawiała się w Centrum.

– Doprawdy? Może wejdziecie? Frank chyba jest jeszcze na górze.

Weszliśmy do nowocześnie urządzonego mieszkania pełnego szklanych i metalowych mebli. Pani Caelia miała na sobie zielone spodnie, podobne do moich, i futro – pelerynę zarzucaną na kryzę.

– Boska bluzka, gdzie kupiłaś? – zachwyciła się moim ubraniem i nie była to chyba niestety wyłącznie grzeczność. Ta kobieta naprawdę była pod wrażeniem.

Podaliśmy nazwę sklepu i poświęciłyśmy chwilę na rozmowę o modzie, gdzie moja improwizacja i kreatywność wspięły się na wyżyny i dotarły do granic głębokiego kłamstwa. Byłam z siebie dumna, starałam się tylko nie patrzeć na Hiiri, która stała skromnie z boku i pewnie zastanawiała się, jak do tego doszło, że w ogóle znalazła się w tym miejscu i w takim towarzystwie.

Po chwili zszedł do nas pan Frank. Dokonano prędkiej prezentacji. Nadal staliśmy w holu. Pan Frank zapinał szeroką bransoletę na opiętych rękawach wyciętej koszuli, która może nadawałaby się na rewij taneczną, ale z pewnością nie na co dzień.

– Dzień dobry, miło mi. Frank Valentini. – Uścisnęliśmy sobie dłonie. – Przepraszam, że tak w progu, ale właśnie wybieramy się na spektakl do Krainy Gier... Chętnie byśmy ugościli...

– Ależ proszę się nie kłopotać. Zdążyłam zabrać już dość czasu pani Poliszenko.

– Frank, a może Sydonia poszłaby z nami? – zaproponowała pani Caelia, a jej mążonek przyklasnął temu pomysłowi.

– Bardzo chętnie, ale nie wiem, czy to odpowiedni strój – zająknęłam się kokieteryjnie.

– Żartujesz? – Pani Caelia chyba poczuła do mnie sympatię. – Wyglądasz rewelacyjnie. Jak wprost z butiku. Jedź z nami. Widziałas już widowisko?

– Nie, nie miałam okazji. Tylko słyszałam opowieści.

– W takim razie już was nie zajmuję. – Pani Poliszenko się uśmiechnęła. – Sydonio, zostawiam cię pod opieką przyjaciół. Baw się dobrze i do zobaczenia, mam nadzieję.

Uśmiechnęłam się, przytakując. Pani z domku obok poszła do siebie, machając nam na do widzenia, a ja ruszyłam z państwem Valentini i Hiiri, która chwyciła mnie za łokieć i wyszeptała, gdy młode małżeństwo było obrócone do nas plecami:

– No nieźle. Jesteś szalona. – Starła się zachować poprzedni nadąsany ton, ale w jej głosie wyczułam również podziw.

– Ha! Się wie! Jedziemy sobie na wycieczkę. – Zatarłam ręce, ciesząc się, że mój plan przebiega bez przeszkód.

Przeszliśmy kawałek pieszko, aż dotarliśmy do stacji. Rozmawialiśmy luźno, a ja puściłam wodze fantazji i gładko łągałam o moim wymyślonym ojcu, naszym poprzednim miejscu zamieszkania i dotychczasowym życiu. Niektóre pomysły podpowiadali mi państwo Valentini nieświadomi, że śledzę uważnie każdą ich reakcję oraz pytania, w których zawarte były podpowiedzi. Gdy czułam się zapędzona w kozi róg, udawałam, że temat jest dla mnie trudny i nie chcę o tym mówić. W zasadzie to akurat była prawda, choć w innym kontekście.

Hiiri na szczęście odnalazła się w roli milczącej służki, którą łatwo było ignorować. Udawało jej się też zachować kamienną twarz. Państwo Valentini zdawali się jej nie zauważać. Cieszyłam się, że moje założenie okazało się trafne.

Pociąg podjechał prędko. Był niewielki – obła kapsuła na szynach, o wielkich oknach i wielu szklanych elementach. W środku umieszczono całkiem wygodne fotele, bardziej w stylu salonu niż pociągu. Ludzi było niewielu, a wszyscy wyglądali na elitę, bo jak założyłam, ci najbogatsi ubierali się najfatalniej. Z nami wsiadły jeszcze trzy osoby, a kilka siedziało już w środku, prowadząc ciche rozmowy.

„Nie ma jak przejażdżka” – stwierdziłam w myślach. „Wyglądają jakby jechali do teatru, na miłe, kulturalne *tête à tête* ze sztuką”.

Mimo iż pociąg jechał dość wolno, prędko wydostaliśmy się z dzielnic Centrum i wyjechaliśmy między krzaki graniczne rejonów środkowych. Nie było zbyt wiele widać, bo nasyp kolejowy odgraniczały pagórki po obu stronach. W końcu pociąg lekko skręcił i trafiliśmy na stację. Obok widać było wysokie ściany amfiteatru czy stadionu. Ruszyliśmy wraz z tłumem, przechodząc do wejścia. Stał tam milicjant albo ochroniarz... W każdym razie ktoś odpowiedzialny za sprawdzanie biletów. Państwo Valentini uprzedzili mnie, że mogę je kupić na miejscu, za ich poleceniem. Tak też zrobiłam.

– Czy służba ma jakąś zniżkę? – zapytałam, gdy mężczyzna w mundurze wydał mi kartonik biletu.

– Tak, ale tylko jedna osoba. Jeśli ktoś chce wziąć ze sobą więcej domowników, musi zapłacić za nich pełną cenę.

– A, to mam szczęście, że tylko Eliza jest ze mną.

– Macie jeszcze w domu więcej domowników? – zapytał Caelia. Z kontekstu zrozumiałam, że do domowników nie zalicza się rodzina, a pokojówki, przyzwoitki i inne pracujące w domu osoby.

– W domu zostało jeszcze dwóch. Ale ich potrzebuje ojciec. Cieszę się, że mam ze sobą Elizę. To zawsze raźniej.

– Ja się cieszę, że mam Franka, samotna kobieta ma najgorzej. Ale niekiedy przydałby się ktoś towarzyszący, ostatnio dzielnice nie są zbyt bezpieczne. Boję się przede wszystkim złodziei. My zatrudniamy tylko czasową służbę, do pracy wokół domu i tak dalej. Ale staramy się o dziecko i z czasem może być potrzebny ktoś do pomocy.

Gawędziłyśmy z panią Caelią, a pan Frank szukał dla nas dogodnego miejsca. Nie były numerowane. We wnętrzu wspięliśmy się po schodach na samą górę i dopiero stamtąd goście przechodzili w dół. Znajdowaliśmy się wysoko, a trybuny rozciągały się wokół całej przestrzeni areny. Tylko specjalnie odgródzone miejsce wyglądało na obszar dla vipów. Ściana odgradzająca nas od ziemi miała wysokość chyba drugiego piętra. Na tyle bezpiecznie, aby przypadkiem nikt z widzów nie został ranny.

Arena prezentowała się niewinnie i przywodziła na myśl raczej tor z przeszkodami. Zbudowano różne konstrukcje z drewna, całość była zaś wysypana piaskiem. Usiedliśmy w środku, bo brzegi przy barierce były już pozajmowane. Ze względu na jesienny chłód nieprzyjemnie było siadać na zimne ławy. Ale pan Valentini podał nam koce przygotowane dla wygody publiczności.

– Siadajcie, o tej porze roku to już chyba jedno z ostatnich widowisk. Dobrze, że przestało padać.

Faktycznie. Niebo nieco się roz pogodziło i czasem przebijało słońce. Stadion nie był kryty, więc w deszczowe dni musieli tu przychodzić tylko najwytrwalsi wielbicieli makabry.

– To zawsze tak wygląda? – zapytałam, wskazując arenę.

– O nie – odparł pan Frank, wychylając się zza żony. – Zazwyczaj jest o wiele więcej konstrukcji i widzę, że tym razem wyrównali teren. Arena zupełnie się zmienia, ale zapewniam, nigdy nie jest nudno. Pani Eco Wykazuje się w tej kwestii dużą pomysłowością.

– Czy leje się krew? – zapytałam ostrożnie, a pan Frank zastanowił się.

– To zależy – wsparła go pani Caelia. – Ostatnio zrobili scenę kabaretową. Było dość krwawo, ale bardzo ładnie się to komponowało z wystrojem. Scenografia była fe-no-me-nal-na – zaznaczyła ze znanstwem.

– Dziś zapowiadają się konkurencje. Ciekaw jestem, jacy będą uczestnicy.

Jakby w odpowiedzi rozległ się gong i popłynął w naszym kierunku głos spikera.

– Witamy na jesiennym widowisku Krainy Gier inicjowanej i finansowanej przez miłośniczkę nam zarządzającą panią Eco Moonlight! – Rozległy się gromkie wiwaty.

„Kurczę, elita naprawdę ma za co ją kochać” – pomyślałam w duchu. Mimo lekkiego tonu, jakim starałam się rozmawiać do tej pory z państwem Valentini, czułam się coraz bardziej spięta. Denerwowałam się. Nie chciałam oglądać makabry. Liczyłam jedynie, że Karan nie pojawi się wcale. A może uda się go jakoś jeszcze uratować. Może odkryję, gdzie przetrzymują więźniów albo... Oklaski umilkły i spiker podjął konferansjerkę:

– Dziś, drodzy państwo, mamy zaszczyt przedstawić zawody w luźnej konwencji, gdzie uczestnicy walczą ze sobą. Wszelkie chwytaki są dowolne. Zaprezentujemy państwu sprawnych młodzieńców, których zadaniem będzie po prostu wygrać. Oto i oni!

Aż wstałam ze swojego miejsca, chcąc dobrze przyjrzeć się wchodzącym. Moje nadzieje natychmiast się rozwiały, gdy Karan pojawił się we wrotach areny, jako pierwszy. Był ubrany w jasne, szare spodnie i miał goły tors nabłyszczony czymś dla efektu. Za nim wkroczyło kilku innych. W sumie było ich ośmiu.

– E, dziś niewiele – stwierdził pan Frank z pewnym rozczarowaniem. – Lubię spektakle, gdy jest dużo aktorów. Jak jest ich tylko tyłu, to trochę giną wizualnie w scenerii.

I nie tylko wizualnie. „Zaraz, jakich aktorów? To oni wierzą, że to wszystko na niby?”

– A to nie jest naprawdę? – zapytałam naiwnym tonem. Państwo Valentini spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Ach, oczywiście, że naprawdę. Ale, no wiesz. No to jest aktorstwo właśnie. Oni tak się poświęcają. To dla sztuki. Sama zrozumiesz. – Pani Caelia poklepała mnie po nodze konfidencko.

Jasne. Dla sztuki. Może Eco robi taką propagandę i sprawia, że cały spektakl jest moralnie usprawiedliwiony. Jakie to dziwne.

– Co innego, gdy zamiast aktorów wypuszczają na arenę odmieńców – zauważyła pani Cealia po chwili. – No, ale wiadomo, to zasadniczo nie są ludzie.

– Naprawdę? A kto się pojawia na przykład? – Myśli galopowały mi jak szalone. Oczywiście było, że mówi o zdeformowanych ludziach z innych klanów. Z obrzeży Miasta. Wizja doprowadzonego do obłędu członka Klanu Psa sprawiła, że zadrżałam.

– Skończył się sezon na to – wtrącił pan Frank. – Choć dość interesująco było oglądać potyczki gruboskórnych. Jak ich nazywają? Plemię o skórze nosorożca. Ileż to miało siły!

Nie podjęłam tematu, skupiając się na arenie.

Młodzi mężczyźni szli wyprostowani, zamaszystym krokiem, twarze mieli napięte... A przynajmniej tak mi się wydawało z tej odległości. Ustawili się na razie na środku i patrzyli na siebie spode łba. Też dziwne. Żaden nie wyglądał na przestraszonego. Nikt ich nie wyganiał ani nie popychał. Nie wyglądali też wcale na więźniów. Wręcz przeciwnie. Przeszedł mnie dreszcz. Spiker coś jeszcze mówił, ale nie skoncentrowałam się na tym. Wyteżałam oczy, chcąc mieć pewność, co widzę. Wtem ponownie zabrzmiał gong. Uczestnicy rozbiegli się, zajmując dogodne pozycje. Któryś wdrapał się na drewniany postument, inny ułamał jakiś fragment słupa i ujął w dłoń, ewidentnie w celu użycia jako broni. Karan pozostał na ziemi i to bardzo blisko jednego z młodzieńców, który nie spuszczał z niego oczu. Coś mi tu nie pasowało. Spodziewałam się różnych rzeczy, ale czemu to wyglądało tak... agresywnie?

Zabrzmiał kolejny gong i rozpętało się piekło. Młodzieńcy rzucili się na siebie, jakby nie mogli się tego doczekać. Żaden nie wykazywał wahania i byli dla siebie prawdziwie bezlitośni. Poczułam, że Hiiri wbija mi paznokcie w ramię. Rzuciłam jej spojrzenie z ukosa. Była przestraszona, choć bardzo starała się to ukryć. Ja się wzdrygałam raz po raz i kilka razy wciągnęłam gwałtownie powietrze, zatykając usta dłonią i modląc się w duchu, aby pozostało to niezauważone.

Walczący nacierali bez planu. W bitewnym szale zdobyczną bronią, czy gołymi pięściami okładał się każdy z każdym. Nie wydaje mi się, aby powstawały jakieś sojusze bądź układy. Karan miotał się, wzniecając tumany piachu. Bił się nie za dobrze, ale był zwinny i szybki, dzięki czemu przynajmniej obrywał mniej. Wkrótce kilka ciał leżało na ziemi. Choć należy zaznaczyć, że gdy ktoś lądował plecami w piachu i był zdolny do walki, mimo ran podnosił się równie prędko... Krwawili niewiele, ale czułam, że to nie jest naturalne. Jedynie rany na głowie sączyły się strużkami. Przypomniłam mi się rozcięty narkoman niedawno złapany przez milicję.

„To nie są ich prawdziwe emocje, to nie jest prawdziwa walka” – uświadomiłam sobie.

- Ten w środku, co ma trochę ciemniejszą skórę, wygląda super – zaryzykowałam uwagę.
- Podoba ci się? Ja śledzę tego z kijem. Ależ silny chłopak! – Pan Frank wyraził to z uznaniem. Wyraźnie świetnie się bawił. Pani Caelia pochyliła się do mnie i szepnęła:
 - Masz rację złotko, ten ciemnowłosy jest bardzo fajny. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie. No tak. Nie będzie przecież chwalić młodzieńców przy mężu. Cóż za takt.
 - Ten z kijem też jest niezły, o i ten z boku... Ale stawiam na czarnowłosego – odparłam, chcąc zwrócić uwagę Valentinich na Karana.
 - Chcesz go kupić? – zaproponowała pani Caelia. – Nawiązuję do wcześniejszej rozmowy o domownikach. Jeśli mieszkasz sama w Mieście, może ci się przydać ktoś taki.
 - A można ich kupić? – zapytałam cienkim głosem, czując, że i mnie udziela się ziejąca z areny adrenalina.
 - Raczej tak. Ale nie wiem, gdzie to zgłosić...
 - Możesz przekazać strażnikowi. On pójdzie dać znać organizatorom – zaproponował pan Frank życzliwie.
- Wstałam, może trochę zbyt gwałtownie i przywołałam gestem mundurowego stojącego nieopodal.
 - W czymś mogę pomóc? – zapytał służbowo.
 - Czy mogłabym kupić jednego z uczestników?
- Strażnik zdziwił się nieco, ale po chwili namysłu uznał, że sprawa jest do załatwienia.
 - Zaraz zobaczę, co da się zrobić. Proszę chwilę poczekać.
- Znikł mi z oczu, a ja przebierałam nerwowo nogami, zerkając z ukosa na arenę, gdzie walczący zaczęli wyraźnie słabnąć i opadać z sił. Hiiri stała obok mnie uczepiwszy się brzegu mojej kamizeli, śledząc sytuację wielkimi oczami. Chyba to, co się działo, zaczęło ją znacznie przerastać.
- Wrócił strażnik i oznajmił pokornie:
 - Kontaktowałam się z przełożonymi. Zgodzono się na zakup, jeśli oczywiście walczący dotrwa do końca. Jeśli wygra nie ma problemu, jeśli przegra... Cóż, zwycięzca często zabija pozostałych.
 - A ma taki obowiązek?
 - Niekoniecznie. To zależy od jego woli. Czy upatrzyła sobie pani konkretną osobę?
 - Jeszcze nie wiem... – Udałam wahanie. – Ale chyba ten w środku, co ma taką trochę ciemniejszą skórę i czarne włosy.
 - Rozumiem. Proszę po spektaklu udać się na dół, pokażę pani drogę. Wskaże pani wtedy, kogo sobie pani wybrała. Postaramy się podreperować delikwenta.

– A będę mogła go odebrać od razu?

Mężczyzna skłonił się przeprasząco.

– Niestety nie. O szczegóły transakcji jeszcze proszę się dopytać. Będzie na panią czekał odpowiedni przedstawiciel.

– Dziękuję.

Starałam się panować nad nerwowym odruchem zaciskania szczęki.

– Hej, a co jak kipnie? Wyglądają już na żywe trupy – syknęła mi Hiiri do ucha. Wzruszyłam ramionami. Cóż miałam więcej zrobić? Rzucić się na arenę? Wszcząć zamieszki? Włamać się do łoży vipów? Zerknęłam w tamtą stronę. Szyba ograniczała widoczność, choć wydawało mi się, że dostrzegam różową plamę, wskazującą na obecność Księżycowej Wiedźmy.

Do końca spektaklu siedziałam nieruchoma jak posąg, zeszywniała i milcząca. Ciało ścieliły piasek areny. Konstrukcje podczas walk zostały nieco zdemolowane. Osobnik z drewnianą maczugą, ślaniający się na nogach, Karan i jeszcze jakiś młodzik krążyli wokół siebie. Karan w końcu upadł na jedno kolano, a potem na czworaki i nie mógł powstać. Ten z kawałem drewna, którym sprawnie operował, chciał się na niego rzucić, ale trzeci z nich powalił go na ziemię szaleńczym atakiem. Zwalili się w piach, kotłując, przebierając wściekle kończynami. Jeden okładał drugiego drewnem, a drugi próbował wbijać mu pięść w brzuch. W końcu okładany zastygł ogłuszony, może martwy. Ten, który wydawał mi się od początku najbardziej agresywny, usiłował zwycięsko powstać, ale chyba znienacka odczuł skutki obitego żołądka. Zwymiotował pod własne nogi wstrząsany torsjami. Upadł, naprężył się wyginając kręgosłup w kabłąk i również znieruchomiał. Arena prędko została oczyszczona i nie został ani jeden zawodnik.

Tłum zawył i rozbrzmiał w oklaskach. Biłam brawo mechanicznie, usiłując uśmiechnąć się na siłę, ale nie byłam w stanie.

– Kochanie, dobrze się czujesz? – Pani Caelia zaniepokoiła się i położyła mi dłoń na czole.

– Trochę mi się zakręciło w głowie. Nie wiem czemu – skłamałam, mrugając intensywnie.

Valentini wyprowadzili mnie z trybun opiekuńczo. Szłam, wspierając się na ramieniu pana Franka, a pani Caelia poklepywała mnie pocieszająco po plecach. Gdy zeszliśmy na dół, zatrzymałam się.

– Już mi lepiej, dziękuję. To chyba ta wysokość. Ale już dobrze. Muszę jeszcze podejść, obejrzeć aktorów. Zaczekacie na mnie?

– To może trochę potrwać, jeszcze spiker coś mówi na zakończenie – zauważył pan Frank.

– Poczekamy, Sydonio, będziemy niedaleko wejścia. Znajdziesz nas, jak załatwisz swoje sprawy, tak?

Rozstałyśmy się z sympatycznym małżeństwem i odnalazłyśmy boczne drzwi, których pilnowała wysoka, silna strażniczka.

– Miałam podejść gdzieś tutaj i poprosić o wprowadzenie do sali z walczącymi. Chcę kupić jednego z nich.

– Ach, to pani, proszę. Kolega panią poprowadzi.

Przekazano mnie kolejnej osobie i ruszyliśmy korytarzem pod trybunami wokół areny. Z góry było słychać tupot widzów i owacje. Pachniało tu niezbyt dobrze. Stęchlizną i potem. I może czymś jeszcze.

Trochę zajęło, zanim dotarliśmy do szeregu półokrągłych okratowanych cel. Większość była pusta. W kilku siedzieli pojmاني, odprowadzając mnie obojętnym, bądź pogardliwym wzrokiem. Minęliśmy ich, a obok otworzyły się drzwi i przepuściliśmy sanitariuszy niosących kogoś na noszach. Nie bardzo się postarano o wygodną pozycję. Pobity leżał twarzą w dół i w zasadzie nie wiadomo było, czy w ogóle żyje. Zwisająca ręka układała się w takich pozycjach, że musiała być złamana i to w kilku miejscach. Za nim wniesiono kolejną ofiarę. Przepuściliśmy ich i przeszliśmy jeszcze kawałek.

– Dzień dobry. To pani zamierza kupić któregoś z naszych dzisiejszych bohaterów? – Osoba, która mnie przywitała tymi słowami, była trochę nie do określenia płciowo. Szczupła, wysoka, o kanciastej twarzy, kolorowym stroju, z długą peleryną... To nie był kubistyczny strój elit. To było przebranie maga – oceniłam, przypominając sobie pierwsze zetknięcie z taką gromadką, gdy towarzyszyli Księżycowej Wiedźmie podczas naszego pierwszego spotkania.

– To ja. Czy coś jeszcze zostało? – zażartowałam, usiłując jakoś przeciwdziałać niechęci do uśmiechania się. „Magik” stał przed kratą, oddzielającą nas od kolejnej części zapleczy.

– Proszę, proszę się rozejrzeć. Tutaj na razie ich położyliśmy.

Zajrzałam do celi, a coś mnie ścisnęło w gardle. Leżący prawie nie przejawiali życia. Byli potłuczeni gorzej niż jabłka lecące z drzewa na betonowy chodnik. Serce się krajało. Po dłuższych oględzinach znalazłam Karana. Był chyba nieprzytomny, ale wydawało mi się, że pierś unosi mu się w płytkim oddechu. Twarz zaczynała mu puchnąć, wielkie krwaki rozkwitały również na ramionach, torsie i pod żebrami. Obawiałam się, czy nawet jeśli żyje, nie wykończą go wylewy wewnętrzne.

– Ten może być? Potrzebuję ochroniarza, a on mi odpowiada w tej kwestii – zapytałam głucho. Hiiiri stała za moimi plecami wlepiwszy wzrok w podłogę.

– Ten? Jest pani pewna? Dobrze, nie ma problemu. Proszę podać adres, przyślemy pani zawiadomienie, skąd go odebrać i kiedy.

– Ach... a czy... Bo właśnie się przeprowadzam. Czy mogę zostawić adres znajomych? Przekażą mi pocztę?

– Naturalnie. Myślę, że nie będzie problemu.

Podalam adres i nazwisko Valentinich, wspierając się trochę pamięcią Hiiri, bo sama nie zapamiętałam numeru domu. „Magik” poinformował mnie, że będę mogła zapłacić, kiedy będzie to dla mnie dogodne. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy za przewodnikiem z powrotem do wyjścia.

ROZDZIAŁ 6. Więzy i kontakty

Powrót pociągiem przebiegł prędko. Już zaczynało się ściemniać, a ja miałam mętlik w głowie. Podziękowałam Valentinim za towarzystwo i możliwość wspólnej wycieczki. Wraz z Hiiri ruszyliśmy w kierunku naszej dzielnicy. Dziewczyna nadrabiała czas milczenia lawiną skarg i wymówek.

– Co ty sobie myślałaś? Jesteś naprawdę niespełna rozumu. Wiesz, jak bardzo się narażaliśmy? Po co to było? By uratować jednego, półżywego faceta, obecnie zupełnie niezdolnego do... no, do niczego. Gdyby ktoś nas tam rozpoznał, zasiliłybyśmy trupie szeregi. Cieszę się, że tak sobie milutko poczynasz z elitą i chyba by ci było tam dobrze. Szczebiotałaś w najlepsze, już nie można było tego słuchać. I wiedz, że z całą pewnością zaraportuję cię Jo... przywódczyni. Pomijając upokorzenie, jakiego doznałam... Mam już po dziurki w nosie... I nie liczę nigdy więcej... Ważniejsze rzeczy niż ratowanie każdego ćpuna i złodzieja...

I tak caluszką drogę od momentu, gdy opuściliśmy dzielnicę bogaczy. Poczułam prawdziwą ulgę, gdy przebrałyśmy się w jakimś zaułku, narzucając na grzbiety nasze wcześniejsze ubrania. Hiiri ofuknęła mnie jeszcze na do widzenia.

– Miej się na baczności. Zrób coś głupiego, a cię zdejmujemy.

Po czym odeszła zamaszystym krokiem, a ja powlokłam się do „szkoły”.

Zeszłam schodami w dół, zastanawiając się skrawkiem umysłu, jak ogarnę drogę w tej płataninie korytarzy, ale natknęłam się na Louise.

– O rany! Aia, przyszłaś! Wszyscy się zastanawiali, gdzie zginęłaś. Już myśleliśmy, że i ciebie zgarnął partol.

– Nieee... jest Ransom?

– Tak. Rozdziela wodę.

Widząc moją dezorientację, wskazała mi odpowiedni korytarz i poczłapałam dalej.

Zastanawiałam się gorączkowo, co w zasadzie mam mu powiedzieć. Zaczęłam się trochę denerwować, że może to tylko taka podpucha. Może nie uda się doprowadzić Karana do stanu używalności i tylko dostanę informację: „z przykrością zawiadamiamy...”. Nie chciałam bez potrzeby wzniecać nadziei. Szkoda, że wcześniej nie poprosiłam Hiiri, aby wieść nie rozniosła się dalej. Przynajmniej póki nie będzie wiadomo, na czym stoimy.

Przeszłam między legowiskami ostrożnie, starając się nikogo nie nadepnąć.

– Aio, gdzie byłaś?

Cholera, dopadł mnie. A już myślałam, że uda mi się przenieść niepostrzeżenie w mój kącik. Zesztywniałam, odwracając się teatralnie wolno, aby jeszcze zyskać na czasie.

– Nigdzie? – zaproponowałam. Jednak Ransam wyglądał tak żałośnie, że odechciało mi się żartów. Nawet w tym świetle było widać, że jego twarz ma jakiś taki niezdrowy kolor, ściągnięte rysy. Stał pochylony jakby go bolał brzuch. – Nie mogę ci powiedzieć, gdzie byłam. Ale bez obaw, wszystko w porządku...

Odpowiedział mi zamyślnym wzrokiem i powrócił do swych podopiecznych, więc odnalazłam swój kocyk i przeniosłam w bardziej ustronne miejsce, na samym skraju, koło ciepłych rur. Pomyślałam, że jeśli zdarzy mi się znowu zasnąć na dłużej, przynajmniej nie będę nikomu zawadzać.

Usiadłam, opierając głowę na dłoni, i spod półprzymkniętych powiek patrzyłam przed siebie, rozmyślając o tym, co mnie ostatnio spotkało. Nie mogłam dojść do żadnych wniosków, tylko przed oczami migały mi obrazy minionych wydarzeń. Sądziłam, iż Ransam da mi już na ten wieczór spokój, ale myliłam się. Przysiadł się jakiś czas później.

– Na pewno mi nie powiesz? – zapytał raz jeszcze, ale nie brzmiało to nachalnie. Pokręciłam głową zdecydowana.

– A ty?

Wzruszył ramionami.

– Kręciłem się po uliczkach. Gdy coś mnie męczy, nie mogę usiedzieć w jednym miejscu.

– Chyba nigdy nie możesz – Zauważyłam, sprawiając, że uśmiechnął się lekko. – Jesteście blisko z Karanem?

Zastanowił się chwilę.

– Trudno powiedzieć. Wiesz, to taka znajomość, nad którą się nie zastanawiasz na co dzień, bo ten człowiek po prostu zawsze przy tobie jest. Jakoś tak wyszło, że wszędzie mi towarzyszył. Czasem znikał... Miał szczególną tendencję, aby okradać bogatych. To była jego mania, nie ominął żadnej sposobności. Ale poza tym był z niego zupełnie dobry kumpel.

Nie uszło mojej uwadze, że posługiwał się czasem przeszłym. Więc już spisał Karana na straty. Trudno mi go było winić. Kraina Gier wydawała mi się teraz znacznie bardziej mroczna. Zwłaszcza gdy zdałam sobie sprawę, na podstawie tego, co opowiadali państwo Valentini, że spektakle przebiegają zazwyczaj jeszcze brutalniej.

Chciałam porozmawiać o tym, co widziałam, albo chociaż podpytać o Krainę Gier. Uznałam jednak, że to nienajlepszy pomysł. Nie chciałam jeszcze dobijać Ransama.

– Wiesz, jakoś mnie to tak mocno dotknęło... Nie myślałam, że tak będzie. Niby jesteśmy świadomi, że ktoś z bliskiego otoczenia może zostać pojmany. Co kilka dni słyszy się, że kogoś

zabierają. Ale uważam, że to nie fair. To głupi, przewrotny system, ludzie cierpią, są traktowani jak przedmioty. Bardzo bym chciał, żeby to się wreszcie skończyło.

– A jak było wcześniej? Wiem, że Eco rządzi w sumie od niedawna.

– Przedtem mieliśmy Radę Miasta. Rada utworzyła się w jakiś czas po wybuchu. Sam początek to był ponoć totalny chaos. Wielu próbowało dojść do władzy, tworzyły się różnorakie ugrupowania, przez chwilę mieliśmy jakichś ekstremistów u steru, ale też jacyś ludzie dokonali przewrotu i wyłonili spośród siebie liderów. Nie pytaj mnie o szczegóły, jak dziadek mi o tym opowiadał, to nigdy nie chciało mi się słuchać.

– Żałujesz? – spytałam złośliwie. Ransam sprzedał mi kuksańca w bok.

– Cicho. Daj spokój, kogo obchodzi, co się działo trzydzieści czy pięćdziesiąt lat temu?

– Myślę, że sześćdziesięciolatek – stwierdziłam poważnie, a w duchu zgłosiłam się na ochotniczkę: „Mnie! Mnie obchodzi! Ja nic nie wiem, chcę wszystko zrozumieć!”. Miałam poczucie, że pytania jedynie się namnażają. Sam wybuch, czy jak to mówili w Klanie Psa – „pocałunek boga”, czym był? Czy żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają tamte czasy? Jak to wyglądało w Centrum? Dlaczego ludzie tutaj nie mają defektów?

– Ej, a właśnie – podjęłam myśl na głos. – Dlaczego ludzie w Centrum nie mają żadnych defektów?

– Mają. Trochę. – Ransam wskazał na swoje włosy. – Cała moja rodzina się wybieliła na włosach. Inni są słabszego zdrowia. Część nie dożywa trzydziestki. Różnie. Najbogatsi są najzdrowsi. Wtedy zeszli do schronów i piwnic.

– No tak, wspominałeś. A czy klany od początku nie miały przyznanego obywatelstwa, czy po prostu im je odebrano...

Ransam podrapał się po potylicy zafrasowany.

– Wiesz... nie powiem ci dokładnie, bo nie wiem. Jak chcesz wiedzieć takie szczegóły, to pogadaj z kimś starszym.

– No z kim?

– Zaprowadzę cię do Dziadka, jeśli bardzo potrzebujesz.

– Twojego?

– Nie. Mój nie żyje od dawna. „Dziadek” to taka ksywa, bo jest najstarszą znaną mi osobą. Trochę trudno się z nim rozmawia, ale dużo pamięta, jak masz cierpliwość, żeby posłuchać. Jeden z nielicznych pozostałych. Bo gdy ktoś jest za stary, aby pracować, nie ma za co żyć.

Naburmuszyłam się. Muszę porozmawiać któregoś razu z panią Jaaną Poliszenko. Nie jest stara, tylko w średnim wieku, ale chętnie wysłucham jej opinii dotyczącej świadczeń socjalnych w Mieście. Bo wydaje mi się, że wcale ich może nie być. A czy elita ma inne fundusze? Ten

rozłam między ludźmi jest frapujący i zastanawiający. Do jakiego stopnia elita jest ślepa? Nie wiedzą, nie chcą wiedzieć? A może jakbym zrobiła kampanię na temat rozwarstwienia, to trochę bym ich uświadomiła?

Pomysł mi się spodobał. W końcu mam sporo pieniędzy. I tak już wcisnęłam się w klasę wyższą. Warto coś z tym zrobić. Fajnie byłoby mieć więcej poparcia dla sprawy. Eco może i ma swoje zasługi, ale luki w systemie są bolesne.

Ransom szturchnął mnie, wyprowadzając z zamyślenia.

– Wiesz co? Dzięki – powiedział szczerze. Uniosłam brwi zdziwiona. – Jak tak chwilę z tobą porozmawiałem, od razu zrobiło mi się lepiej. Może dlatego, że nie czuję, jakbym musiał się tobą opiekować i nie... To znaczy, mówię w dobrym sensie...

– No? – Wyszczrzyłam się rozbawiona.

– Chodzi mi o to – ściszył głos niemal do szeptu – że za nich odpowiadam, czuję się zobowiązany ich pocieszać, nie chcę się skarżyć, zrzucać czegośkolwiek na ich barki.

– Jesteś wielki, Ransom. – Przygarnęłam go odruchowo, przytulając. – Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Głowa do góry.

– Bo ktoś zobaczy. – Wyłuskał się spod moich objęć zakłopotany. Uniosłam dłonie w geście niewinności.

– To co? Mogę być twoją starszą siostrą.

– Daj spokój, ile masz lat?

– Nie wiem. A ty?

– Osiemnaście.

– Na pewno jestem starsza.

– Chyba niekoniecznie.

– Mówię ci.

Przekomarzaliśmy się chwilę, rozmawiając cichutko. W końcu powieki zaczęły mi opadać, a głowa stała się jakby cięższa.

– Dobra, idź spać. Zamierzasz się jutro obudzić?

– Nie wiem... Ale będę tutaj sobie leżeć, jakby co... będę w Klanie Psa – wymamrotałam półprzytomnie i osunęłam się w ciemność.

Otworzyłam oczy. Zagapiłam się w błyszczące szkło nad moją głową. Nie pamiętam, bym gdziekolwiek zasypiała, mając taki widok. Powoli kojarzyłam fakty, jak zawsze rano. Spróbowałam się podnieść i uderzyłam głową w szkło.

– Ej... Tego nie było w planie. – Bardziej poirytowałam się, niż zmartwiłam. Dokonałam szybkiego oglądu sytuacji.

Leżałam na czymś przypominającym łóżko, przykryta kanciastym, szklanym kloszem. Próbowałam go unieść. Okazał się niezbyt ciężki. To chyba nie było szkło, tylko jakieś tworzywo. Niemniej uniosłam je delikatnie, starając się nie upuścić. Jeszcze ktoś mnie potem oskarży o niszczenie mienia. Pomieszczenie, coś jak stodoła, było podłużne. W oddali stały rzędy ławek. Obejrzałam się na moją „szklaną trumnę”.

– Królowna Śnieżka normalnie – ucieszyłam się z dowcipu. Tuż przed moim łóżem, zbudowano podwyższenie. Odeszłam kilka kroków w stronę ław, przyglądając się krytycznie scenerii.

„Umarłam?”.

Wtem otwarły się odrzwia stodoły.

– Na miłosierdzie! A więc to prawda! – zakrzyknęła kobieta. Znikła na chwilę w drzwiach, ale usłyszałam krzyki, nawoływania i za jakiś czas do budynku zaczęli wchodzić ludzie. Stałam skromnie na schodkach przy podwyższeniu, niepokojąc się czy to, co się dzieje, będzie dla mnie bezpieczne, czy niekoniecznie.

Ludzie schodzili się, przeszywając mnie wzrokiem i zajmując przestrzenie między ławkami i w przejściu. Wyglądali normalnie, bez widocznych defektów. Może zatem byłam gdzieś nieopodal Centrum. Niektórzy byli ubrani w białe i granatowe długie szaty ze zdobieniami na rękawach i pasie wzdłuż torsu. Któraś z kobiet ubrana właśnie tak na biało zakrzyknęła zwrócona w połowie do ludzi, a ramię wyciągając ku mnie.

– Oto i nastąpiło! Przebudzenie Strażniczki! Pokłońcie się. Zakryjcie oczy i odsłońcie serca winne grzechu. Pani! – Tu kobieta spojrzała na mnie. – Przemów, jakież będą twe słowa do nas, oczekujących na twój powrót?

Słowa „no cześć, co tam?” nie wchodziły w grę, mimo iż bardzo miałam ochotę tak się przywitać. Najwyraźniej niechęć stałam się jakimś obiektem kultu. Niedobrze. Ale póki nie będę wiedziała więcej albo nie uda mi się wrócić do Klanu Psa, spróbuję zagrać swoją rolę.

Wyciągnęłam władczo dłoń, ucinając wszelkie szept, choć i tak wszyscy w napięciu śledzili każdy mój ruch. Zbliżyłam się, starając się zyskać na czasie.

– Jak długo spałam? – zapytałam, dumna ze swojej pomysłowości.

– Pani – mężczyzna w granatowej szacie i małej granatowej haftowanej czapeczce skłonił mi się lekko, przykładając dłoń do piersi – śnisz, od kiedy pamiętamy. Najstarsi Czuwający odeszli od nas lata temu. Podanie głosi, że przybyłaś, pani, w nimbie świetności, rozświetlając

mrok naszych serc, i obdarowałaś nas Świętą Więzią. Później zasnęłaś, poświęcając swe życie na wieczną Straż.

Aha. I co dalej? Trzeba improwizować.

– Na ile zim datujecie więc mroczne wieki? – Ugryzłam się w język, zanim zdążyłam powiedzieć jeszcze „cni poddani”. Chyba zaczynała mnie ponosić fantazja.

– Osiemdziesiąt dwie, pani.

I osiemdziesiąt dwa lata po wybuchu. Brniemy dalej. Coś mówili o Świętej Więzi, ciekawe co to takiego?

– Wszystko jasne. – Zrobiłam mądrą minę. – Jak więc, moi mili, pielęgnujecie Świętą Więź? Ludzie zaszemrali wyraźnie zaniepokojeni. Kobieta w białej szacie jęknęła rozdzierająco.

– O biada nam! Klękajcie niegodni, oto nadszedł czas sądu!

Głos miała donośny, patetyczny. Tłum rzucił się na posadzkę, nakrywając głowy dłońmi. No pięknie.

– Powstańcie, moje dzieci, albowiem... Albowiem nie przybyłam was karać...

– Miłosierna Strażniczka okazała łaskę! – zawył mężczyzna w granatowym kostiumie, nie chcąc najwyraźniej pozostać w tyle za patetycznym zaśpiewem moja przedmówczyni.

– Proszę mi nie przerywać – zdenerwowałam się. Kto by pomyślał. Niby takie uwielbienie, a w rzeczywistości czyste chamstwo. – Nie zamierzam na razie nikogo karać, póki nie widzę powodu. Jednak chcę wiedzieć, czy coś się zmieniło od czasu jak... Byłam tu ostatnio. – Nie wiedziałam, czy mój plan został dobrze przyjęty, chyba byli trochę zdezorientowani. To dobrze, w końcu dlaczego tylko ja mam mieć zagwozdkę. – Chciałabym porozmawiać... na osobności. Nie wszyscy na raz. Ktoś na ochotnika?

Widziałam, że ci w długich szatach, zapewne kapłani, aż się palili, aby zaproponować swoją kandydaturę. Niemniej chyba starali się okazać powściągliwość i przepuścić zwykłych ludzi przodem.

– Może ty? – Wskazałam na drobniutką, piegowatą dziewczynę, która stała w środku.

– A mam być razem z moim sercem więzi?

– Aaa no... Tak! Naturalnie, oczywiście – zająknęłam się, ale jakoś wybrnęłam. Co za serce na uwięzi?

Tłum niechętnie się rozchodził. Ewidentnie czekali na cuda i fajerwerki, a tu takie jakieś nie wiadomo co. Witamy w klubie. Dziewczyna przysunęła się nieśmiało bliżej, wyciągając dłoń do przeciskającego się w tłumie chłopaka. Był od niej znacznie wyższy, ale podobnie wiotki i z takimi samymi szarymi, rozmarzonymi oczami. Ale parka.

Podeszłam do podwyższenia, bo leżał tam dywan, i usiadłam na jednym ze schodków. Niech będzie mniej oficjalnie.

– Chodźcie tu bliżej, siadajcie. Proszę, ja nie gryzę – zachęciłam, gdy starali się zachować pełen szacunku odstęp. – Opowiedzcie coś o sobie. Jak macie na imię?

– Ja jestem Eilís Finnegan, a to Énna Hayden – powiedziała dziewczyna, przedstawiając również towarzysza. – Więż serca poczuliśmy już jako dzieci. Énna to mój daleki kuzyn.

– I... czym się ta więź objawiła? – spytałam poważnie, a dziewczyna trochę się stropiła. Najwyraźniej zapytałam, czemu słońce świeci...

– Zupełnie normalnie... jak zazwyczaj. Zaczęłam słyszeć wyraźniej myśli Énny.

Hyyy... wszystko rozumiem. To znaczy, nie rozumiem zupełnie nic. Telepaci?

– A ty, Énno?

– T... Tak samo – odparł lakonicznie, zdradzając tendencję do jąkania.

– I jak żyjecie na co dzień? To znaczy, jesteście zgodni? Coś byście zmienili w waszej relacji?

– Co na przykład? – podjęła Eilís zdziwiona.

– To ja was pytam.

– Nie. Nasza więź jest doskonała. Czasem się nie zgadzamy w jakichś sprawach, trochę zdarza nam się pokłócić, ale kochamy się bardzo i nie czujemy, aby to negatywnie wpływało na więź. Słyszymy się wyraźnie.

– No to... Dobrze. – Uśmiechnęłam się, chcąc okazać, że czuję się usatysfakcjonowana taką odpowiedzią. – Więc już was nie męczę. Możecie wracać do swoich spraw. Przyślijcie kolejną... kolejne osoby.

Para wyszła i zjawili się kolejni. Tym razem weszły dwie dorosłe kobiety.

– Bland.

– Darina.

Przedstawiły się, skłaniając głowy. Bland miała szare włosy, starannie upięte i była odrobinę pulchna, a Darina wyglądała na młodszą i jej rude kędziory okalały niezbyt urodziwą podłużną twarz. Za to miała piękny, melodyjny głos.

– Bland, Darino. Od kiedy wiecie o waszej więzi?

– Ja byłam w wieku trzynastu lat, Darina miała dziewięć. Nie miałyśmy wcześniej bliskiego kontaktu ze sobą. Zapewne dlatego jesteśmy późnolatkami. Wynikało to z tego, że nasze domy były oddalone – wyznała Bland.

– Bland jest mi bardzo bliska. Nie wyobrażam sobie życia bez niej – dodała Darina, gdy zapytałam o charakter ich więzi...

Następni.

I następni, i następni. Tak samo. Przeważały pary dwupłciowe, ale pojawiały się też i inne. Wszyscy byli zgodni i zadowoleni. To znaczy, dowiedziałam się, że osadę gnębił wieczny niedobór jedzenia. A w zasadzie mieli za mało wszystkiego. Za to jeśli chodzi o bliskie relacje z otoczeniem, to każdy miał swoją drugą połówkę. Głównie, jak się domyślałam, chodziło o to, że wzajemnie się wyczuwali. Taka maksymalnie pogłębiona empatia. Rozróżniali swoje myśli na podstawie emocji i w niewielkim stopniu dotyczyło to każdego człowieka. Tyle wynioskowałam. W końcu przyszedł czas i na kapłanów. Kobiety ubrane były na biało, mężczyźni na granatowo. Jeśli ktoś czuł powołanie poświęcić się czuwaniu – dotyczyło to rytualnej warty przy mojej szklanej trumnie – jego połówka, serce więzi, musiało się zgodzić i również w tym uczestniczyć. Dlatego Kapłanów było tak dużo. Byli po prostu zdublowani.

Więcej nie udało mi się dowiedzieć, a miałam sporo pytań. Siobhan, jedna z kapłanek naprowadziła mnie jednak na ciekawy trop.

– Zaszczyt to dla nas, o pani, że raczysz pytać nas o nasze relacje, ale naturalnie wszyscy są szczęśliwi. Łaska Świętej Więzy jest prawdziwym darem – powiedziała Siobhan w odpowiedzi na moje wcześniejsze pytanie.

– Rzeczywiście wszyscy są szczęśliwi? – Wątpiłam w taką utopię.

– No... z wyjątkiem tych, którzy utracili swoje serce więzi. Często, starzejąc się, umieramy wspólnie. Jednak zdarzają się wyjątki. – Siobhan spojrzała na Phelana, swoje serce więzi, który przytaknął.

– Na przykład Wynn. Jego serce więzi nie żyje. Czy chcesz z nim pomówić?

– Proszę.

– Ale jest dość stary, nie będzie miał sił tu przyjść.

– To nic. Zaprowadźcie mnie do niego.

Wyszliśmy z budynku. Znów mżyło, a chmury przesłaniały słońce w zupełności. Okolica była mało interesująca. Zwyczajne domy, którym daleko do niezwykłych, pięknych domów Klanu Drzew. Proste białe domki, urządzone skromnie, acz schludne. Brakowało gratów i pustostanów jak w Klanie Psa, gdzie panował nieporządek i wszystko było łatanie byle jak. Tutaj domy wydawały się jednakowe. Pobielone wapnem, niewysokie, parterowe. Uliczki wysypane piaskiem, zamiecione. Drzew prawie wcale. Pusto, białe i czyste. W jednym z takich domków mieszkał Wynn.

Siobhan wskazała mi wejście z szacunkiem, sama pozostając na zewnątrz. Przekroczyłam wysoki próg i przeszłam przez krótki korytarzyk oraz kuchnio-jadalnię, gdzie w głębi na łóżku leżał pomarszczony mężczyzna.

– Przepraszam, czy pan Wynn? – Zapukałam we framugę pozbawioną drzwi, przedzielającą kuchnię na pół. Mężczyzna nie spał. Zwrócił na mnie wodniste, jasne oczy i uśmiechnął się słabo.

– Dzień dobry, Strażniczko. Nie obawiaj się. Usiądź, proszę, weź sobie krzesło z kuchni.

W jego tonie nie było służalczości jak w głosach wielu innych. I to mnie pocieszyło, stwierdziłam, że oto znalazłam idealnego człowieka, aby się z nim podzielić moją małą tajemnicą.

– Panie Wynn, przyszedłam zadać kilka pytań. Czy mogę panu zająć trochę czasu?

– Wiem, po co przyszedłaś, Strażniczko.

– Tak? Więc, po co?

– Przyszedłaś tu, bo czujesz się małą, zagubioną dziewczynką i uginasz się pod odpowiedzialnością, którą ludzie z łatwością składają na twoich barkach.

– Ooo! – stwierdziłam z podziwem. – Dobry pan jest. Muszę przyznać... czy mogę prosić o dyskrecję?

– Nie ma już mego serca więzi, abym miał z kim dzielić moje myśli. Bądź zatem spokojna, Strażniczko. Twoje tajemnice nie wstaną z tego łóżka.

– Panie Wynn, nie jestem tym, za kogo mnie macie. To trochę skomplikowane, ale obudziłam się tu przypadkiem. Myślałam, że będę w zupełnie innym miejscu. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje i czym jest Święta Więź. Zrozumiałam, że to jakiś rodzaj połączenia między dwiema osobami, ale...

– Chcesz mnie zapytać o to, czym jest więź, jaką dzielą dwie osoby, prawda? A ja również powiem, że to skomplikowane. W naszej części Miasta ludzie czują więcej. Wszyscy jesteśmy dla siebie bliscy. Nawet w tym momencie czuję całą rzeszę ludzi, która grzeje mnie swymi sercami i wspiera. Choć jest to zaledwie ciepło popiołu z wygasłego ogniska, w porównaniu z gorącym żarem płomieni. Tym żarem jest więź z kimś drugim. Moja żona była mi najbliższą osobą. Wiedziałem, kiedy się smuci i kiedy raduje, i dzieliłem z nią każdą z tych emocji. A co więcej – rozumiałem, z czego czerpie radość, czego nie znosi, a czego się boi. I to może lepiej niż ona sama. Delikatne ciepło drugiej osoby zaczynamy odczuwać już od lat najmłodszych, gdy ktoś z bliskiego otoczenia staje się nam znienacka coraz bliższy. Później to odczucie tylko się wznieca i podsyca, a początkowy kontur osoby, staje się coraz bardziej szczegółowym rysunkiem. Nie wyjaśnię ci tego lepiej, Strażniczko, bo to trzeba poczuć samemu. Ale może już sama wiesz, o czym mówię. Oto dar, który pojawił się wraz z ograniczeniami, jakie przyniosły wybuch, zamknięcie Miasta i bieda, z którą się borykamy. Byłem jeszcze dzieckiem,

kiedy mój ojciec opowiadał mi o człowieku, który przyprowadził tu Strażniczkę. Ciebie. Obiecał, że w razie czego ona będzie nas chronić. I pozostawił cię śniącą.

– A więc naprawdę... Byłam tu wcześniej? Spałam tu cały czas?

– Od kiedy pamiętamy, śpisz w świątyni, a kapłani wsłuchują się w twój wieczny sen. Ostatnio wyczuli zmianę. Odczuli ciepło. To zwiastowało twoje przebudzenie. I oto jesteś.

– Ojej... Ale ja nie mam pojęcia dlaczego... Czy mogę wam jakoś pomóc?

Wynn uśmiechnął się ponownie, kładąc swoją szorstką, pomarszczoną dłoń na mojej.

– Dobre dziecko. Chyba już się czymś zajęłaś, nieprawdaż? Już nam pomagasz. Czy nie to zamierzałaś rzec? Że jest nadzieja?

Znieruchomiałam wpatrzona w dobre, szare oczy. Machdik. Ransom... pewnie się martwią, że się nie budzę. Mam tyle do opowiedzenia. O tym, co działo się w Centrum, o elicie, o walkach... no i jest kilka osób, z którymi muszę porozmawiać.

– Muszę wracać – oznajmiłam zniechęcona. Starszy pan pokiwał głową. Objęłam jego dłoń i na moment przycisnęłam do niej czoło. – Dziękuję.

Wyswobodził się z uścisku i pogłaskał mnie po włosach.

– Śpij, Strażniczko.

Przymknęłam oczy z głową opartą o pasiasty pled.

„Klan Psa” – pomyślałam. „Machdik”.

I opadłam na moment w nieświadomość.

Gdy ponownie otworzyłam oczy, poczułam, że leżę zanurzona w czymś miękkim. Poruszyłam się. Mięka pościel. Uniosłam się w puchach pierzyny. Ktoś gwałtownie wciągnął powietrze.

– Ach! Aia. Słyszysz mnie? W porządku? Jak się czujesz? – Pani Bahija podeszła do łóżka, na którym leżałam, i zajrzała mi w oczy.

– Dobrze. Wszystko w porządku. Przestraszyłam was pewnie, przepraszam.

Pani Bahija zrobiła groźną minę na dowód, że się bardzo martwiła. Zrobiło mi się cieplej na sercu.

– Na demony, spałaś dwie noce i półtora dnia! Nie dawałaś znaku życia! Zapadasz w jakąś śpiączkę, moja droga. To może być niebezpieczne. Zerah powinien cię obejrzeć.

– Nie, nie. Pani Bahijo, wszystko w porządku. Ja chyba tak po prostu mam – powtórzyłam, schodząc z łóżka. Rozebrano mnie i przywdziano w białą koszulę nocną. Przeszukałam wzrokiem pomieszczenie, starając się zlokalizować swoje rzeczy. Leżały złożone, na krzeselku przy łóżku. Wymacałam w kieszeni mój kozik, kartę i chip, nietknięte. W przypiływie

pomysłowości przyjrzałam się swoim dłoniom. W Centrum zrobiłam delikatny ślad nożem na ręce. Jeszcze wieczorem było widać czerwoną pręgę. Teraz zniknęła bez śladu.

Ubierałam się prędko, a pani Bahija obserwowała mnie bacznie.

– Gdzie jest Machdik? – zapytałam.

– Odsypia. Czuwał przy tobie pół nocy.

Wydałam z siebie westchnięcie pełne wdzięczności. Jakie to miłe!

Pani Bahija uznała, że chyba rzeczywiście nic mi nie jest i może z czystym sercem powrócić do obowiązków domowych. Nie chcąc budzić Machdika, postanowiłam znaleźć sobie jakieś zajęcie. Ale nic mi nie przychodziło do głowy. Pani Bahija powiedziała, że nie muszę jej pomagać i powinnam zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyszłam na zewnątrz i zaczęłam się zastanawiać na głos.

– Najbardziej tajemniczą sprawą jest to, że w jednym miejscu śnię, a w innym działam. Majtrejowie potwierdzą, że byłam tutaj. Ransom, że w „szkole”, a telepatyczne bliźnięta, że na katafalku. Jeśli oczywiście przenieśli mnie już z chatki Wynna. To daje na razie wynik trzech miejsc jednocześnie. Myślałam początkowo, że podróżuję w snach. Ale to musi być coś więcej. Może pozostawiam po sobie coś w stylu materialnego widma, hologramu... Nie, odpada. Empaci twierdzą, że byłam tam od zawsze. Dochodzę tu do ślepego zaułka. Następne pytanie brzmi: gdzie jeszcze mogę się znaleźć?

Nogi mnie poniosły do kryjówki, gdzie leżał stary materac. Na dworze robiło się coraz zimniej. Słońce nadal pozostawało przesłonięte, ponadto zaczął wiać wiatr. Ludzie chowali się do domów, ale mnie pogoda wcale nie przeszkadzała. Ułożyłam się na lekko wilgotnym materacu i przymknęłam powieki, kierując moje myśli gdzieś w nieznane. Chociaż nie czułam się wcale zmęczona, moja świadomość zaczęła momentalnie odpływać i ani się obejrzałam...

Ocknęłam się w ciemności, czując, że przygniata mnie coś ciężkiego.

– Uch... – Próbowałam dźwignąć leżące na mnie przedmioty. Bezskutecznie. W pomieszczeniu pachniało stęchlizną, kurzem i drewnem. Gdy próbowałam się poruszyć, słyszałam szuranie drewna. To chyba stos desek. „Jakim cudem?” Zdenerwowałam się. Zaczęłam wołać.

– Pomocy! Na pomoooooc! Czy jest tam kto?! Utknęłam! Ratunku! Heeej!

Zdzierałam sobie gardło, wymyślając na poczekaniu różne okrzyki. Dobrze, że mogłam oddychać. Stos był ogromnie ciężki i zmuszał mnie do leżenia w okropnie niewygodnej pozycji. Wtem usłyszałam, że ktoś próbuje się do mnie dostać. Do pomieszczenia wpadła odrobina światła. Czyli chyba utknęłam w jakiejś komórce czy schowku.

- Pomocy, tu jestem. Przysypana – starałam się naprowadzić głosem mojego wybawiciela.
- To cała góra drewna. Jak tam wlaźłaś? – odpowiedział mi niski męski głos.
- Nie wiem. Po prostu mnie przycisnęło. Już tak się obudziłam.
- Jak masz na imię?
- Aia.
- Wyciągniemy cię, Aio, cierpliwości. Czy jesteś ranna?
- Nie, raczej nie. Tylko nie mogę się ruszyć.

Mężczyzna oddalił się na chwilę, zawołał towarzyszy i wspólnymi siłami zaczęli mnie odgruzowywać. Mruczeli przy tym w zabawny, melodyjny sposób. Dziwiło mnie to, ale siedziałam cichutko. W końcu poczułam, że ciężar znacznie zmalał i udało mi się wypełznąć. Byłam szara od kurzu i lekko zadrapana, ale poza tym czułam się dobrze. Nie byłam nawet zdrętwiała. Choć pierwsze kroki stawiałam jak paralytyk. Mężczyzna, który mnie odnalazł, podał mi ramię, by pomóc mi wyjść z szopki. W słońcu przyjrzałam się zdumiona ich wyglądowni. Cała gromadka, a było ich pięciu, miała różową skórę. Różową jak świeżo zagojona rana albo ślad po poparzeniu. Nie wyglądali jednak na obolałych czy chorych. Byli równomiernie różowi, przy jasnych, prawie białych włosach. Choć to nie była reguła. Jeden był szpakowaty, trochę jak Demir, a jeden miał włosy jednolicie szare. Tak samo oprawa ich oczu. Same oczy mieli przeważnie ciemne lub szare, nieco zamglone. I nadmiernie rozrośnięte czoła.

– Dziękuję za ratunek. Sama bym się w życiu stamtąd nie wydostała. – Wyciągnęłam dłoń, aby podziękować, ale mężczyzna, który pomógł mi wyjść, zignorował ją. Zamiast tego wyciągnął dłoń do mojej twarzy i powiodł po niej, jakby oceniając rozmieszczenie oczu, nosa i ust. Stałam nieruchomo jak posąg zaskoczona tym zachowaniem.

- Tak myślałem – stwierdził. – Nie jesteś stąd, prawda?

W tym momencie pojęłam, że ci ludzie są ślepi. Ich mętne oczy patrzyły w pustkę, gdzieś obok mnie lub nad moją głową.

– Jestem... Wędrowcem. Robię spis i charakterystykę wszystkich klanów. Przybyłam tu wczesnym rankiem i schroniłam się w tej szopie, aby się zdrzemnąć. Ale wtedy deski się na mnie obsunęły i już nie mogłam wyjść. Jestem ogromnie wdzięczna za pomoc. Czy mogę mieć jednak kolejną prośbę?

– Proszę, w czym możemy ci pomóc? – odezwał się drugi z mężczyzn, nieco młodszy, o srebrno-czarnych włosach.

– Opowiedzcie mi o swoim klanie... Znaczący o waszym rejonie. Jak się wam tu żyje, czym się zajmujecie?

Wyrażnie się rozluźnili. Może obawiali się, że należą do milicji Wiedźmy?

– Proszę, chodź z nami, zaprowadzimy cię do naszej rodziny. Również jesteśmy ciekawi innych rejonów, może zrewanżujesz się opowieścią?

Przytaknęłam odruchowo, zapominając, że przecież mnie nie widzą.

– Tak, naturalnie. To będzie przyjemność.

– Jak długo zamierzasz pozostać? – spytał ten, który wydawał mi się najmłodszy.

– Niedługo. Może tylko dziś. Nie chcę wam sprawiać kłopotu.

Przeszliśmy przez połąć suchych traw, a marszowi towarzyszyły te niskie dźwięki wydawane co jakiś czas przez każdego z piątki moich towarzyszy. Byłam zdumiona, jak sprawnie idzie im poruszanie się. Wysoka trawa sprawiała, że szli trochę sztywno, jakby z obawą, lecz trzymali całkiem żwawe tempo. Gdy wyszliśmy na ścieżkę, zaczęli iść znacznie pewniej.

Wkrótce weszliśmy między domy. Były to domki osiedlowe jak w Klanie Psa, ale bardziej podniszczone, miejscami polepione jak patchwork. Za to ścieżki były bardzo starannie utrzymane. Widać dbałość o drogę ułatwiała poruszanie się. Ludzie krążący wokół w swoich sprawach byli identycznie różowi. Także charakterystyczne było znaczne wysklepienie czaszki. Partie czołowe rozrośnięte ponad normę występowały nawet u małych dzieci. Cała wioseczka buczała jak ul. Tworzyły się specyficzna harmonia i jednostajny zgiełk. Jak oni się tu odnajdują, w takim hałasie? Wtedy jeden z mężczyzn zawołał:

– Kochani! Przyjdźcie prędko. Mamy gości!

Jak na komendę zaczęli podchodzić i wyciągać ku mnie ręce. Pozwalałam na to, cierpliwie znosząc oględziny. Towarzyszyło temu wiele rozentuzjasmowanych głosów dorosłych i okrzyki podekscytowanych dzieci. Nachyliłam się, aby najmniejsi mogli również „zobaczyć” moją twarz.

– Chodźmy do kręgu!

– Do kręgu, tak!

– Tak, tak! – ucieszyli się, oceniając moją tożsamość jako obcą.

– Jest zimno. Zasiądziemy w wielkiej hali – zdecydował mój przewodnik.

Ludzie powiedli mnie do podłużnego, płaskiego budynku z szerokimi drzwiami. „Sala wiejska” – oceniłam w duchu. W środku było trochę krzeseł, materaców i poduszek. Dzieci podbiegły, znajdując sobie miejsca i bucząc przy tym jak trzmiele. Dorośli stateczniej siadali kolejno, mnie wyznaczono jeden z wygodniejszych foteli. Gdy zjawili się wszyscy zainteresowani, przedstawiłam się krótko i wyjaśniłam cel mojej wizyty.

– Cieszymy się z twojej obecności, Aio – podjął mój wybawca. – Mam na imię Anaru i przedstawiam ci Śpiewającą Rodzinę. Jesteśmy ciekawi świata, który, mamy nadzieję, nam

przybliżysz. Historia mówi, że niegdyś dostępny był nam jeszcze jeden zmysł. Trudno nam sobie to wyobrazić. Rozumiemy jednak, że inne rodziny w Mieście różnią się od nas. Płaskie głowy nie pozwalają im nucić, więc muszą postrzegać świat jakoś inaczej.

– Rozumiem, więc nuczcie, aby mieć obraz przedmiotów, które was otaczają?

– Tak właśnie. Oczy są nam jedynie ozdobą. Śpiew pozwala nam widzieć. Jedynie szczegóły oceniamy dotykiem. Czy ludzie w Mieście tak nie robią?

Zastanowiłam się.

– Różnie to bywa. Istnieje klan, który poznałam niedawno, gdzie ludzie nie nucą, za to znając ciepło serca drugiej osoby, są w stanie określić co myśli.

Rozległy się szmery pełne aprobaty. Zaczęłam opowiadać o Klanie Bliźniaczych Serc, a następnie o Klanie Psa i Klanie Drzew. Śpiewająca Rodzina słuchała mnie, komentując moje słowa okrzykami, westchnieniami i pomrukami. Przy tym ich twarze pozostawały trochę bez wyrazu. Na co komu mimika, skoro jej nie widać? Wszystkie emocje przekazywane były poprzez dźwięk.

Zmęczyłam się odrobinę i chętnie wypilałam podsunięte mi naczynie ze słodkim ciepłym napojem.

– Aio, niezwykle historie przynosisz ze sobą. Chcemy się odwdzińczyć. Posłuchaj proszę w zamian śpiewu rodziny – to rzekła Manaia, jedna z kobiet siedząca po mojej lewej.

Manaia zaintonowała krótką frazę, która następnie została podjęta przez wszystkich, rozkładając się na głosy tak, jak paw rozkłada swój ogon. Zalała mnie fala barwnych brzmień. Śpiewająca Rodzina wydobywała dźwięk, wykorzystując swoje rozrośnięte zatoki, przez co niósł się i wibrował w powietrzu czystym, ciepłym tonem.

Słuchałam oczarowana, a melodia zdawała się rosnąć i wypełniać wszystkie zakamarki mojego serca. To było tak piękne i szczere, że wnet pozazdrościłam ślepcom ich zdolności.

– Wspaniale! – wyszeptałam z szacunkiem, gdy umilkły ostatnie tony. Poczułam wręcz wzruszenie. – Chciałabym, aby inni mogli również was usłyszeć.

Śpiewały nawet dzieci. Każdy tutaj obdarowany był wielkim talentem i łatwością wydobywania pięknego dźwięku. Zrobiło się trochę późno. Postanowiłam ukryć się gdzieś i powrócić drogą snu do Klanu Psa. Pożegnałam się ze wszystkimi i ruszyłam do szopki w polu. To była całkiem pokaźna odległość. Miałam szczęście, że pan Anaru usłyszał mnie z tak daleka. W każdym innym miejscu mogłabym mieć kłopot.

Weszłam z powrotem do wnętrza i kucnęłam w kącie, opierając się plecami o ścianę. Dla pewności postawiłam kilka desek na sztorc, aby Rodzina przypadkiem nie odnalazła mnie śniącej tutaj. Ciekawe, czemu pozostawili te deski. Drewno było w końcu bardzo cenną

zdobyczą. Nie zastanawiałam się nad tym jednak dłużej, myśląc intensywnie o Klanie Psa i opadając momentalnie w sen.

– Machdik! Machdik, nie uwierzysz! – Wpadłam do domu Majtrejów dumna z siebie, jakbym właśnie zdobyła Mont Blanc. Miałam tyle do opowiedzenia. Machdik tarł oczy, siedząc nad miską owsianki. Albo czegoś, co wyglądało jak owsianka.

– Ooo... Aia. Fajnie, że nie śpisz – odparł z przekąsem, rzucając mi ponure spojrzenie.

– Machdisiu, wszystko ci opowiem. Jedz szybko. – Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Chodziłam po kuchni, doprowadzając wybrańca Klanu Psa do irytacji.

– Możesz mówić teraz – odburknął, bełtając łyżką w swojej misce.

– Nie, bo twoja mama gdzieś tu może być.

– Mama poszła do sąsiadów. Wspólnie marynują warzywa na zimę. A tata pracuje w polu. Sieją oziminę.

– No to słuchaj.

Opowiedziałam wszystko po kolei. Jak obudziłam się w Centrum, powstając z letargu i strasząc mieszkańców „szkoły”. Jak milicja pojmała Karana, jak wraz z Hiiri udawałyśmy elitę i poszłyśmy zobaczyć Krainę Gier na własne oczy. Jak obudziłam się znowu gdzieś indziej oraz jak poznałam dwa kolejne klany.

Machdik niemal zapomniał o jedzeniu, robiąc wielkie oczy i trochę niedowierzając. Moja historia była jednak tak długa i szczegółowa, że trudno było w tym upatrywać kłamstwa.

– Wiesz, co myślę? Że powinnaś opowiedzieć to reszcie.

Stropiłam się.

– Jesteś pewien? Czy to aby dobry pomysł? Ja wiem, jak to brzmi. Sama uważam, że to wszystko jest szalone... Choć ekscytujące...

– Uważam, że to ważne. Gdybyśmy odkryli jak to robić, może udałoby się i nam śnić z miejsca na miejsce.

Zastanowiłam się. To byłaby szansa dla Klanu Psa.

– W porządku. Ale może nie wszystkim na raz. Sprawdźmy najpierw reakcję... Komu powiemy najpierw?

– Demir... i Jaras. Oni też byli obecni, gdy cię odnaleźliśmy. Myślę, że mogą dowiedzieć się pierwsi.

Jak postanowiliśmy, tak się stało. Odnaleźliśmy Jarasa jako pierwszego. Demir pracował w polu i odmówił nam czasu, póki nie skończy przekopywać pola pod zasiew. On i kilkoro innych ludzi z Klanu Psa ciągnęli radła w parach.

- Czemu nie użyjecie rokonów? Łatwiej byłoby podczepić brony czy jakiś taki mały pług...
- Paliwo jest zbyt cenne. Oszczędzamy je, aby móc w razie potrzeby opuszczać ziemię klanu
- stwierdził Demir poważnie. Poczułam się jak skarcona dziewczynka. Chciałam, aby Demir był wolny jak najszybciej, więc i my zaprzęgliśmy się (dosłownie) do pracy. Raz ja ciągnęłam radło, a raz Machdik. Ale uważam, że mnie to szło lepiej. Nawet nas pochwalili. Gdy skończyliśmy, słońce niemal zachodziło. Musieliśmy się jeszcze umyć po pracy, ubrania też mieliśmy trochę utyłane. Ja miałam cały swój dobytek na własnym grzbiecie, więc Demir dał mi coś od siebie. Śmiesznie wyglądałam, choć byłam tylko odrobinę mniejsza od niego.
- Co takiego chcieliście mi opowiedzieć? – zapytał szarowłosy, rozpalając kominek. Wkładał tam specjalne brykiety, które długo się spalały. Było to drewno nasączone substancjami wyciągniętymi z ziemi przez rosnących. Jaras ułożył się wygodnie, wyciągając nogi w kierunku żaru. Zauważyłam, że chłopcy czują się w domu Demira jak u siebie. Wyraźnie lubili starszego o prawie dwadzieścia lat mężczyznę, który wciąż ich pouczał i rzadko się uśmiechał.
- Ja też miałam od początku poczucie, że mogę mu ufać i że jest to ktoś, kto o wszystkim zdecyduje i powie, co robić. Podjęłam więc moją historię, przerywając jedynie, aby upić łyk herbaty, którą przyniósł mi Machdik.

ROZDZIAŁ 7. Ruch oporu

Demir słuchał bacznie, z nieprzeniknioną miną, całej mojej opowieści. Jaras czasem się wtrącał. Na początku próbował żartować, ale Demir go zgasił i chłopak do końca już tylko rozdziawiał usta i wytrzeszczał oczy.

– ...W końcu stwierdziłam, że jest późno. Wróciłam do szopy, w której się przedtem obudziłam i znów byłam tutaj. Najpierw opowiedziałam wszystko Machdikowi i uznaliśmy, że nie mogę tego zachować tylko dla siebie. To tyle.

Demir wciąż nic nie mówił, przeszywając nas oboje wzrokiem. Machdik nie wytrzymał.

– Gdybyśmy tylko potrafili to, co Aia... Może to byłaby szansa...

– Nie sądzę, by tego można było się nauczyć – oznajmił spokojnie Demir. – Tak samo, jak żadne z nas nie urośnie jako drzewo. Ale twoja historia jest ciekawa.

– Ciekawa?! – Jaras chwycił się za włosy. – To absolutnie obłędne! W życiu nie słyszałem bardziej odjechanych przygód!

– Co teraz? – zapytałam niepewnie.

– Cieszę się, że opowiedziałas nam o wszystkim. To rzuca nieco światła na twoją sprawę – stwierdził Demir. – W fabryce, gdzie cię znaleźliśmy, musiałaś po prostu spać, podobnie jak w tym klanie empatów.

– Chcesz powiedzieć, że Aia była tam od zawsze? – zdumiał się Machdik.

– I nikt jej dotąd nie odnalazł? – Jaras wyglądał na nieprzekonanego.

– To jest faktycznie zastanawiające. Może starsi coś wiedzą. Klan empatów zachował o tobie najwięcej informacji. Zapytam o to. Aio, a ty? Co zamierzasz?

– Chciałabym zobaczyć więcej. Do jak wielu miejsc mogę dotrzeć. No i chciałabym coś zrobić dla chorych i ubogich skazanych na zamknięcie w podziemiu – powiedziałam z namysłem. A w duchu pomyślałam jeszcze o Księżycowej Wiedźmie Eco. Jak na razie zebrałam o niej sporo sprzecznych informacji. Ale ze względu na to, co widziałam w Krainie Gier, czułam coraz większą niechęć do zarządczyni Miasta. Demir jednak myślał o czymś zupełnie innym.

– Mogłabyś... – Demir zawahał się.

– Słucham?

– Masz dostęp do wielu klanów. Mogłabyś być naszą ambasadorką.

– Genialne! – Machdik ucieszył się z pomysłu. – Gdybyśmy połączyli siły...

Demir pokiwał głową, ważąc słowa.

– Spokojnie. To tylko taka myśl, nie działajmy pochopnie. Ale z opowieści Aii wygląda na to, że wiele klanów, z takich czy innych powodów, jest odizolowanych, tak jak nasz. Klany nie mieszają się między sobą. Rejony pozostają osamotnione. Natomiast jeśli chodzi o Księżycową Wiedźmę. Aio, żyjemy bez prądu, ale może nie wszystkie klany sobie poradzą. Rozważ to. Gdy będziesz odwiedzać różnych ludzi, bądź ostrożna, ale przyjrzyj się ich życiu.

Obiecałam uważać. Ustaliliśmy również, że spróbuję zdobyć mapę Miasta, na której odnotuję, gdzie się znajduje. Machdik i Jaras byli podekscytowani, zwłaszcza samym udziałem w tajemnicy. Poprosiłam, aby na razie z nikim nie dzielili się moją opowieścią, a przynajmniej póki Demir nie dowie się czegoś więcej. Grać w otwarte karty mogłam jedynie wtedy, kiedy miałam pewność, że Rada Starszych nie ukrywa jakichś istotnych informacji. Nie chciałam, aby uznali mnie za niebezpieczną. Mogłam robić za szpiega.

W końcu wyszliśmy całą trójką. Jaras, poszedł do siebie, a my w kierunku domu Majtrejów. Było już całkiem ciemno. Zjedliśmy kolację i ponownie przeprosiłam rodziców Machdika, że ich zaniepokoiłam.

– Myślę, że będzie się to powtarzać. Ale nie przejmujcie się, naprawdę. Może pochodzę z klanu, gdzie długo się śpi? – próbowałam zażartować. Ale pan Majtrej zaczął rozważać to na serio.

– Nie słyszałam nigdy o takim klanie, ale może to jakiś trop?

– ...może? – zająknęłam się.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę z Machdikiem, siedząc w jego pokoju. Pomieszczenie było puste, nieprzytulne, zbyt wielkie dla kilku prowizorycznych mebli: łóżka, jednej szafki i kilku półek.

– Chciałbym także móc zobaczyć resztę Miasta. Najdalej udało mi się wyruszyć poza wioskę do Klanu Drzew. Reszta jest za daleko.

– Ciekawe, czy gdyby przenieść cię na zewnątrz wtedy, gdy będziesz spał, też atakowałyby cię demony?

Machdik wzdrygnął się.

– Nieee, daj spokój, to brzmi jeszcze bardziej przerażająco.

– A gdyby wykopać tunel?

– To chyba niezależne. Demony są niematerialne. Obojętne im, gdzie się znajdują.

– Nie próbowaliście z nimi walczyć?

– Czym, miotłą?

Roześmiałam się.

– Nie. Nie wiem. Babka Szechna ma to swoje zaklęcie oczyszczające. Nie ma jakichś innych?

Machdik zawiesił się na moment, patrząc jakby przeze mnie na wskroś.

– A wiesz – powiedział w końcu – nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie mam pojęcia jak to działa. Babka szkoliła się u poprzedniej szeptunki. A obecnie sama uczy jedną z dziewcząt. To dość zamknięta wiedza.

– Trzeba kiedyś się temu przyjrzeć. – Ziewnęliśmy jedno po drugim.

– Czas na kolejną wyprawę? – uśmiechnął się Machdik. Odpowiedziałam tym samym, czując ciepło na sercu.

– Może uda mi się skoczyć jeszcze gdzieś, zanim wrócę do Centrum. Poza tym czas, abym zaczęła trening.

– Zobacz też, czy tego chłopaka już wypuścili.

– Karana?

– No. A ja podpytam babkę Szechnę. Uważaj na siebie. – Uściskał mnie, przygarniając jednym ramieniem.

– Ty też. Dobranoc. Do zobaczenia wkrótce.

Przeszłam do sąsiedniego, równie pustego pomieszczenia, ubierając się w koszulę nocną pani Bahiji.

„Zobaczmy, gdzie mnie jeszcze nie było” – pomyślałam stwierdzając, że nigdy nie budziłam się nigdzie w środku nocy. Spróbujmy, może po łunie światła da się określić, jak daleko znajdę się od Centrum.

Zamknęłam oczy.

Otworzyłam je. Ciemność. To akurat typowe dla mnie. Zawsze ląduję w jakiejś norze. Rozejrzałam się. Tym razem chyba faktycznie byłam gdzieś pod ziemią. Niewiele widziałam, ale skądś musiało dochodzić tu słabe światło, bo dostrzegłam zarys cegieł. Piwnica. Znajdowałam się w niewielkim loszku o łukowatym sklepieniu. Musiałam stać pochylona. Moja cela była niewielka, wychodziło się z niej na korytarz rozszczeplający się na poszczególne pomieszczenia i wijący wkoło. Światło docierało z krat nad moją głową. Wąska żeliwna krata, jak z odpływu ściekowego, wsączała żółtawy poblask lampy bądź innego źródła światła.

Myszkując cierpliwie, odnalazłam wąskie schodki prowadzące na górę. Ale wyjście było zamurowane. Była to lita cementowa płyta.

– Świetnie – syknęłam przez zęby. Spróbowałam, czy da się ją odsunąć bądź unieść. Nic z tego. Albo była dla mnie za ciężka, albo przyklejono ją zaprawą murarską na stałe. Zjeżył mi

się włos na głowie. Czy tkwiłam tu pod ziemią cały czas? W tej ponurej piwnicy, ze szczurami i pajakami? Zrobiło mi się nieswojo. Nie chciałam się jednak poddawać. Wznosiłam obchód. Przeszłam pomieszczenia i korytarze wzdłuż i wszerz. Niestety nie znalazłam zupełnie niczego. Pusto. Żadnych dodatkowych wyjść. Mogłam zacząć wołać, ale jak wtedy wytłumaczyć, że tkwiłam tu zamknięta? Kto w ogóle zdecydowałby się wypuścić taką zjawę? Jak z koszmaru. Mogłam też pójść spać i opuścić to miejsce. Ale bardzo chciałam zobaczyć, co jest na górze. Dokąd trafiłam?

Co robić?

Może wyjdę przez kratkę? Gdyby udało się ją poluzować... Ale była za wysoko, nie miałam do niej dostępu. Wróciłam do zamurowanego wyjścia. Wyciągnęłam mój nóż i zaczęłam manipulować przy ceglach. Może uda mi się nadkruszyć zaprawę? Wtem coś szczęknięło i gdy pchnęłam, płyta odskoczyła. Udało mi się ją unieść. Była na zawiasach, których wcześniej nie dostrzegłam. Okazało się, że nożem podważyłam mechanizm zamka. Wyszłam, ostrożnie zamykając za sobą wejście. W pomieszczeniu paliła się zwykła żarówka. A zatem to miejsce musi mieć połączenie z Centrum. Mimo iż znalazłam się wyżej, to nadal były piwnice. Albo jakiś bunkier. Brakowało okien. Świeciło się tylko sztuczne światło.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tu mieszkał. Pośłania, sprzęty codziennego użytku, zabawki, narzędzia, naczynia. Niemniej ludzi nie było w środku. Gdzieś zatem jest wyjście. Ucieszyłam się. Zamknięcie w tej przestrzeni było niepokojące.

Wtem usłyszałam kroki. Przyczaiłam się za zakrętem. Gdyby mnie teraz odnaleźli, nadal trudno byłoby mi się wytłumaczyć. Ktoś zakrzętnął się, zaszurały zbierane naczynia, po czym kroki zaczęły się oddalać. Ruszyłam za oddalającym się. Śledząc go, z łatwością dotarłam do wyjścia. Weszliśmy po schodkach jeszcze jeden poziom. Na górze zbudowano szerokie wyjście, prowadzące do specyficznie wyglądającego osiedla domków. Większość uliczek była zadaszona, a pomiędzy stały długie stoły z dużą ilością urządzeń. Znajdowały się tam gręplarki, krosna, wrzeciona, tłoki, wiertła, koła garncarskie i wiele innych. Wyglądałam ostrożnie zza ścianki, przypatrując się przepięknemu zjawisku. Wszystko, nad czym pracowali ludzie, migotało, lśniło i jarzyło się własnym blaskiem. Bowiem praca wrzała i nikt najwyraźniej nie zamierzał iść spać. Dalej stały domy, o wielkich oknach, również rozświetlone jak lampiony. Zbudowano je blisko siebie, w okręgu, a zejście do piwnicy było na środku.

– Hej! Kto tam!? – Jeden z pracujących najwyraźniej mnie dostrzegł. Ludzie natychmiast zareagowali. Prostowali się znad swoich maszyn zaskoczeni. Wlepiwszy we mnie wzrok, trzymali w pogotowiu niegroźne dotąd narzędzia pracy.

– Wyjdź z uniesionymi rękami i nie próbuj uciekać. Jesteś otoczony!

Wyszłam posłusznie, chowając głowę w ramionach. Stanęłam w pewnej odległości, kątem oka rozpaczliwie szukając drogi ucieczki. Jak się na mnie rzucą w kilku chłopa, nie będę miała szans.

– Bliżej!

Zrobiłam jeden mały krok. Wcale nie chciałam się znaleźć w zasięgu rażenia hebla ani garnków.

Mężczyzna, który ze mną rozmawiał, stał najbliżej z młotkiem w dłoni. Obok niego pojawiła się kobieta w naszyjniku z fosforyzujących koralików. Szepnęła coś cicho do swego towarzysza i postąpiła nieco do przodu.

– Skąd się tutaj wzięłaś, skąd wiedziałaś o naszej osadzie, czego chcesz?

Zabrzmiała jak szefowa.

– Przybywam jako ambasador Klanu Psa. Podróżuję przez rejony, szu... Mmm, kontaktując się z różnymi klanami. W zasadzie dotarłam tu przypadkiem. Nie mam złych zamiarów.

– Czy ten Klan Psów, jak powiedziałaś, jest z tobą?

– Kilku... jest... są niedaleko, to znaczy... – Niech to szlag, brzmię mało wiarygodnie. – Jestem sama, ale jak nie wrócę za jakiś czas, to będą mnie szukać...

Ze słów mojej rozmówczyni wynikało, że nie mają o Klanie Psa pojęcia, może więc również nie wiedzą o ich kłątwie. Ona tymczasem odwróciła się, aby zamienić słowo ze stojącymi za nią ludźmi. Po chwili spojrzała na mnie uważnie.

– W porządku. Jestem Sovanna. Przewodnicząca Nocnych Wędrowców. Czego Klan Psa może od nas chcieć?

Dopiero zorientowałam się, że mimo władczej postawy jest przede wszystkim spięta. Hola, ci ludzie się mnie boją! Dlaczego? Rozłożyłam ręce, zyskując nieco pewności siebie, zbliżyłam się jeszcze trochę. Kilkoro cofnęło się odruchowo.

– Proszę się nie obawiać. Mam na imię Aia. Zbieram informacje o różnych klanach, aby podjąć współpracę. Klan Psa i Klan Drzew prosperują właśnie dzięki temu. Klan Psa wyszedł z pomysłem, aby dotrzeć do innych klanów. Wiele z nich boryka się z różnymi problemami, a wiemy bardzo mało o sobie nawzajem. Powinniśmy sobie pomagać. Czy... nie macie na przykład żadnych problemów ze światłem?

Sovanna zdziwiła się wyraźnie. Mężczyzna, który mnie wcześniej zauważył, szepnął jej coś na ucho.

– Zgoda, Chendo... Ambasadorko, światło ma u nas specjalne względy i to jedyne, czego nam brakuje. Szczęściem, radzimy sobie. Trudnimy się rękodzielnictwem. Czy Klan Psa oferuje coś za taki dar?

– Z pewnością. To wszystko jest do ustalenia. Jeśli natomiast nie Klan Psa, może inne klany chętnie podejmą taką wymianę. Zamierzam nawiązać sieć powiązań. Powiedzcie proszę, gdzie się znajdujemy w stosunku do Centrum?

Odpowiedziała mi cisza zakłócana szmerami szeptów. Mężczyzna nazywany Chendą wskazał w końcu za siebie. Spojrzałam w tamtym kierunku. W prześwicie między dachami widać było odległą lunę środka Miasta, oraz niewielkie łuny tu i ówdzie.

– To trochę na oko. Wybaczcie, moja orientacja jest dość kiepska. Podróżuję, kierując się przypadkiem i łutem szczęścia. Dopiero powoli tworzę mapę okolic. Czy powiecie mi, jaka to mniej więcej odległość?

Nie wiem, czy zyskałam sobie przychylność tych ludzi, ale uspokoili się i przestali mnie traktować jak wściekłego psa przybłądę. Sovanna podeszła bliżej i spojrzała w tym samym kierunku, mówiąc:

– To nasza jedyna wskazówka. Nie oddałyśmy się od naszej osady.

– Dlaczego? Czy powodem jest klątwa wybuchu?

– Klątwa powiadasz? Można tak to nazwać. Nie możemy funkcjonować za dnia... – Przyjrzała mi się niepewnie. Z tej odległości okazała się młodsza, niż się spodziewałam. – Rozumiem, że nie wiesz, jaki jest problem Nocnych Wędrowców?

– Pijecie krew dziewczyc? – zażartowałam ostrożnie, ale chyba mnie nie zrozumiała.

– Słońce powoduje u nas znaczne obrażenia. Nawet zabezpieczeni kombinezonami, ubraniami, doznajemy poparzeń. Nieosłoniętą skórę słońce dosłownie wypala. Wychodzimy tylko w ciągu nocy i to grubo po zachodzie.

To naprawdę są wampiry.

– Czy określenie Nocni Wędrowcy nie jest zatem trochę... ironiczne?

– W tym rzecz. – odparł Chenda, a kobieta po raz pierwszy leciutko się uśmiechnęła się.

– A jak dobrze widzicie w nocy?

– Słabo.

– Jak to? – zdumiałam się. – To jak sobie radzicie?

– Lampy w bunkrze, gdzie śpimy, palą się cały czas. Przypuszczamy, że to dar Miasta. Czasem korzystamy z pochodni, ale na ogień też jesteśmy dość wrażliwi. Wystarczy, że korzystamy z niego do wypalania ceramiki i aby się ogrzać. Podczas pracy używamy lśniących muszli. Sprawiają, jak pewnie zauważyłaś, że przedmioty świecą własnym światłem.

– Skąd macie takie muszle?

Sovanna pozwoliła mi podejść do stołów. Ludzie powoli wracali do pracy. Przyglądałam się oczarowana pięknym, fosforyzującym wzorom.

– Jest gatunek ślimaków, który odkryli nasi dziadkowie. Żyją w podziemiu i żywią się grzybami rosnącymi na dole, z dala od światła. W zasadzie to te grzyby świecą. Ślimaki zjadają je i ten świecący związek odkłada się w ich muszlach. Mielimy je, dodając do gliny, bądź ozdabiamy przedmioty fragmentami skorup. Jeśli wywarem z tych muszli podlać nasz len i konopie, również zaczyna delikatnie lśnić.

Przyjrzałam się naszymyśnikowi Sovanny. Lud nocy lubujący się w blasku. Co za ironia.

– Rozumiem, w takim razie nie opuszczacie tego miejsca, bojąc się, że dzień zastanie was zbyt daleko od bezpiecznego schronienia? Czy nie próbowaliście budować schronów i kontaktować się z innymi?

– Aio, wiemy, że zwykli ludzie w nocy śpią. Ktoś mógłby nas wziąć za złodziei bądź potraktować wizytę jako atak. Z drugiej strony fakt, iż my śpimy, gdy inni się budzą, naraża nas na ataki w dzień. Chcieliśmy po prostu żyć bezpiecznie.

Sovanna oprowadziła mnie wkoło stołów. Pozdrowiałam życzliwie pracujących ludzi. Pozwolono mi nawet zajrzeć do domów. Szerokie okna łapały światło księżyca. Dziś przesłoniętego jesiennymi chmurami. Przynajmniej nie padało. Obecnie noce były znacznie dłuższe, za to chłodne. Latem, Gdy wszędzie indziej spędzano na pracy więcej czasu, Nocni Wędrowcy musieli chować się przed dniem. Poza tym ich wzrok i inne zmysły były zupełnie zwyczajne. Za nietolerancję słońca płacili dość niesprawiedliwą cenę, nie mając nic w zamian.

Postanowiłam ocenić położenie wioski na podstawie kroków. Wyposażona w latarnię i towarzystwo Chendy, który był w stanie wskazać mi przynajmniej ścieżki w okolicy, oceniałam wielkość i sąsiedztwo rejonu. Na kawałku pergaminu notowałam sobie na oko, gdzie moglibyśmy się znaleźć. Chenda pomógł mi niezmiernie ocenić kierunki świata. Tej nocy nie było widać gwiazd, którymi Nocni Wędrowcy zwykli się kierować, ale Chenda pamiętał z grubsza strony świata.

Wskazał mi też, gdzie znajdują się stare, zapadnięte sztolnie i jaskinie, gdzie zbierają fosforyzujące ślimaki. Uprzedził mnie, że to niebezpieczne miejsca i zdarza się, że w okolicy obsuwa się ziemia.

Obiecałam odpowiedź z Klanu Psa i przeprosiłam za zawracanie im głowy nagłą wizytą. Ruszyłam w mrok, symulując podjęcie podróży. W rzeczywistości musiałam znaleźć bezpieczne schronienie, aby zasnąć. Uznałam, że jaskinia mogłaby być całkiem niezłym pomysłem. Szerokim łukiem wyminęłam osadę Nocnych Wędrowców i podjęłam ostrożnie poszukiwania jaskiń. Raz niemal wpadłam do jakiejś dziury. Na chwilę strach podsunął mi wizję roztrzaskanej czaszki dziesiątki metrów w dół. Na szczęście była to tylko podmyta przez wodę

niecka, której skarpa osunęła się, gdy na nią nadepnęłam. Ryzykowałam jedynie przemoczeniem spodni.

W końcu, niemal tracąc nadzieję w sens tych zwariowanych nocnych poszukiwań, odnalazłam uskok, w którym znajdowało się szerokie pęknięcie i można było tam spokojnie zejść do całkiem przestronnej, w miarę suchej pieczary. Brakowało świecących grzybów i ślimaków, więc uznałam, że przeczekam tu do następnego razu, a za dnia, gdy Nocni Wędrowcy nie będą w stanie mnie spotkać, poszukam czegoś bezpieczniejszego.

Zasnęłam natychmiast, kuląc się pod skalną ścianą,

a budząc w podziemnej „szkole”.

„Z podziemia do podziemia” – stwierdziłam ironicznie i rozejrzałam się, szukając Ransama.

– Aio, całe szczęście, że już nie śpisz! – Ransam dopadł mnie, zanim zdążyłam powiedzieć „Dzień dobry”. – Spotkałem asystentkę Johtai. Nie do końca wiem dlaczego, ale ruch oporu chce się z tobą widzieć.

Ruch oporu? Aha. Z pewnością ludzie sprzymierzeni przeciwko Księżycowej Wiedźmie. Czyli Hiiri, szefowa Johtaja i cała gromadka jej podkomendnych mają Wiedźmę na celowniku.

Potem pomyślałam, że wezwanie Ma związek z moją wyprawą z Hiiri do Krainy Gier. Oj, niedobrze. Może mi się oberwać.

– Kiedy?

– Najlepiej jak najprędzej. Mówiłem, że zaprowadzę cię do nich, jak tylko cię spotkam.

– Nie powiedziałaś, że śpię?

– Nie. Jakoś wołałem to przemilczeć. – Uśmiechnął się.

– Dzięki.

Wyszliśmy na powierzchnię i wyjątkowo ruszyliśmy zwykłymi ulicami, zamiast przemieszczać się po dachach. Gdy zagadnęłam o to Ransama, wskazał czarną iglicę jednego z najwyższych wieżowców Centrum.

– Widzisz go? Najprawdopodobniej jest to siedziba Księżycowej Wiedźmy. Nazywamy ją Zamkiem.

– Ale nie wiecie tego na pewno?

– Nie. Księżycowa Wiedźma używa swojej mocy, aby nikt jej nie zobaczył, gdy tego nie chce. Każde pojawienie się na naszych oczach, to celowa prezentacja siły. Chce, abyśmy się jej bali.

– No i świetnie jej się to udaje – mruknęłam z przekąsem.

– Może. W każdym razie siedziba ruchu oporu jest stosunkowo blisko. Stwierdzili, że nie ma sensu kryć się na obrzeżach. Po pierwsze, wszelkie akcje byłyby opóźnione i kontrola nad tamtymi byłaby mniejsza. Po drugie, pod latarnią najciemniej. Więcej ludzi kryje się na obrzeżach, więc tam częściej krąży milicja.

Nie podeszliśmy pod sam Zamek, ale całkiem niedaleko. Pomiędzy wysokimi kamienicami w jednym miejscu mieścił się plac – pozostałość po budynku, który może się zawalił albo go zburzono. Pozostał fundament, przez który przebijała się roślinność. Ransam usiadł na moment na betonowym cokole, polecając mi zrobić to samo.

– O co chodzi? – Spytałam szeptem, nachylając się.

– Jeśli ktoś nas śledził, nie chcę tak po prostu zdradzić ich kryjóWKi – odpowiedział półgębkiem, poprawiając sznurówki w sfatygowanych butach. – Udajemy schadzkę – wymyślił Ransam i objął mnie ramieniem, dmuchając ciepłym oddechem w ucho. Nic jednak nie wskazywało, że ktoś nas obserwuje. Posiedzieliśmy chwilę, nasłuchując i zerkając ukradkiem ponad swoimi ramionami.

– Czysto – stwierdził z satysfakcją i wstał, podchodząc na środek fundamentu. Ja uczyniłam to samo, czując się odrobinę zbita z tropu. Przesłonięte pnączem, osłonięte pokrywą pomalowaną w kolorze otaczającego ją betonu w ziemi znajdowało się przejście. Kolejna piwnica. „Hurra” – pomyślałam niechętnie. Ale gdzież indziej mieliby się chować? Podziemie to podziemie.

Zeszliśmy, zakrywając za sobą wejście i znikając w zupełnych ciemnościach. Schodziliśmy po omacku. Potknęłam się kilka razy.

– Aio. Daj rękę. – Ransam chwycił mnie i pomagał chwytać równowagę. Jego dłoń była szczupła i ciepła. Po jakimś czasie ujrzelśmy zarysy ścian i delikatne światło sączące się z głębi, usłyszeliśmy także echo oddalonych głosów. Wreszcie weszliśmy do niewielkiej salki, gdzie przy długim stole siedziało troje osób. Rozpoznałam Johtaję – liderkę ruchu. Obok niej siedziało dwoje dorosłych ludzi w średnim wieku – ciemnoskóra kobieta i łysy mężczyzna. Zastanowiłam się nad fenomenem tego, że przywódcami są tak młodzi ludzie. Choć w wypadku Ransama miało to chyba inne podłoże. Ransam opiekował się głównie młodzieżą mniej więcej w swoim wieku i młodszą. Johtaja musiała mieć dwadzieścia parę lat i wyraźnie darzono ją respektem. Za ich plecami, nieco w cieniu, znajdowali się jeszcze dwaj młodzi mężczyźni, oraz Hiiri.

– Cieszę się, że dotarliście. Miejmy nadzieję, że nikt was nie śledził. Witaj, Aio, znów się spotykamy. Ransamie, zaczekasz w sąsiednim pomieszczeniu. Odmówiłeś przystąpienia do ruchu oporu, więc nie powinienes w tym uczestniczyć.

Ze wskazanego pomieszczenia wyłoniła się postać ubrana podobnie szaro jak Hiiri i reszta. Ransam pozwolił się odprowadzić.

Johtaja przywołała mnie bliżej i nakazała, bym usiadła przy stole. Pozostali zrobili to samo. Czekałam w milczeniu.

– Hiiri opowiedziała mi całe zajście – zaczęła szefowa bez ogródek. – Zatem jesteś obywatelką?

Kiwnęłam głową.

– Czemu mieszkasz w „szkole”?

– Bo jeszcze nie zadbałam o żadne lepsze mieszkanie – odparłam ostrożnie.

– To nie jest odpowiedź! – Oczy Johtai zwęziły się niebezpiecznie. – Dobrze wiesz, o co pytam. Dlaczego obywatelka, posiadająca sporą sumę pieniędzy, ukrywa się w piwnicy? Skąd ten cały pomysł, z wycieczką do Krainy Makabry? W dodatku zabierasz ze sobą moją adiutant. Wykupujesz także więźnia. Wiesz jak to wszystko dla mnie wygląda?

– Jak akt dobrej woli? – zaryzykowałam.

– Jak kłamstwo i podpucha! – podniosła głos, uderzając otwartą dłoń w stół. – Moim zdaniem jesteś szpiegiem Księżycowej Wiedźmy. Chciałaś się wkupić w nasze łaski, a następnie podać cały ruch oporu na tacy.

No i co teraz? Spojrzałam nerwowo na Hiiri. Jej twarz niewiele wyrażała. Chyba też starała się unikać patrzenia mi prosto w oczy. Do diaska. Ale dałam się zrobić. Wychyliłam się przed szereg, a zatem uznali mnie za niebezpieczną. Nie wypuszczą mnie z tego podziemia tak po prostu. Ciekawe co z Ransamem. Czy jemu darują? Może uratuje go fakt, iż nie słyszy tego wszystkiego.

Co robić? Im bardziej będę się bronić i udowadniać swoją niewinność, tym gorzej dla mnie. Zatem...

– Brawo – rozłożyłam ręce z nonszalanckim uśmiechem – rozgryźliście nas. To wszystko było ustawione. Jestem agentką pani Eco. Nie wiedzieliśmy, gdzie się ukrywacie. Byliście zapobiegliwi, nieuchwytni i sprytni. Teraz jednak wszystko stało się jasne. Znamy wasze położenie. Przegraliście.

Johtaja uniosła wysoko brwi. Siedząca obok kobieta z kolei wyprostowała się i gniewnie zmarszczyła czoło. Reszta wpatrywała się we mnie z kamiennymi twarzami.

– Nie wyjdiesz stąd żywa – wysyczała Johtaja, cedząc słowa.

Wzruszyłam ramionami, przybierając obojętny wyraz twarzy.

– Mój pech. Ale cel został osiągnięty. Zarówno „szkoła”, jak i ta wasza podziemna baza, wkrótce zostaną wyczyszczone. Jeśli mnie nie wypuscicie, Przeprowadzą szturm. Jestem obserwowana.

Zapadła cisza gęsta jak marmolada.

– A jak cię wypuscimy? – zapytała Johtaja.

– Wtedy... Zdobędziecie więcej czasu na ewakuację.

– Nie. Więcej czasu na ewakuację zdobędziemy, jak cię tu trochę przetrzymamy.

– Oj – wymusnęło mi się. – Ale... To i tak za późno. Księżycowa Wiedźma śledzi mnie przez nadajnik, który mam przy sobie, i wszystko widzi, i słyszy. I zaraz pewnie tu wparują jej milicjanci.

– Aha – stwierdziła Johtaja, splatając ramiona w geście powątpiewania. – I nie przeszkadza jej, że nazywasz ją Wiedźmą zamiast „panią Eco”? Oraz, że zdradzasz nam plan zasadzki? – Kiwnęła głową, a jeden z młodzieńców skierował na mnie lufę pistoletu.

Wtem do pomieszczenia wpadł Ransom, który uchylił się swojemu strażnikowi i podbiegł do stołu.

– Ona kłamie! To bzdura!

Strażnik przyskoczył za nim, chwytając go od tyłu za ramiona. Drugi wybiegł po chwili z rozciętą wargą i przyłożył Ransomowi w brzuch. Chłopak zgiął się wpół ze stęknieniem.

– Nie! – krzyknęłam, wstając raptownie i przewracając krzesło.

– Dość – rzekł najstarszy z mężczyzn i również wstał. Był wygolony na całej głowie i bardzo pomarszczony. Lewa część twarzy zdawała mu się zwisać. Gdy mówił, była jakby nieaktywna.

– Ona kłamie – stęknął Ransom – nie jest szpiegiem.

– Jaki masz na to dowód? – Ciemnoskóra kobieta wycelowała w niego palcem. – Sama się przyznała.

– Już dobrze, Zyanyo. Przecież to jasne – uspokoił ją mężczyzna – to nie jest reakcja wiedźmiej agentki. Przecież on jej w ogóle nie powinien obchodzić.

Johtaja uściśnęła nasadę nosa, jakby chcąc zahamować nadciągającą migrenę.

– Dobrze. Więc od początku. Kim ty jesteś, dziewczyno? I dlaczego próbujesz tak nieudolnie kłamać?

– Jak to nieudolnie? Przecież wspaniale to wymyśliłam! – Uznałam jej słowa za obrazę moich umiejętności twórczych.

– Aio. Nie utrudniaj nam tego. Po co pojechałaś do Krainy Gier?

Zwiesiłam głowę.

– Bo złapali przyjaciela Ransama i chciałam coś zrobić, żeby go stamtąd wyciągnąć.

Nie patrzyłam na Ransama, ale słyszałam, jak sapnął zaskoczony.

– Gdzie mieszkasz? Uciekłaś z domu? – wysunął przypuszczenie łysy mężczyzna.

– Nie wiem. Może. Straciłam pamięć. Nie wiem, skąd się wzięłam. Na mojej karcie identyfikacyjnej jest zapisany fałszywy adres.

– Skąd wiesz, że jest fałszywy?

– Bo to elektrownia. Nikt tam nie mieszka. Ale tam się ocknęłam.

– W elektrowni? Jak to ocknęłaś się?

– Ona zasypia. Zapada w letarg. Nie daje wtedy znaków życia i przesypia nawet kilka dni – wciął się Ransam.

– Bardzo z ciebie tajemnicza osóbka – Powiedziała ciemnoskóra Zyanya, krzywiąc się.

– Trochę mi to przeszkadza. Łatwo przypisać mi kłamstwo, bo takie to wszystko jest dziwne. Więc nawet się nie siliłam na tłumaczenia – odparłam z rezygnacją.

– Oceniliśmy cię nieprzychylnie, a może się okazać, że jesteś naszą szansą, Aio. – Johtaja odwołała młodzieńca z pistoletem i kazała mi z powrotem usiąść. Ransam również dostał krzesło, na którym spoczął z ulgą, trzymając się za brzuch. – Bez względu na to, czy twoja karta identyfikacyjna jest prawdziwa, czy sfałszowana, działa. Mogłaś swobodnie jej używać. Zapewniłaś sobie też jakieś kontakty wśród elity. Masz ogromne możliwości. Naprawdę mogłabyś stać się szpiegiem. Ale naszym.

Ważyla ostrożnie te słowa. Nie za bardzo podobał mi się ten pomysł, ale słuchałam cierpliwie.

– Księżycowa Wiedźma to okrutny dyktator. Zobaczyłaś zaledwie fragment jej możliwości.

– Kraina Gier mi wystarczyła...

Johtaja pokręciła głową, nie dając mi dojść do słowa.

– Nie. Nie rozumiesz. Księżycowa Wiedźma jest zwieńczeniem najwyższej kasty. A elity to nie tylko bogaci ludzie. To ludzie, którzy są potomkami tych zdrowych, ocalałych z wybuchu. A biedota to ludzie, których dotknęło promieniowanie wybuchu. To ludzie chorzy, słabi, od początku niezdolni do pracy. I nie ma dla nich żadnej nadziei. Żadnej. To ludzie do odstrzału. Księżycowa Wiedźma Eco nie spocznie, póki nie wytępi wszystkich, którzy nie są filarem silnego społeczeństwa. Są jeszcze odmieńcy z rejonów oddalonych od Centrum Miasta. Zdeformowani, brzydcy, kalecy... Tych Wiedźma odławia i wrzuca na arenę ku uciesze gawiedzi, ale przyjdzie czas, może wkrótce, że pozbędzie się ich za jednym razem. Sądzymy, że jej moc może zrównać całą wioskę odmieńców z ziemią. Co ją powstrzyma? My stajemy się tylko coraz słabsi. A ona? Moc da jej wieczność.

– Niemożliwe – podważyłam to ostatnie. – Niemniej reszta brzmi fatalnie.

– Jeszcze z pewnością ujrzysz, do czego zdolna jest Księżycowa Wiedźma. Szczęśliwie mamy po swojej stronie ludzi biegłych w różnych przydatnych dziedzinach. – Johtaja rzuciła przelotne spojrzenie ku łysemu mężczyźnie, na co ten skłonił lekko głowę. – Przystań do nas – kontynuowała przywódczyni ruchu oporu. – Pomożesz nam, a my dołożymy wszelkich starań, by dowiedzieć się czegoś o twojej przeszłości. Zapewnimy ci także stosowny trening, abyś mogła się bronić i obsługiwać broń palną. Jeśli się zgodzisz, będziemy mogli dzięki temu śledzić poczynania Wiedźmy od strony elit. Informacja to podstawa, a w naszej sytuacji dość trudno ją zdobyć.

– Jesteś nam bardzo potrzebna, Aio. – Zyanya splótła dłonie i spojrzała na mnie błagalnie. – Od dawna już próbujemy coś zaradzić na agresję Księżycowej Wiedźmy, ale w rezultacie jedynie utrzymujemy się na powierzchni.

Czułam na spojrzenia, jakby były czymś namacalnym. Przypomniałam sobie wzgardzone klany, które poznałam. Zasadniczo odcięte od Centrum, wystawione na łaskę i niełaskę Księżycowej Wiedźmy. Przypomniałam sobie Krainę Gier i spotkanie z Wiedźmą Eco, gdy na placu zapragnęła popatrzeć sobie na człowieka od środka. Przypomniałam sobie „szkołę” pełną słabych, chorych, bezbronnych ludzi. I przepych Centrum. Sklepy, kolorowe witryny, bez troską nieświadomość i ignorancję elit. Gniew dodał mi pewności siebie.

– Zgoda. Pomogę wam.

Rozległy się głosy pełne aprobaty.

Hiiri, zaprowadziła mnie do pomieszczenia, gdzie urządzono składzik. Zbiory nie były imponujące, ale zawsze coś. Hiiri poradziła, abym się rozejrzała i coś wybrała. Było tu trochę broni palnej, kamizelki kuloodporne, pałki policyjne, noże wielkie jak tasaki do mięsa, głównie zużyty sprzęt najwyraźniej wykradziony z zasobów miejskiej milicji.

Zbliżyłam się do jednej z półek, aby pooglądać pistolety... Nie wiem, czym dokładnie były. Nie znam się na broni. Dla mnie to wszystko były pistolety. Zważyłam kilka w dłoni. Ciężkie. Do krośset! Ja mam tego używać? „Bułka z masłem” – pomyślałam ironicznie. Gorzej, jeśli miałabym tym kogoś zranić bądź zabić!

Wcale nie chciałam nikogo pozbawiać życia. Jeśli tylko się da, chcę tego uniknąć.

Hiiri w końcu zniecierpliwiła się.

– No? Zdecydowałaś się na coś? Umiesz może strzelać?

Zaprzeczyłam gorliwie.

– Weź ten. Jest lżejszy, prostszy. Jest szansa, że nikogo nie postrzelisz.

Wróciłam do wszystkich zebranych, niosąc broń, jakby była gorącym kartoflem. Johtaja zachowała kamienną twarz.

– Dobrze, zatem poćwiczysz strzelanie i walkę wręcz. Trzeba będzie to zrobić gdzieś na uboczu, żeby huki wystrzałów nie ściągnęły nam na głowę milicji. Myślę, że w tym celu wyjedziemy z Centrum. To będzie też regularne miejsce spotkań, Aio. Będziesz się tam pojawiać codziennie o świcie. Pojadą z tobą Hiiri i Valko. – Niewysoki pulchny chłopak skinął głową. – Oboje dobrze strzelają. A my spotkamy się za jakiś czas. Poślę po ciebie. Jedźcie.

– Powodzenia – powiedział łysawy mężczyzna, a Zyanya kiwnęła poważnie głową.

Wyszliśmy z Ransamem z bunkru, ostrożnie uchylając właz, aby sprawdzić, czy nikogo w pobliżu nie ma. Odeszliśmy do sąsiedniego zaułku, by poczekać na Hiiri i Valka. Wtedy dopiero odetchnęłam, zorientowawszy się, jak bardzo byłam zdenerwowana.

– Ransam, wszystko gra? Ależ ci przywalił. Skąd wiedziałeś, że udaję? Skąd w ogóle wiedziałeś, co się dzieje? – zapytałam.

– Aio, jesteś beznadziejnym kłamcą. Sąsiednie pomieszczenie miało kratkę wentylacyjną, przez którą wszystko było słychać. Gdy zobaczyłem, że sama się podkładasz, wałnąłem jednego ze strażników i musiałem ci przerwać.

– Tak?

– Tak. Ruch oporu czasem nie przebiera w środkach. Jakby uznali, że jesteś zbyt niebezpieczna, mogłoby cię to słono kosztować.

– Dlatego nie chciałeś do nich przystąpić? – domyśliłam się. Kiwnął głową.

– Nie do końca zgadzam się z ich metodami. Chociaż łączy nas wspólna nienawiść do Księżycowej Wiedźmy.

– Dziękuję. – Ucisnęłam jego dłoń. Spojrzał w bok.

– Aio... to prawda, że pojechałeś do Krainy Gier, aby ratować Karana?

– Tak. Ale nie wiem, czy z tego wyjdzie. Był... bardzo poturbowany. – Ransam zaklął.

Wtedy dołączyli do nas Hiiri i Valko. Za nimi podjechał do nas niewielki bus dostawczy. Za kierownicą siedział drugi chłopak, milcząco przysłuchujący się rozmowie przy stole.

– Jedziemy – zarządziła Hiiri. – Wyjedziemy na pace poza granice Centrum. Pakujcie się do środka.

Na miejsce dotarliśmy w ciągu dwudziestu minut. Wyminęliśmy stare kamienice i część przemysłową, gdzie obudziłam się po raz pierwszy. Skraj Centrum przecinał nasyp kolejowy. Tor pociągu, którym jechałam – jak się domyśliłam. Był tam niewielki plac, na którym przez popękany beton przeciskała się trawa i małe drzewka. Kiedyś to musiał być chyba parking. Obecnie zrobiono tu wysypisko nieużytecznych materiałów budowlanych.

Kierowca pozostał w samochodzie, a my przeszliśmy przez cały plac i zatrzymaliśmy się na skraju, gdzie krzewiły się wyższe zarośla i stał fragment ściany. Hiiri i Ransam zachowali

bezpieczną odległość. Zostałam przekazana w ręce Valka – chłopca, który ponoć dobrze radził sobie z bronią palną. Musiał mi się powtórnie przedstawić, bo był tak niepozorny, że w ogóle nie zapadł mi w pamięć z imienia. Powierzchnowość jednak nie miała nic wspólnego z jego umiejętnościami. Na jednym z budynków narysowaliśmy farbą tarcze. Różnego rozmiaru, w kilku miejscach. Chłopak trafiał w dowolne punkt niemal bez celowania.

Przyszła kolej na mnie. Muszę przyznać, że byłam z siebie dumna. Nie postrzeliłam nikogo, nie uszkodziłam broni ani narysowanej tarczy. Tej ostatniej rzeczy w sumie raczej nie mogłam wpisać na listę sukcesów. W zasadzie strzelałam wszędzie tylko nie do celu. Valko był cierpliwy i staranny, a ja beznadziejna. Hiiri zataczała się ze śmiechu. Nawet Ransomowi się udzieliło. Po którymś razie na głos dowcipkowali na temat mojej celności. Było mi głupio, ale nie mogłam się gniewać.

Następnie Hiiri pokazywała mi chwyt użyteczne do walki wręcz. Tutaj humor jej się zepsuł, gdyż mimo cierpliwego lądowania na ziemi, gdy dany chwyt prezentowała na mojej skórze, wcale nie stawałam się lepsza. W zasadzie strzelanie szło mi lepiej, bo przynajmniej nauczyłam się sama przeładowywać broń.

Jedyną moją zaletą było to, że nie męczyłam się tak prędko. Byłam dość wytrzymała i to moi znużeni nauczyciele prosili o odpoczynek. Może zresztą chodziło bardziej o odpoczynek psychiczny.

- Na dziś wystarczy, przynajmniej wiemy, jaki jest poziom twoich umiejętności.
- Trzeba było zapytać, powiedziałbym, że żaden – zażartowałam skruszona.
- Bądź gotowa codziennie z samego rana, w tym samym miejscu. Gdy opanujesz podstawy walki wręcz, dołożymy jeszcze atak jakimś przedmiotem. Masz być skuteczna, nie chodzi nam o walki fair. Nie będziemy cię uczyć sztuk walki. Będziemy cię uczyć walki oszczędnej i zwycięskiej. Rozumiesz?

- Niestety.

- Proszę?

- Chciałam powiedzieć, tak jest, rozumiem! – Wyprężyłam się jak na musztrze, na co Hiiri tylko skrzywiła się po swojemu.

Wróciliśmy do Centrum dostawczakiem. Wyszczepili mnie i Ransama w ustronnym miejscu, gdzie wspięliśmy się na dachy. Znaleźliśmy sobie zaciszny taras z opuszczonym gołębnikiem i tam usiedliśmy.

- No dobrze, Aio. Dość już tych wszystkich tajemnic. Chcę, abyś opowiedziała mi wszystko, co jeszcze zataiłaś.

Przyjrzałam mu się uważnie. To nie był rozkaz, to była prośba od przyjaciela.

Opowiedziałam zatem, jak znaleźli mnie Demir, Machdik i Jaras, jak we śnie przeniosłam się do Centrum, dość lakonicznie jak odegrałyśmy z Hiiri swoje wymyślone role i pojechałyśmy do Krainy Gier i oczywiście o wszystkich poznanych przeze mnie klanach. Ransam słuchał tego jak skamieniały. Ani drgnął, tylko wlepił we mnie te swoje dziwne ciemne oczy. Gdy skończyłam, milczał jeszcze przez jakiś czas.

– No i co? Szaleństwo prawda? – Szturchnęłam go rozbawiona.

– Kompletne. Nawet nie wiedziałem, że tylu odmieńców żyje na obrzeżach Miasta.

– Zaraz tam odmieńców. Fakt, ten cały wybuch spowodował różne, przedziwne zmiany, ale to nadal ludzie... No może pewną wątpliwość wprowadza tutaj Klan Drzew. Ale pomijając te wszystkie mutacje, deformacje, umiejętności... To są tacy ludzie jak ja, czy ty.

Ransam skrzywił się z niedowierzaniem.

– A może nawet normalniejsi pod pewnymi względami. Nie nękają ich takie choroby jak biedotę w Centrum. Nikt nie żyje w takiej nędzy jak ci tutaj. Może skromnie, ale tworzą zgrane społeczeństwo. Powinieneś ich zobaczyć.

– Kiedyś widziałem. Raz zdarzyło mi się wkraść na trybuny do Krainy Gier. Wtedy jeszcze nie sprawdzali tak bardzo, kto wchodzi. Na arenie walczyli odmieńcy. Byli dziwni, niektórzy okropnie zdeformowani. Zabijali się tam nawzajem jak dzikie bestie.

– To właśnie chce osiągnąć Księżycowa Wiedźma – odparłam stanowczo. – Elita oglądająca walki jest przekonana, że to nic złego. Że to pełni poświęcenia aktorzy. A walczący zachowują się dziwnie. Myślę, że dostają jakieś środki oszałamiające, wzmagające poziom agresji i adrenaliny. Wydaje się, jakby nie czuli bólu, a jedynie nienawiść do wszystkiego, co się rusza.

Ransam zastanowił się nad tym.

– To by się zgadzało. Wiedźma produkuje narkotyki, widzieliśmy wszelkie dowody na to.

– Właśnie. A wspólnoty klanów to często bardzo łagodni, przyjaźnie usposobieni ludzie. Szczerze mówiąc, nikt bardziej mnie nie nastraszył jak Johtaja i jej świta.

Milczeliśmy przez chwilę zapatrzeni na dachy.

– Ransam... Wiesz, przyszło mi coś do głowy. Przecież nie musicie już biedować. Kupimy sobie dom.

Ransam roześmiał się, jakbym opowiedziała żart roku. Chichotał jakiś czas, nie mogąc się opanować. Aż złapał się za brzuch, wciąż obolały po uderzeniu.

– Miej litość, Aio – powiedział wreszcie, ocierając wilgotne od śmiechu oczy. – Ty masz pojęcie, ile byś musiała mieć pieniędzy?

Wyszperałam z wewnętrznej kieszeni kurtki mój czytnik i wyświetliłam Ransamowi opis mojego konta. Chłopak wziął dokument i zastygł na moment w bezruchu, jedynie otwierając bezwiednie usta... Później powoli podniósł oczy na mnie.

– I co, wystarczy nam? – zapytałam zatroskana.

– To... aż nadto – wydukał. Zupełnie go zatkało. – Słuchaj, masz odsetki naliczane od ponad osiemdziesięciu lat. To oznacza...?

– Że korzystam z konta uruchomionego tuż po eksplozji?

– Przed – poprawił Ransam. – Data jest minus jeden. Czyli rok przed wybuchem.

– Nieźle – skwitowałam, sama będąc pod wrażeniem. – Ciekawe więc, kto korzystał jeszcze z tego konta do tej pory. Na wydruku nic nie ma. Może nikt?

– Niemożliwe – zaproponował Ransam. – Przez taki czas ktoś mający dostęp do twojego konta i ten, kto później połączył kartę identyfikacyjną z tym kontem, musiał z niego korzystać... No wiesz, kto by nie chciał?

– Może zginął? – wysunęłam przypuszczenie.

– Może. Może to spadek? Zostałaś automatycznie połączona z kontem któregoś ze swoich rodziców bądź opiekunów.

– Chyba dziadków. Zważywszy na datę.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas, snując różne przypuszczenia. Z dachów zesliśmy po południu, ponawiając manewr z zakupami w piekarni. Tym razem byłam w trzech różnych miejscach, aby tu i owdzie kupić po trosze chleba i nie tłumaczyć się znów przyjęciem. Torby z pieczywem odbierali gońcy znikający z widoku na kocim szlaku – jak nazywałam w myślach drogi po dachach. Mimo wczesnej pory pożegnałam się z Ransamem i poszłam do swego kąta, aby jeszcze tego samego dnia przenieść się do Klanu Psa.

Zanim zaczęłam szukać Machdika, postanowiłam kogoś odwiedzić. Zapukałam do domku babki Szechny. Otworzyła mi trochę zaskoczona, co starała się ukryć zrzędeniem.

– No, czego tu? Jestem zajęta.

– Babciu Szechno, chciałam spytać o kilka rzeczy.

– Nie mam czasu na pogawędki. Trenuję młodą. Nie przeszkadzaj.

– Proszę. Myślę, że możesz rzucić nieco światła na moją sprawę. Powiedz chociaż, kiedy znajdziesz dla mnie czas.

Babka zazgrzytała zębami jak koń.

– Niech ci będzie. Skoro masz mnie męczyć i nachodzić, równie dobrze możemy mieć to już za sobą.

Wpuściła mnie do środka. W chatce było pusto. Młoda szeptunka prawdopodobnie tak jak reszta pracowała w polu, a babka chciała mnie po prostu zbyć.

– Herbaty? – zachrypiała gościnnie. – I co tam chcesz wiedzieć? – zapytała nieco uprzejmie, gdy zasiadłyśmy przy stole z kubkami gorącego naparu.

– Babciu Szecho, na naszym pierwszym spotkaniu wspomnieliście, że w powietrzu nadal krąży pył. Skąd to wiecie?

– Tak zapisano w Księdze Wspomnień – odparła wymijająco.

– Co to za księga, czy mogę ją zobaczyć?

Babka zmroziła mnie spojrzeniem swoich bladych oczu, ale gdy sądziłam, że wypędzi mnie z chatki, wstała i przyniosła z sąsiedniej izby niewielką szkatułkę. Otworzywszy ją, wyjęła ze środka Plik zszytych ze sobą kartek. Prawdziwych, nieco zżółkłych kartek. Nie sądziłam, że gdzieś w Mieście zobaczę jeszcze papier. Jak dotąd wszelkie teksty widziałam jedynie w formie elektronicznej jak na kupionym przeze mnie czytniku holo. Chociaż... przypomniało mi się – w Centrum w starej elektrowni miałam w ręku gazety. Jeszcze jedno świadectwo jak dawno je stworzono. Musiały pochodzić jeszcze sprzed eksplozji. Sięgnęłam po kartki, ostrożnie kładąc na stole i otwierając na pierwszej stronie.

Drodzy mieszkańcy Miasta. Jesteśmy winni tragedii, jaka się wydarzyła. Ale nasze intencje niech będą rozumiane jako czyste. Wierzę, że przetrwacie trudne chwile i odnajdziecie swoją drogę w tym nowym świecie. Pył wciąż krąży w powietrzu. To prawda, jaką powinniście znać. Ale nie obawiajcie się go, gdyż wciąż stanowi on źródło, z którego czerpie Miasto. Jesteśmy skazani na pył i jest on naszym ratunkiem. A także wybrany przeze mnie prototyp. Ufam, że zjawi się w odpowiedniej chwili. Moje wyjątkowe dzieło powinno pomóc. Niech ta książeczka będzie dla was wskazówką. To cała zebrana przeze mnie wiedza, którą przelewam na bezpieczny papier. Reszta przepadła.

A.T. Ring

W dalszej części całość wypełniały rzędy cyfr i wyliczeń. Niestety zupełnie dla mnie niejasnych.

– To wszystko?

– Tak. Gdy klątwa zawisła nad nami, przybył prorok, który przekazał nam te słowa. Tak opowiadali przed laty ci, którzy go spotkali.

Przeczytałam krótki wstęp jeszcze dwa razy.

– Ring – powtórzyłam na głos. – Babciu Szechno, też mam takie nazwisko. Tak było napisane na wyciągu z banku. Myślę, że prorok mógł być moim dziadkiem. I dam głowę, że gdzieś jeszcze widziałam to nazwisko. Wiesz coś o tym... proroku?

– Nie, dziecko. Tylko to, co zostało nam przekazane. Nikt żyjący nie pamięta proroka.

– A czym jest pył? Co to znaczy, że jest źródłem, z którego czerpie Miasto?

– Nieodgadniona jest natura pyłu. Tak jak nie znamy w pełni sekretów Słońca czy Ziemi. Ale tym, co o nim wiemy, jest przede wszystkim to, że stanowi energię. Ludzie wykorzystywali tę cechę pyłu, nie znając go bliżej. I jest tak nadal.

– Jak to? Czy to nie Księżycowa Wiedźma rozprowadza energię? Światło, urządzenia, ciepła woda...

Babka Szechna zamilkła, wpatrując we mnie znacząco.

– Zatem jej moc to bujda?

– Mocą Księżycowej Wiedźmy jest to, że ludzie wierzą. Nic innego nie ma znaczenia.

Tym razem to ja umilkłam. Przypuszczałam, że historyjki o potędze Wiedźmy Eco są znacznie przesadzone, ale mimo woli uległam aurze i mitowi jaki roztaczała. Do tego też przekonywali mnie Ransam i inni w Centrum. Zatem Księżycowa Wiedźma musiała ponownie uruchomić jakąś elektrownię. Zapewne też ma za sobą sprawnych fizyków i programistów...

Moje rozmyślania nieoczekiwanie przerwała szeptunka.

– Ale to nie tylko energia. Pył łączy nas wszystkich. Otacza nas i jeśli będziemy umieli otworzyć się na niego, osiągniemy to, czego pragnął prorok.

– Czyli?

– Pokój.

– Czy Machdik ma przynieść Miastu pokój?

– Wybraniec pojawi się, gdy będziemy go potrzebować. Tak rzecze Księga Wspomnień.

Nie byłam pewna, jakim cudem Klan Psa zdołał ten krótki tekst zinterpretować właśnie w taki sposób. Moje pytania zastąpił rząd kolejnych, ale wiedziałam, że na razie nie znajdę na nie odpowiedzi.

– Jeszcze jedno pytanie. Babko, czy Wiedźma porywała członków Klanu Psa, aby zabrać ich do Krainy Gier? Czy chciała, aby walczyli na arenie?

Oczy babki rozszerzyły się w najszczerzym zdumieniu.

– Nie mam pojęcia, skąd możesz wiedzieć takie rzeczy... Kiedyś, raz zdarzyło się, że przybyli do nas milicjanci i chcieli pojmać kilka osób. Powód był oczywiście wymyślony. Napadnięci zostali sprowokowani. Chcieli się bronić, ale walka przeniosła się poza obręb bezpiecznej strefy. Jeden z mężczyzn został przetrzymany na tyle długo, że dopadły go demony i pożarły jego duszę. Nie można było go już uratować. Widząc to, milicjanci uznali, że nie ma to sensu i dali nam spokój. Od tamtej pory nikt nas nie niepokoi. Ale dokąd chcieli zabrać naszych ani co z nimi zrobić, nie wiem.

Nic mi więcej nie przychodziło do głowy. I czułam, że niewiele z tego wszystkiego rozumiem. Wciąż brakowało mi jakiegoś istotnego elementu. Westchnęłam ciężko.

– Dzięki, babko. Może to przybliży mnie do rozwikłania całej tej łamigłówki.

– Bądź uważna i strzeż się. Prawda często okazuje się trudna. Niekiedy może nie warto wiedzieć wszystkiego.

Zabrzmiało to bardzo złowroźnie, mimo iż babka wypowiadała się w tonie dobrej rady. Podziękowałam raz jeszcze i wyszłam w popołudniowe słońce.

Odnalazłam Machdika w polu. Po drodze przywitałam się z Jarasem i kiwnęłam grzecznie na powitanie innym pracującym.

– I co, wyciągnęłaś z karceru tego pobitego chłopaka? – zapytał już na wstępie Machdik.

– Nie. Myślę, że to trochę potrwa. Najpierw pewnie muszą go dla mnie wyleczyć.

– Jest tak źle?

– Wszystko ci opowiem. Sporo się dziś wydarzyło.

– Wieczorem. Jeszcze nie skończyliśmy z pracą.

I ja zatem przyłożyłam się do pług, podczas gdy pozostali usuwali kamienie, korzenie i równali ziemię. Wszystko to za pomocą prostych maszyn napędzanych siłą własnych mięśni. Gdyby Klan Psa miał dostęp do energii, jaką dysponowało Centrum, pracowałoby im się znacznie łatwiej. Choć uznałam również, że wspólna praca jest też przyjemna. Robiąc coś ze wszystkimi, miałam poczucie przynależności.

A gdy już ukazały się prześwitujące między chmurami gwiazdy, zasiedliśmy wspólnie z Machdikiem i Jarasem w zaciszu domu Majtrejów. Opowiadałam chłopcom, jak odwiedziłam Klan Nocnych Wędrowców, jak przystąpiłam do ruchu oporu, jak uczyłam się strzelać oraz jak postanowiliśmy kupić dom. O rozmowie z babką Szechną nie wspomniałam.

– Będziesz teraz na rozkazy ruchu oporu? – rzucił Jaras. Jego ton wyrażał niechęć.

– Z jednej strony też mi trochę nie w smak. Ale dzięki nim może uda mi się dowiedzieć więcej. Może o moim pochodzeniu, może o samej Wiedźmie Eco? Będąc w ich szeregach, paradoksalnie mogę mieć więcej wolności. Dostałam zielone światło na moją zabawę w

członkinię elity. Chętnie nauczę się walki wręcz, to może być przydatne – wyliczałam, wyłamując palce. – Ruch oporu działa na rzecz najbiedniejszej części społeczeństwa, to też dobrze. Może uda mi się im trochę pomóc. Przypuszczam, że gdybym nie przystała do nich, mogliby sabotować moje działania.

– Po co? – Wyraził powątpiewanie Machdik.

– Baliby się, że nie mogą mnie kontrolować.

– Teraz mogą. – Jaras był nieprzejednany.

– Teraz sądzą, że mogą, więc będą mniej czujni – odparłam zadowolona, uważając, że jestem bardzo sprytna. Chłopcy jednak po krótkiej dyskusji uznali to za wątpliwe.

– Będą ci patrzeć na ręce i gdy uznają, że przeszkadzasz albo zbyt rzucasz się w oczy...

– Machdik przejechał palcem po szyi.

– Ależ właśnie o to chodzi, bym rzucała się w oczy...

Dyskutowaliśmy jeszcze czas jakiś, aż zrobiło się naprawdę późno. Pożegnałam się i obiecałam obudzić się, jak tylko będę mogła. Miałam do zrealizowania spore plany.

Obudziwszy się w Centrum, zaangażowałam Ransama i Hiiri do pomocy w kwestii kupna domu. Chciałam, aby Hiiri była obecna jako część mojej elitarniej wyprawki, a wraz z Ransamem także jako doradczyni i przewodniczka. Pomysł zakupu przyjęła bez większego entuzjazmu, ale dała się w to wciągnąć. Musieliśmy znaleźć także jakiegoś dyskretnego pośrednika.

Chciałam, aby dom znajdował się w pobliżu mieszkania pani Poliszenko. Jednakże to była chętnie zamieszkiwana okolica, budynki sprawiały wrażenie zadbanej i odremontowanych. Nie znaleźliśmy nic na sprzedaż.

Joyczyłam niezadowolona, że mój plan już wykazał pierwsze luki.

– Może niech sobie wybuduje dom od podstaw? – rzuciła kwaśno Hiiri. Ransam zignorował sarkazm.

– Nie mamy tyle czasu. Budowa domu nawet przy takim budżecie...

– Zaraz, to jest myśl! Hiiri, jesteś genialna! – Dziewczyna spojrzała na mnie zaniepokojona. Chyba już poznała mnie na tyle, by zwęszyć jakiś dziwny pomysł. – Mam się wkręcić w elitę, czyli zupełnie zasadne będzie zaafiszować się majątkiem prawda?

– W zasadzie...

– Zatem budowanie domu jest najlepszą ku temu okazją. Wynajmę coś „tymczasowego”, co można tylko odrobinę podremontować, a wszem wobec będę znana z pokaźnej fortuny, prawda?

Popatrzyli po sobie zaniepokojeni. To musiało brzmieć zbyt abstrakcyjnie. Ale ja zapaliłam się niesiona wizją, jaka wyłaniała mi się w wyobraźni.

– Świetnie! Zatrudnię do budowy znacznie więcej ludzi, niż będzie to konieczne, i będę mogła im płacić! Może nawet zrobię niewielką stołówkę, dla pracowników. Może matka Karana... To będzie samonapędzająca się machina... To może być spory teren... Będę chciała, aby był posprzątany i będzie tam park i małe oczko wodne... Może sam budynek zaprojektować, aby... większe sale, mały dworek, w końcu pieniędzy nie szkoda... – Nie kończyłam żadnego zdania, wypowiadając na głos połowę z każdej myśli.

– Aio, chyba trochę cię ponosi... – Ransam próbował ostudzić nieco mój zapal, ja jednak zupełnie na serio myślałam o takim przedsięwzięciu. Uspokoili mnie na tyle, by najpierw skierować moje myśli na punkt pierwszy, czyli zakup zwykłego mieszkania.

Zajęliśmy się tym natychmiast, ale na planowanie zeszły i tak dwa dni. Obejrzeliliśmy różne miejsca, a ja grymasiałam przy tym i stawiałam wszelakie wymagania. Ale też miałam swoje powody. Centrum zbudowano koncentrycznie. W samym środku była dzielnica jak można by rzec: biznesowo-administracyjna. Tam znajdował się Zamek Księżycowej Wiedźmy i inne podobne architektonicznie wieżowce, aż nadto wysokie, które, mimo iż stanowiły pozostałość poprzedniej epoki, nadal robiły imponujące i nowoczesne wrażenie. Tam również można było znaleźć szkoły dla elit, szpitale, banki. Stamtąd, jak się domyślałam, rozsyłano i kontrolowano całą energię Miasta. W pobliżu mieściły się różne firmy zaopatrzone w najnowocześniejsze technologie. Wielki kontrast dla wiejskich realiów obszarów zamieszkałych przez klany. Były też jak sądziłam jednymi z niewielu budowli, na które nie szczędzono pieniędzy, by je utrzymać w jak najlepszym stanie. Ten ultranowoczesny środek okalał pas znacznie niższych parterowych bądź góra dwupiętrowych budynków. Magazynów, hangarów, starych fabryk. W tej bliskości znajdowała się także „moja” nieczynna elektrownia. Część z tych lokacji nadal pełniła swoją funkcję, ale wiele zrujnowanych pozostawiono, by niszczały.

Irytowałam się, widząc to marnotrawstwo i zaniedbanie. Dalej zabudowania wyglądały jak rosnące w skupiskach rośliny. Stojące mur w mur serpentyny kamienic, po których tak chętnie przechadzał się Ransam. Wiele z tych domów było opuszczonych. W części mieszkała biedota bądź najubożsi obywatele. W innym miejscu wyrastały bardzo zadbane niewielkie skupiska sklepów i kwitł handel. A właściciele tych przybytków najczęściej przeznaczali wyższe piętra na mieszkania. Były także zupełnie wykwintne miejsca, jak jedna z arterii połączona ze środkową częścią, gdzie przechadzali się ci najbogatsi. Tam było gwarno, świetnie prosperowały restauracje, kawiarenki, galerie i wszelkie dobra wyższych sfer Miasta. Milicjanci pozdrawiali kulturalnie spacerowiczów i nikt z najuboższych nawet nie śmiał się tu

pokazać. Ale wystarczyło przejść dwie ulice dalej i *voilà!* Siedlisko łachmaniarzy. Stare centra handlowe, nieczynne szkoły, walące się domostwa, które nie interesowały władz Miasta przez ostatnie osiemdziesiąt lat. Zatem albo puste mieszkanie było nadto zrujnowane, albo zupełnie nieodpowiednie dla bogatej Sydonii.

Ostatni krąg stanowiły przepiękne luksusowe osiedla, w których mieszkaly elity. Tam, objeżdżając Centrum dookoła, zatrzymywała się na poszczególnych stacjach kolejka do Krainy Gier. Można było jej używać także do przemieszczania się między odległymi znajomymi z wyższych sfer. Nie było potrzeby przechodzić przez niebezpieczne dzielnice. W każdym razie na takim osiedlu można byłoby się wybudować od zera, bo do niczego gotowego wprowadzić się nie sposób. Wszystko zamieszkane.

Tych obserwacji dokonałam samodzielnie, organoleptycznie, części się domyśliłam, a resztę opowiedzieli mi Hiiri i Ransam. Obydwoje, jak się okazało, należeli do rodzin, które radziły sobie, choć słabo, w handlu. Byli o poziom wyżej od tych najbiedniejszych. Jednak choroby trawiące ich społeczność zmusiły wszystkich do zmiany sposobu funkcjonowania. Ransam radził sobie różnie i najczęściej był na bakier z prawem. Ale za to ruch oporu, tu ciekawostka, bazował na niewielkim majątku Johtai. Jak dowiedziałam się (w tajemnicy), rodzina Johtai należała z początku do elit. Jej dziadkowie byli stosunkowo bogaci. Jednak gdy matka, mimo iż początkowo nic na to nie wskazywało, zachorowała na serce i zmarła, ojciec rozpił się i niemal roztrwonil resztę pieniędzy. Zadłużył się, zraził do siebie ludzi i w końcu się zastrzelił. To był skandal wśród elit, a młoda Johtaja, wówczas nastolatka, sprzedała wszystko, co jej pozostało i odnalazła się w szeregach ruchu oporu. Oddana w całości sprawie przeznaczyła każdy grosz, całe serce i całą swoją energię, aby zwalczyć Księżycową Wiedźmę, której mściwie przypisywała upadek swej rodziny. W dużym stopniu wykształcona i inteligentna pięła się w prostej hierarchii ugrupowania, aż mianowano ją przywódczynią.

Zrekonstruowałam tę historię ze strzępków informacji, jakie wyciągałam z Hiiri. Z równym trudem jak oddzielanie kociej sierści od swetra. Trochę pomagał mi domyślny Ransam, który słyszał plotki i pogłoski. Dzięki temu miałam trochę wyraźniejszy obraz „szefowej” i lepiej rozumiałam jej motywację.

Ale wracając do wcześniejszych obserwacji Miasta, konkluzja była taka: Księżycowa Wiedźma dokładała wszelkich starań, aby elity miały jak najlepiej. Im należały się wszelkie przywileje i wygody. A biedota miała wymrzeć. W razie czego można było jej w tym pomóc. Słabe i chore organizmy stanowiły balast dla idealnego Miasta-getta Księżycowej Wiedźmy. Potwierdzały to słowa pozostałych. Zabawne. Wszyscy mieli rację. Dla elit Księżycowa Wiedźma była aniołem stróżem. Dobrym zarządcą. Ale dla najbiedniejszych była wrogiem. I

moja niechęć wobec Wiedźmy rosła. Zwłaszcza że niewiele trzeba, aby polepszyć los najuboższych. To znaczy owszem z pewnością wiele pracy, ale chyba nie środków? A już na pewno można by zrezygnować ze zbytków, aby wyrównać nieco dysproporcję.

Ale nie. Pewne wydarzenie ugruntowało mnie w przekonaniu, że Księżycowa Wiedźma Eco jest zła do szpiku kości.

Podczas jednej z wędrówek po dachach uwagę moją i Ransama przykuł słup dymu. Zaniepokojeni pobiegliśmy, aby sprawdzić, co jest jego źródłem. A tam znów ona. Tak samo w różach i falbankach, ze swoją dziwną świtą „magików” i w obstawie milicji. W ciągu osypujących się kamienic Ransam rozpoznał miejsce, gdzie gnieździła się grupa łachmaniarzy. Z okien ulatywał dym. Wokół kręcili się podwładni Eco. Ona stała jak kolorowa papuga, obserwując ich bez ruchu. Piesek kręcił się wokół niej na smyczy i niekiedy szczekał przestraszony zamieszaniem. Przykleiliśmy na pobliskim dachu i śledziliśmy ich poczynania z dystansu. Było słychać ujadanie terierka, ale rozmów już nie. Wtem ktoś zameldował Wiedźmie i wszyscy rozpięchli się na znaczną odległość. Księżycowa Wiedźma rozłożyła ramiona. W tym momencie rozległ się huk. Chwila ciszy i ze środka kamienic dało się usłyszeć wrzaski. W środku byli ludzie. Próbowano ich wykurzyć dymem, a gdy to się nie udało, sięgnięto do silniejszych argumentów. Pierwszą z kamienic zaczął trawić ogień. Wybiegający z niej ludzie trafiali wprost w ręce milicji. Kilku upartych, a może zwyczajnie zaklinowanych bądź osłabionych dymem, pozostało wewnątrz. Znać to było po dolatujących ze środka wrzaskach. Nikt nie kwapił się, aby ich stamtąd wyciągać. Osłoniłam uszy, ze zgrozą wlepiwszy oczy w Księżycową Wiedźmę. Eco zaś spokojnie patrzyła, jak ogień trawi dach. Jej piesek okazał więcej emocji, bo drżał ze strachu, skuliwszy się u jej stóp. Poczułam, jak Ransam zaciska dłoń na materiale mojej kurtki. Zerknęłam na niego, widząc błyszczące od łez policzki. Obserwowaliśmy to zmartwiali i niezdolni do jakiegokolwiek działania. Trwało to chwilę, ale może i wieczność. W końcu Wiedźma odwróciła się znudzona i odeszła, a za nią część jej kolorowej świty „magików”.

Nawet nie próbowaliśmy ratować ludzi z płonącego budynku, żar prędko stawał się zbyt duży. W dodatku na dole wciąż kręcili się milicjanci. Dopiero po jakimś czasie zaczęto gasić budynek. Wtoczono urządzenie przypominające młódkę, zakotwiczone je, aby stało stabilnie, i z podpiętego doń ogromnego węża wystrzelono strumień dziwnej, suchej piany. Ogień gasł w oczach. Nie zajął się żaden z pobliskich budynków. Ale potraktowane ogniem kamienice już osypywały się jak domek z piasku pod wpływem nadmorskiej fali.

– Dlaczego... to... zrobiła? Przecież... – mówiłam z trudem, gdy umykaliśmy po dachach. Ransam w końcu przystanął, rozglądając się nerwowo.

– To jedna z jej metod łapanek. Bardzo skuteczna. I to właśnie robi z budynkami, które już do niczego w zasadzie się nie nadają. Pozwala im niszczyć. Pozwala mieszkać w nich tym, którzy tylko pragną mieć dach nad głową. Ale oni wiedzą. Wiedzą i tylko czekają. Tego samego boimy się w „szkole”. Że kiedyś przyjdą i zjawi się Eco i swoją mocą podpali nas. A my jak szczury w pułapce...

Nie dokończył. Głos go zawiódł.

Całe to wydarzenie przelało czarę goryczy i kiedy Johtaja wezwała mnie i przedstawiła swój plan, nie wahałam się długo.

– Aio. Oszacowaliśmy w której części Zamku przebywa Księżycowa Wiedźma. Trudno nam też dłużej zwlekać. Jej posunięcia robią się coraz bardziej radykalne. Nasilają się łapanek i milicja coraz częściej patroluje dzielnice dotąd pozostawione bez nadzoru. Czas ucieka, dlatego nie możemy sobie pozwolić na pomyłki, wątpliwości... – Byliśmy w podziemiach ruchu oporu. Towarzyszyli nam tym razem tylko łysy mężczyzna i ciemnoskóra Zyanya. – Czy nadal chcesz nam pomóc? Czy zadeklarujesz poświęcenie dla naszej sprawy?

– Tak.

– Mówisz bez wahania, ale musisz mieć świadomość, że gdy przedstawimy ci plan, nie będzie już odwrotu.

– Zgadza się. Wiem, czego ode mnie chcecie. To oczywiste.

– Czyżby? – Łysy mężczyzna zafundował mi niepokojące spojrzenie swoich bardzo jasnych oczu osadzonych w obwisłej z jednej strony twarzy.

– Mam zabić Księżycową Wiedźmę. Czy tak? – odparłam śmiało. Odpowiedziały mi pomruki pełne aprobaty.

– Sądzimy, że byłabyś odpowiednią osobą. To zależy także od statusu, jaki uzyskasz wśród elit. Otóż jako elitarna obywatelka masz prawo do otworzenia petycji. Jeśli przejdzie przez uchwałę doradców Wiedźmy, dostaniesz prawo posłuchania.

– A dokładniej...?

– Jeśli jesteś obywatelką, a zwłaszcza gdy należysz do bogatej elity, masz prawo czegoś zażądać, poprosić o coś. Złożyć wniosek. Może być to cokolwiek. Od zainstalowania telefonów przy przystankach pociągu, po odnowienie klombów w parku... Co tylko sobie zażyczysz. Oczywiście nie musi to zostać uznane. Wnioski są gromadzone, przeglądane i w ciągu dwu tygodni, miesiąca najwyżej albo odrzucane, albo akceptowane. No, nie do końca akceptowane. Najpierw zapraszają cię na rozmowę. Jeśli przebiegnie pomyślnie, sprawa jest zatwierdzana i wchodzi w życie.

– Z tym że – podjęła Zyanya – nam chodzi nie o samo zatwierdzenie wniosku, tylko aby napisać dostatecznie dobry, byś trafiła na rozmowę. Wtedy wpuszczają cię na wyższe piętro Zamku Wiedźmy.

– Zatem mam pomysł. – Uśmiechnęłam się jak kot.

W ten sposób moja wizja budowy zyskała szanse powodzenia. Pozwolenie na dom, prośba o podłączenie do miejskich źródeł energii oraz absurdałna koncepcja założenia w jednym ze skrzydeł budynku stołówki. Początkowo trio z ruchu oporu było przeciwne temu ostatniemu pomysłowi w obawie przed niepowodzeniem całej akcji. Ja jednak przekonałam ich, że to tylko taka mała prowokacja. Filantropka z elit? Skąd taki pomysł? Z pewnością urzędnicy Wiedźmy będą chcieli wiedzieć. I tak dostanę się do środka.

Od tego momentu zaczął się dla mnie ogromnie pracowity okres.

Udało się nam w końcu zdobyć mieszkanie w jednej ze skrajnych kamienic. Niezbyt daleko od „porządných” dzielnic. Kupiłam dwa piętra i kazałam przerobić je tak, by się ze sobą łączyły. Remont zarządzony ekspresowo, na który wydawałam ogromne sumy, potrwał półtora tygodnia. Do tej pory ukrywałam się jeszcze w „szkole”. Zapewniłam także dostawę jedzenia. Jedno z mniejszych przedsiębiorstw opłacałam po królewsku, by odbierali dostawy z kilku mniejszych sklepów, w tym apteki, i nie zadawali pytań ani na co to, ani dlaczego, a zwłaszcza o osoby przychodzące po towar.

Gdy piętra zostały doprowadzone do stanu używalności, górne przeznaczyłam na schronienie, dla najbardziej schorowanych. Dzięki temu mieli szansę dojść do siebie. Wstawiłam tam normalne łóżka i przystosowałam w miarę możliwości do ich potrzeb. Mieli niezależną kuchnię, gdzie wreszcie można było coś ugotować, oraz łazienkę. Zajmowała się nimi przede wszystkim Louise, która dostała klucze oraz odpowiedni ubiór, aby nikt się nie przyczepił, że kręci się wokół mojego mieszkania. Dzięki temu łatwo było uznać ją za dziewczynę od sprzątania.

Chciałam również zaproponować miejsce dla Ransama czy Ovego. Ale odmówili. Łatwiej im było działać z poziomu dotychczasowej kryjówki. Jedyne, co osiągnęłam, to uzupełnienie zasobów „szkoły”. Zorganizowałam materace i różne inne udogodnienia.

Dolne piętro przyprawiłam o najbardziej odrażający wystrój, na jaki było mnie stać. To znaczy, chciałam powiedzieć nowoczesny i modny. Miał on być pokazowy i gościnny, gdyby komukolwiek z moich przyszłych elitarnych znajomych przyszło do głowy mnie odwiedzić.

Hiiri została zmuszona zamieszkać wraz ze mną. Gdy już raz pokazałam się w jej towarzystwie jako służącej, trudno byłoby ją zniecka odesłać. Może i dałoby się jakoś temu

zaradzić, ale miałam sadystyczną uciechę, mogąc popastwić się nad nią w rewanżu. Nie chodziło bynajmniej o to, jak ją traktowałam, tylko sam fakt, iż musiała grać znienawidzoną bogaczkę... nawet jeśli nie bezpośrednio, to jako jej element składowy.

Wkrótce więc zajęłam się biurokracją związaną z pozwoleniami na budowę i projektem domu. Został on dokładnie przedyskutowany i wstępnie uzgodniony z Johtają. Chciała, aby dom był także funkcjonalny, to jest, aby mogły odbywać się tam spotkania ruchu oporu. Rzecz w tym, że projekt stworzony przez architekta przechodził również przez biuro najmiłościwiej panującej zarządczyni Eco Moonlight. Nawet jeśli Księżycowa Wiedźma nie przeglądała osobiście tych papierzysk, robił to dla niej zespół jej podwładnych. A nasze plany miały trafić do bazy danych. Nie mogliśmy pozwolić sobie na pomyłkę.

Wkrótce odwiedziłam państwa Valentinich. Były wieści o Karanie. Notka przybyła po tygodniu. Chłopak był do odebrania w jednym ze szpitali miejskich. Trochę jak przesyłka. Tak czy siak, musiałam starannie ukrywać prawdziwą radość i ulgę. Oznajmiłam Valentinim, że zamieszkałam w pobliżu.

– Kochana, to cudownie, będziesz miała do nas blisko? – spytała pani Caelia przy herbatce.

– Bliziutko. To na razie tylko takie mieszkanko tymczasowe. Marzy mi się dom, ale zanim powstanie, trochę to potrwa. Sami rozumiecie. – Rozłożyłam ręce w geście bezradności.

– Proszę! Więc chcesz zbudować dom, Sydonio? Czy to jakaś bliska perspektywa? – dopytywał się szczerze zaciekawiony pan Frank.

– Bardzo. Mam nadzieję – potwierdziłam. – Jestem w trakcie walki z biurokracją. Muszę uporać się z masą papierzysk.

– Ojej, a więc to serio bliski projekt. – Pan Frank zacmokał z podziwem. – Sydonio, bardzo się cieszymy. Oby wszystko ci się udało.

Ciepło tych ludzi nie mogło być udawane. Spędzałam z nimi czas z równą przyjemnością, co z ekipą ze „szkoły” czy w Klanie Psa. Choć tego czasu nie było zbyt wiele.

Każdego ranka trenowałam strzelanie oraz walkę wręcz, zaś Klan Psa odwiedzałam popołudniami. Demirowi nie udało się nic szczególnego wyciągnąć od starszyny, ale w końcu uznaliśmy, że musimy podzielić się z nimi i resztą wioski pomysłem rozszerzenia handlu i kontaktów z innymi klanami. Rozmowy zaczęliśmy po tygodniu od mojej opowieści. Starsi początkowo byli niezbyt przychylni. Zwłaszcza Babka Szechna i pani Oriana. Reszta mocno powątpiewała w słuszność i zasadność jakiegokolwiek działania. Zaczęłam więc z grubej rury i zaczęłam urabiać panią Orianę. Chodziłam za nią trzy dni.

– Pani Oriano. Wiem, że to wydaje się niewiarygodne, ale trzeba było widzieć te rzeczy, które przygotowywali Nocni Wędrowcy albo słyszeć Śpiewającą Rodzinę...

– Dziecko, to nie ma z nami nic wspólnego. To, że w jakimś innym rejonie gwiazdy z nieba spadają, nie świadczy, że mamy zaraz nadstawiać karku i...

– Ależ pani Oriano, nikt nie mówi o nadstawianiu karku, wręcz przeciwnie. Zależy mi na bezpieczeństwie klanu. Poza tym Klan Psa podjął już współpracę z Klanem Drzew. I jakież są tego zalety! Proszę, powiedzieć, czy poradzilibyście sobie na tyle dobrze bez wzajemnego wsparcia...

– To zupełnie... – próbowała oponować pani Oriana, ale nie chciałam jej dać dojść do słowa. Wiedziałam, że przemawiają przez nią strach oraz gorycz. Była zamknięta. Nie miała możliwości wydostania się z wioski nawet na tyle, by ujrzeć Klan Drzew.

– Proszę to przemyśleć! Wiem, że nie możecie opuszczać tego miejsca. Ale co, gdy inni przybędą tutaj? Uważam, że Klan Psa jest wyjątkowy. Moglibyście zostać węzłem handlowym. To bardzo cenne! Wszyscy by się tu zjawili... Co prawda Nocni Wędrowcy musieliby mieć tu jakiś dobry schron przed słońcem... No i jakiś po drodze. Ale to wszystko jest do zrobienia.

– Mrzonki, dziewczyno. Musisz być trochę bardziej realistką. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że wszyscy zechcą tu przyjeżdżać. Zwłaszcza że jak dotąd nikt nie wyszedł z taką propozycją.

– Miasto jest wielkie, pani Oriano. Wciąż się gubię. Ale należy spróbować. Odwiedziłam już w końcu wiele klanów, większość ma ciekawe rzeczy do zaoferowania, a jestem pewna, że Klan Psa...

– Klan Psa ma warzywa hodowane na naszej ziemi. Wystarcza ledwie dla nas i na wymianę z Klanem Drzew...

– Nie chodzi tylko o warzywa. Macie też plecionki, hafty. Każdy klan się w czymś specjalizuje. Myślę, że naprawdę wiele można by zyskać dzięki wymianie myśli i wiedzy...

I tak na okrągło. Chodziłam za nią, wymyślając co rusz nowe argumenty albo jak zdarta płyta powtarzając stare. W końcu poddała się, ulegając bardziej niż sile argumentów, pragnieniu spokoju.

Reszta zmiękła po tym jak воск w słońcu.

W tym czasie, tak jak powiedziałam pani Orianie, odwiedzałam kolejne klany. Moją kryjówkę w Klanie Nocnych Wędrowców zalało, więc musiałam się stamtąd wynieść. W sąsiedztwie odkryłam wtedy kolejny klan. Byli to trujący ludzie unikający kontaktu z innymi ze względu na ilość trucizn, jakie produkowały ich ciała. Im samym nie szkodziły, ale zwykły uścisk dłoni z człowiekiem spoza klanu mógł doprowadzić do zgonu. Z tego samego powodu nie mogli hodować żadnych zwierząt ani nie szukali towarzystwa innych ludzi.

Wysnułam przypuszczenie, że może ich toksyny mogłyby zostać przefiltrowane przez korzenie rosnących Klanu Drzew albo może w jakiś sposób zneutralizowane. Można też sprawdzić, czy te trucizny nie nadadzą się do wykorzystania jako leki.

Innym klanem, jaki odnalazłam, był klan z wioski Wschodni Węzeł. Żyli tam ludzie, których ciała pokrywały liczne, twarde guzy. Już od najmłodszych lat narośla rozwarstwiały się pod ich skórą, rogowaciejąc i nadając jej niezwykłą twardość, niczym naturalna zbroja. W duchu myślałam o nich jako o ludziach Nosorożcach. Byli ciekawscy jak dzieci, weseli i głośni. Bawił ich mój wygląd, który uznali za delikatny. Sami chętnie uprawiali zapasy i walki na kije. Od razów, których sobie nie szczędzili, inni z pewnością skończyliby połamani, a w najlepszym wypadku posiniaczeni.

Dzieci ze Wschodniego Węzła były nieustraszone i wysportowane. Nikt się nie przejmował, że dziecko coś sobie zrobi, upadnie bądź się uderzy. Mimo iż ich młoda skóra nie była jeszcze utwardzona, chętnie dokazywały, urządzając podobne walki jak dorośli.

Dowiedziałam się, że Nosorożcowie byli chętnie wyławiani przez Księżycową Wiedźmę i wrzucani do Krainy Gier. Ich wola walki była szczególnie lubiana przez widzów, a toporny wygląd potwierdzał wszelkie opinie o „odmieńcach”. Niemniej to nie osłabiło ducha walki nosorożcowych ludzi. Wręcz przeciwnie.

Okazało się, że arena walk Wschodniego Węzła była słynna. Także dlatego, że Węzeł jakoby zrzeszał klany nie czujące potrzeby izolacji. Wędrujący z innych klanów dołączali do społeczności. Tak też poznałam futrzastych ocaleńców z terenu, na którym zbudowano Krainę Gier, czy ludzi o gumowych kościach. Spędziwszy sporo czasu wśród przybyłych do Wschodniego Węzła, dostałam fantastyczny plan Miasta, który mogłam uzupełnić własnymi notatkami. Feler był taki, że wszelkie zdobycze musiałam zapamiętać, gdyż nie dało się ich przenieść we śnie. Któregoś razu spędziłam całe popołudnie na sporządzaniu rysunków, dzieląc czas pomiędzy Klanem Psa, a Wschodnim Węzłem, zasypiając średnio co pół minuty. Później od tego skakania kręciło mi się przez resztę dnia w głowie.

Ostatnim z poznanych klanów był Klan Wiecznego Ognia, umiejscowiony dość niedaleko Wschodniego Węzła. Nie od razu zorientowałam się, że klanem w dużej mierze zarządzają dzieci. W zasadzie młodzież. Jovan, Davor, Sanja i Cvetka mieli kolejno lat trzynaście, piętnaście, a obie dziewczynki po dwanaście. Dwudziestolatkowie sprawowali nad nimi pewną opiekę, ale to dzieci podejmowały decyzje. Trzydziestolatkowie byli najstarsi, późniejszego wieku ludzie zwyczajnie nie dożywano. Klan Wiecznego Ognia chodził nawet chłodną jesienną porą zaledwie w krótkich koszulkach. Niektórzy jedynie dla przyzwoitości. Zbliżała się pora roku najbardziej przez nich ukochana i kojąca. Bowiem ich ciała trawił wzmagający się żar.

Temperatura ich ciał wzrastała wraz z wiekiem. Małe dzieci były w stanie, który można by nazwać podgorączkowym. Nastolatki niekiedy przekraczali trzydzieści osiem stopni Celsjusza. Skóra dwudziestolatków już parowała na chłodnym, jesiennym powietrzu. Miewali też znacznie gorsze dni i nie byli w stanie normalnie funkcjonować. Trzydziestolatkowie płonęli wewnętrznym ogniem. To już dla wielu była kwestia czasu i wytrzymałości. Wielu odbierało sobie życie, co weszło w praktykę tego ludu. Nikt nie oponował. Łatwo było dostrzec ogromne cierpienie, z jakim się borykali. Część umierała z przegrzania i odwodnienia, gdyż pocili się intensywnie czerwoną mazią. Maż ta paradoksalnie chroniła gołą skórę przed poparzeniem słonecznym. Niemniej na nic nie zdała się wobec temperatur trawiących ich ciała.

Wszystkim klanom proponowałam porozumienie. Przekazywałam wieści, aranżowałam spotkania i naprowadzałam na Klan Psa, gdzie przedstawiciele poszczególnych klanów pojawiali się, by prowadzić rozmowy samodzielnie. Zaangażowałam klany ze Wschodniego Wężła, aby pomogli zbudować schrony dla Nocnych Wędrowców, gdzie w przerwach w podróży mogli przeczekać dzień. Śpiewającą Rodzinę udało mi się sprowadzić do Czuwających z Klanu Bliźniaczych Serc, aby współpracowali i obmyślili sposób komunikacji na dystans. Udało się wykorzystać umiejętności „czytania w myślach” serc więzi oraz niezwykle słuch niewidomych muzyków, którzy zainicjowali porozumiewanie się sygnałem wysyłanym przez bębny. Trujących ludzi posłałam do Klanu Drzew, a Klan Wiecznego Ognia do Trujących ludzi.

Miasto zaczęło się zmieniać.

ROZDZIAŁ 8. Celebrytka

W trakcie pełnienia obowiązków ambasadorki zrobiłam sobie wolne, aby odwiedzić szpital i zabrać Karana. Albo to, co z niego zostało. Miałam ogromnie złe przeczucia co do tej sprawy. Hiiri, chciała pójść ze mną, ale wystraszyłam się, że oszołomiony Karan mógłby ją niechcący zdyskredytować. Może niepotrzebnie. A może chciałam załatwić to sama? Zależało mi, by mnie nie rozpoznał. Jakież mogłoby to ściągnąć na nas kłopoty, gdyby chłopak zawołał wobec personelu szpitala i może jakiejś milicji: „Ojejku, Aia, a co ty tutaj robisz!?”. Uzbroiłam się więc w odpowiednio modny ubiór i kapelusz z woalką. Kazałam sobie ją doszyć i oddam sprawiedliwość krawcowi, nie pisał ani komentarza na taką fanaberię.

Szpital miejski mieścił się w zupełnie innej dzielnicy niż te, w których dotąd bywałam, więc zdecydowałam się wziąć riksę i poleciłam mężczyźnie, który ją prowadził, aby czekał. Prawie jak taksówka, tylko bardziej zabawna. Wtedy jednak nie było mi do śmiechu. Bardzo się denerwowałam.

Karan nie został przydzielony do zwykłej, publicznej części szpitala, tylko do tej wyglądającej na bardziej nowoczesną i zadbaną. Budynki kleiły się do siebie, ale wspólna ściana była jedynym, co je łączyło. W drzwiach ekskluzywnej, niepublicznej sali przyjęć stał milicjant, który najpierw poprosił mnie o okazanie karty identyfikacyjnej. Następnie zostałam przekierowana do jeszcze jednej kontroli, skąd dopiero z rewerencją poprowadzono mnie do rejestracji. Tam wytłumaczyłam powód swojego przybycia i pokazałam urzędowy plik holo, uprawniający mnie do odebrania mojej nowej własności.

Byłam zmuszona czekać. Posadzono mnie w miękkim fotelu i poczęstowano łakociami. Wreszcie z wewnętrznym niesmakiem pokwitowałam odbiór i uiściłam odpowiednią sumę. Staralam się zachować obojętną minę, ale nie dość, że denerwowałam się, w jakim stanie będzie przyjaciel Ransama, to odstręczał mnie fakt, iż dokonałam zakupu człowieka. Później przez chwilę ktoś mi tłumaczył zasady obsługi towaru, kiedy powinnam go zgłosić na kontrolę i tym podobne. Słuchałam jednym uchem.

Wtedy wprowadzili chłopaka. Był przygarbiony i milczący. Miał na sobie kombinezon, który przypominał opakowanie ze sklepu. Zapakowali mi mojego człowieka, dziwne, że jeszcze bez kokardki. Za to na szyi dostrzegłam obrożę. Nachyliłam się do osoby, z którą podpisywałam papiery, i szepnęłam, wskazując na własną szyję.

– Po co to?

– Pani służący był pojmany z powodu łamania prawa. Aby mieć pewność, że nie stanie się pani krzywda z jego przyczyny, opatrzyliśmy go takim właśnie zabezpieczeniem. Proszę, tu jest pilot. W razie potrzeby wciśnie pani ten przycisk i obiekt zostanie uspiony. Wtedy będzie pani mogła zadzwonić po milicję.

No tak, to nie mogło być zbyt proste.

– Czy można to zdjąć? To znaczy... on sam sobie tego nie zdejmie?

– Próba manipulacji przy urządzeniu aktywuje natychmiastową reakcję obroży.

– Dobra. Wystarczy. Dzięki – wycodziłam przez zęby i powstrzymałam się od dalszych komentarzy. Machnęłam nagle ręką. Skłoniłam się lekko obsłudze i ruszyłam w kierunku wyjścia. Nie spoglądałam, czy Karan podąża za mną. Po chwili jednak usłyszałam ciche kroki na miękkim dywanie holu. Wsiadłam bez słowa do rikszy i wskazałam miejsce obok siebie.

– Kim jesteś? – To były pierwsze słowa, jakie usłyszałam od Karana. Znikła gdzieś energiczność i lekkość chłopaka. Bał się, ale starał zachować butę.

Nie odpowiedziałam. Musiałam zachować pozór, że się nie znamy. Póki co, nikt mnie nie podejrzewał, ale wołałam nie ryzykować. Może nas ktoś śledził? Nie uważałam aby proceder wykupywania więźniów był bardzo popularny. Sądzę, że nie pozostało to bez zwrócenia uwagi. Zresztą w umowie, jaką podpisywałam, był zaznaczony ustęp, że mamy się pojawiać najpierw co tydzień na kontroli, a po czterech razach, raz na miesiąc. Przekazano mi, iż są to procedury bezpieczeństwa. Jak dla mnie po prostu chcieli kontrolować sytuację. Karan miał pozostać w zasięgu.

– Hej, może łaskawie odpowiesz? Nie mam nawet prawa wiedzieć, do kogo należę?

Wzdrygnęłam się, ale uparcie tkwiłam w milczeniu. Pokazałam tylko, zbliżając palec do woalki, aby się uciszył. Dojechaliśmy wkrótce do mojej kamienicy. Zapłaciłam riksarzowi. Miałam trochę wypłaconych pieniędzy. Mali przedsiębiorcy i podwykonawcy nie mieli terminali płatniczych, o czym zdążyłam się już wcześniej przekonać.

Weszliśmy na klatkę schodową. Bałam się, że chłopak da nogę, korzystając z okazji, więc ciągnęłam go za rękaw jak niepokorne dziecko. Jakby to w istocie mogło temu zapobiec. Gdy schowaliśmy się w zaciszu budynku, obejrzałam jeszcze otoczenie i odsłoniłam woalkę. Karan przez chwilę jakby nie kojarzył. Zaskoczenie na jego twarzy było tak zabawne, że nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– To ty! Co to ma być, o co chodzi? Czemu nic nie powiedziałaś... – Wcale mnie nie dziwiło, że ma milion pytań.

– Ciszej. Po kolei. Zaraz ci wszystko opowiem. Ale musisz być ostrożny. To nasze przebranie. Nie wiem, czy nas nie śledzili, czy ktoś nie będzie mnie szpiegował. Oficjalnie jestem bardzo bogata i kupiłam cię jako służącego. Musimy trzymać się tej roli, na razie.

– Ale dlaczego, o co chodzi? Kto ma nas śledzić? – Był tak zagubiony i zdeorientowany, że postanowiłam odłożyć szczegóły na później.

– Przyjdzie Ransom i wspólnie wszystko obgadamy. Tylko na razie proszę cię, abyś pozostał w mieszkaniu.

– Moja mama...

– Zajdę do niej albo ktoś z naszych i ją powiadomimy, nie panikuj.

Weszliśmy do dolnego mieszkania. Hiiri i Louise przerysowywały mapy. Na widok Karana obie uniosły głowy. Louise uśmiechnęła się szeroko, Hiiri rzuciła mi pytające spojrzenie. Uczyniłam za plecami Karana delikatny gest dłonią „czekaj”. Tymczasem Louise podeszła i spojrzała z troską na Karana.

– No witaj, jak się czujesz, w porządku?

Karan wzruszył ramionami.

– Trochę jestem obolały, ale mówili w szpitalu, że to obtłuczenia i zakwasy. Mam jeszcze brać jakieś tabletki. Masakra, mówili, że podobno reszta wyglądała podobnie.

– Widziałeś ich? – spytała Hiiri.

– Nie, chyba leżeli w innych salkach. Ale wytłumaczcie mi, o co chodzi z tym całym cyrkiem. Mnie powiedzieli, że w zadośćuczynieniu za kradzież i próbę zamachu, zamiast siedzieć w ciupie będę służyć bogatej pani.

– A arena? – naciskała Hiiri. Louise spojrzała na nią zaskoczona. Nie podzieliłyśmy się historią o wyprawie do Krainy Gier.

– No turniej był niezły, ale oberwałem w głowę i za wiele nie pamiętam. Dziewczyny, swoją drogą chata wypasiona. Tylko wystrój paskudny, kto to tak urządził...?

– Poczekaj, aż zobaczysz, kto jest na górze... – Louise wzięła Karana, aby go oprowadzić, a my z Hiiri nachyliłyśmy się do siebie.

– Chyba do końca nie zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim działo – zaczęłam przyciszonym głosem.

– Na arenie tak ich nakarmili prochami, że zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Na pewno sprzedali mu jakąś bajeczkę. Turniej, też mi coś.

– A pamiętasz, co państwo Valentini mówili o tych spektaklach? Według nich to zawód. Elita uważa, że ludzie to robią z własnej woli.

– To chore. Nie wiem, jak można myśleć w taki sposób. – Hiiri miała dla bogatych wyłącznie pogardę, ale odnosiłam wrażenie, że obdarza nią sprawiedliwie cały świat.

– Jak się żyje w ciepłku i dobrobycie, to łatwo traktować resztę jak kukły. Zwłaszcza gdy wmawia się, że to pełni poświęcenia aktorzy lub przestępcy, którzy dzięki temu mają możliwość odkupić zło.

Chciałam jeszcze dodać, że jest w tym jakaś okrutna sprawiedliwość. Mimo wszystko Miasto wydało mi się bezpiecznym miejscem. Największe zagrożenie padało ze strony renegatów, łachmaniarzy i biedoty. Naturalne było, że bogaci uważali się za normalnych i porządných ludzi. Eco grała rolę kogoś, kto wymierzał sprawiedliwość. Kradłeś, oszukiwałeś, korzystałeś z rzeczy nielegalnych? Czekala cię kara. Cóż z tego, że okrutna i niehumanitarna. Świat się zmienił, zmieniły się reguły. Ruch oporu chciał walczyć, ale czy w imię sprawiedliwości, czy dlatego, że zabierano ich przyjaciół?

Zastanawiałam się nad tym, jak elita odbiera istniejącą sytuację. Wielokrotnie słyszałam pochlebne opinie o Księżycowej Wiedźmie. Teraz gdy Karan nie pamięta co robił na arenie, trudno nawet udowodnić, że działa się tam coś złego. Przypuszczałam, że pozostali są martwi albo wykorzystali się ich do następnego show.

– Hej, śpisz? Nie odpływaj jeszcze. Idę po Ransama, a ty się zastanów, ile chcemy powiedzieć. Moim zdaniem powinni wiedzieć co się wydarzyło. Nie uważasz?

Hiiri dobrze odgadła, że wolałabym nie opowiadać wszystkiego Karanowi. Zwłaszcza jeśli ta wiedza niewiele mogła zmienić. Czy byłby taki spokojny, wiedząc że mógł w szale walki doprowadzić do śmierci kilku osób? Z jednej strony powinnam być uczciwa i wyjawić prawdę. Z drugiej wcale nie miałam ku temu ochoty.

Ransam pojawił się prędko. Jak zobaczył Karana, to zbladł i aż zachwiał się z wrażenia. Widać było, że jest wzruszony. Chłopcy się przywitali, a potem wszyscy mnie pytali, jak do tego doszło. Opowiadałam ogólnikami i kiedy mogłam, mijałam się z prawdą. Gdy wreszcie przestali mnie maglować, ustaliliśmy, że to wszystko świetnie wiąże się z naszym planem. Kupno ochroniarza i służącego przydawało mi statusu.

Po jakimś czasie stałam się dość znana w kręgach elity. Poznałam i innych. Bliższych i dalszych znajomych państwa Valentinich i pani Poliszenko. Bywałam na przyjęciach i spotkaniach towarzyskich, gdzie sama podchodziłam do ludzi i nawiązywałam kontakty.

Budowa domu była naczelnym tematem. Przedstawiałam swoje projekty dotyczące, jak to nazywałam, pracy u podstaw. Opowiadałam też, że zamierzam otworzyć w jednym skrzydle mojej przyszłej posiadłości stołówkę dla bezdomnych i wyłapywać spośród nich chętnych do pracy i do pomocy.

– Ależ kochanie, to przecież straszna robota – dziwiła się któraś z modnych dam na jednym z przyjęć. – Wykarmić taką zgraję, to pochłonie więcej niż cały koszt budowy twojego domu.

– A w dodatku oni są zwyczajnie niebezpieczni – dodała inna z pań. Kilka osób przytaknęło jej jak stadko kokoszek.

– W tym rzecz! – podjęłam z emfazą. – Nie wolno tego tak pozostawić. Ci ludzie się mnożą i stanowią niebezpieczeństwo dla otoczenia i siebie samych, ale sytuacja ich do tego zmusza.

– Jaka sytuacja? Niech się biorą do pracy. My wszyscy pracujemy – fuknął jakiś naburmuszony jegomość, zyskując powszechny aplauz.

– Tak, tak. Brudasy jedne.

– To darmozjady. Nie będą ci nawet wdzięczni za to, co chcesz dla nich zrobić. To bez sensu.

– Jeszcze ci dom podpalą, rozkradną.

Pokręciłam paluszkami, ucinając te uwagi.

– Moi drodzy. Już o mnie się nie martwicie. To rzecz jasna, że łatwo jest zlekceważyć dobro, jako coś należnego i oczywistego. Nie jesteśmy wdzięczni piekarzowi za każdą bułkę, jak słońcu za każdy promień. Wszakże to takie codzienne i oczywiste dla nas.

– Pani się zapomina. Doprawdy, proszę nas nie stawiać na jednym poziomie z tymi łachmaniarzami. – Oburzone głosy i urażona duma wtórowały moim przemówieniom bez przerwy. Musiałam się bardzo pilnować, aby nikogo nie urazić wprost, by nie okazać się impertynencją i chamstwem jak niektórzy. Mogłoby się zdawać, że jestem spalona za teorie, które głosiłam. Niemniej sam fakt, że prowadziłam się ze zresocjalizowanym przestępcą, stał się modnym tematem. W końcu byłam taką ciekawostką, nowością i ekscentrycznością w ich świecie, że stałam się popularna. Naśladowano mnie początkowo ostrożnie, powtarzając moje niektóre słowa czy powiedzonka.

Z czasem zaczęto wzorować się na moim sposobie ubierania. Miałam z tego ogromną frajdę, gdyż wspólnie z Louise i Hayley, (która doszła do nas niedawno) wymyślałyśmy dziwne elementy i zestawienia tak, by wydawały się modne i ciekawe. Po tym też mogłyśmy ocenić czy moja popularność się rozwija. Zwłaszcza obie dziewczyny mogły popisać się ogromną kreatywnością i pomysłowością. Hayley była od nas nieco starsza i świetnie szyła. Robiłyśmy więc zemstę na sklepowych koszmarkach i dokonywałyśmy na nich własnych poprawek.

Ale i ja korzystałam ze znajomości bogatych, wykształconych mieszczan. Dowiedziałam się na przykład, że również szkoła jest luksusem dostępnym tylko obywatelom, oczywiście nieobowiązkowym i płatnym, chyba że chodziło o szkoły zawodowe. Ktoś pochodzący z rodziny o statusie obywatela, lecz niezbyt majątnej, mógł starać się o przyjęcie do szkoły uczącej konkretnego zawodu. Można było na przykład uczyć się gotować czy szyć. Można było

trenować sport w specjalnej szkole milicyjnej i ochroniarskiej, a najtrudniej było dostać się na profile dotyczące prac informatycznych i komputerowych. Wszystkie te specjalności ograniczały się tylko i wyłącznie do jednej dziedziny, a absolwenci byli od razu zobowiązani kontraktem do pracy w poszczególnych firmach. Jedynie informatycy i technicy podlegali bezpośrednio pod urząd Zarządczyni. Płatne szkoły dla elit były inne. Tam kładziono nacisk na wszechstronny rozwój kulturalny i humanistyczny oraz wiedzę ekonomiczną. Przy czym w mojej opinii ta wiedza była i tak szalenie uboga.

Przyczyna, jak się okazało powszechnie znana, mnie oszołomiła i przerażała. Otóż wielki wybuch pyłu spowodował reset wszelkich urządzeń, co oznaczało wyczyszczenie baz danych. Wszystkie komputery, biblioteki, cała elektroniczna pamięć, znikły, a ludzie w owych czasach przeważnie nie zachowywali już wiedzy w wersji drukowanej. Większość dorobku ludzkości była digitalizowana. Obecnie pojedyncze książki, stare gazety można było obejrzeć w muzeum. Lecz ich ilość była śmiesznie mała. Prawdopodobnie powodem było to, że podczas pierwszych starć politycznych o władzę nad Miastem jedno z ugrupowań zaczęło palić papierowy druk, jako dopełnienie efektu utraty danych. Uznali, że oto wkraczając w nową erę należy pożegnać się z przeszłością. Palono wszystko co tylko pozostało – książki, czasopisma, plakaty, obrazy. Mieli wielu zwolenników, w rezultacie jednak po kilku latach silniejsze ugrupowanie zepchnęło ich z piedestału obejmując władzę i zyskując nowy elektorat szczególnie wśród elit. Niestety polityczna historia Miasta była tak zawiła, że nie ustaliłam żadnych niezbitych faktów. Wszystkie te informacje to domniemania i plotki. W każdym razie sytuacja kulturalna mieszczan zmieniała się.

Wcześniej każdy mógł obejrzeć słynne obrazy, posłuchać dowolnej muzyki czy obejrzeć sztukę, teraz to przepadło. Pozostała tylko wiedza zachowana w umysłach ówczesnie żyjących. Część faktów udało się spisać, choć skoro polegało się wyłącznie na pamięci, wiadomości te nie były pewne. Biblioteki wypełniły się więc wkrótce bieżącą sztuką. Ludzie chętnie tworzyli, mając poczucie rozpoczęcia nowej ery, gdy wszelkie zdobycze kultury można odkryć na nowo.

Jak to wyglądało? Miałam na przykład okazję odwiedzić wystawę, która stylem bazowała, na zapamiętanych teoretycznych cechach dawnego malarstwa. Czy były tym w istocie? Trudno orzec. Pamiętałam sporo nazwisk artystów i migawki ich dzieł. Ale były to szczątkowe, ogólnikowe wspomnienia. Jak coś, o czym uczyłam się kiedyś i dawno nie miałam z tym styczności. Nie chwaliłam się zbyt swoją wiedzą. Ale prędko się zorientowałam, że nawet z moim żalosnym zasobem urywków o wszystkim, wśród elit mogłam uchodzić za obkuta. Minusem było jednak to, że nie miałam pojęcia o niczym, co powstało w samym Mieście. W środkowej dzielnicy Centrum jeden z wieżowców stanowił połączenie biblioteki, galerii i

muzeum. Byłam tam raz ze względu na ciągły brak czasu. Niemniej nie odmówiłabym mieszczanom kreatywności i dużej swobody artystycznej...

Być może również brzydota i abstrakcyjność garderoby elit wynikały z rozbujanej swobody twórczej, braku potrzeby funkcjonalności i mimo wszystko ograniczonej liczby materiałów z jakich można było korzystać. Fabryki przeważnie tworzyły sztuczne tkaniny, bez grama bawełny.

Wiedza o rzeczach praktycznych miała się lepiej. Umiejętności majstra były bezcenne i pracę rzemieślniczą szanowano również w najwyższych sferach. Oczywiście nikt z elit nie zdecydowałby się na pracę fizyczną, chyba że hobbystycznym majsterkowaniem czy prowadzeniem ogródka przed domem. Acz i takie zajęcie stanowiło pewien ewenement. Elity, jak można się domyślać, zajmowały stanowiska kierownicze, specjalistyczne, a często zdarzali się też zwykli biurokraci.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, poprosiłam Johtaję i ruch oporu, aby znaleźli dla mnie jakiegokolwiek informacje na temat domniemanego proroka znanego pod nazwiskiem Ring. Zyanya, mająca pewne możliwości i dalekie znajomości, obiecała dołożyć wszelkich starań, by to dla mnie sprawdzić. Jednak jak to było do przewidzenia, odrestaurowane bazy danych milczały na temat takiego nazwiska.

W końcu powstał wniosek o pozwolenie na budowę, dostęp do energii i założenie stołówki socjalnej. Pozwolenie na budowę uwzględniono osobno i zdumiewająco prędko dostaliśmy zielone światło. Tym bardziej liczyłam, że zadziała prowokacyjny wniosek dotyczący stołówki. Zaczęły powstawać fundamenty domu. Materiał był oczywiście ograniczony. Śmiało wystosowałam kolejny wniosek, aby przemielić kilka nieużytków i ruin pod budulec. Nakłoniłam firmę, której zleciłam budowę, aby zatrudniała ludzi z ulicy. Właściciele musieli przystać na takie warunki, bo nie mieli dostatecznie dużo własnych pracowników. Nie zgodziłam się na utworzenie spółki z kimś większym. Dyktowałam dziwaczne zasady i nie wszyscy rozumieli dlaczego. Budowa posuwała się w ślimaczym tempie, jednak nie przeszkadzało mi to. Obawiałam się czego innego. Nasze plany rozwijały się, a tym samym zbliżał się czas zamachu na Księżycową Wiedźmę.

Mój trening przynosił mierne skutki. To znaczy, zyskałam pewną wprawę w walce wręcz, ale często brakowało mi refleksu i zdecydowania. Strzelałam kiepsko, cel musiał znajdować się raczej blisko, inaczej moje trafienia miały jakieś trzydzieści procent szans, że w ogóle sięgną tarczy. Johtaja oceniła, że nie jestem w tej dziedzinie jakoś specjalnie utalentowana i tego nie przeskoczmy. Rozważaliśmy, czy na przykład Valko nie powinien pójść wraz ze mną. Bądź

ktokolwiek do pomocy. Ale większa ilość osób wzbudziłaby podejrzenia. Mnie jednej było łatwiej. A może nie? Jednak nie naciskałam.

Spędzając czas wśród elit, starałam się znaleźć także informację o innych sferach funkcjonowania Miasta. Przede wszystkim drążyłam temat pyłu, domniemanej mocy Księżycowej Wiedźmy i rzeczywistych źródeł energii. Stawiałam trudne, niewygodne pytania. Jak to się stało, że Księżycowa Wiedźma kontroluje pył i dlaczego tylko ona? Jak korzystano z prądu wcześniej, przed mianowaniem Wiedźmy Eco Moonlight na Zarządczynię? A Miasto działało cały czas. Pytałam o to Ransama.

– No, pewnie, że był prąd. Prąd jest zawsze.

– A skąd się bierze?

– No... Jest.

– Nie ma czegoś takiego, że prąd sobie istnieje znikąd. Po to kładzie się kable, instalacje, zakłada się kontakty, zabezpieczenia, stawia transformatory...

Patrzył na mnie tak, jak gdybym tłumaczyła ślepemu, za pomocą jakich kolorów ma namalować obraz. Ransam był młody, ale nieodosobniony w brakach wiedzy. Hayley uważała, że pył i elektryczność są tym samym. Pani Poliszenko, że przed panowaniem Księżycowej Wiedźmy też wszystko funkcjonowało, ale gorzej, nie tak nowocześnie. Valentini twierdzili, że przecież Eco nie może dzień i noc tłoczyć swej mocy w Miasto, dlatego magazynuje ją w potężnych zwojnicach, sama zaś jest jak przekaźnik. Moc musi przez nią przepływać. Gyuri Saz ze Wschodniego Węzła uważał, że Księżycowa Wiedźma potrafi po prostu lepiej korzystać z mocy. Gyuri był inteligentnym mężczyzną w średnim wieku o skórze nosorożca i wielkim zamiłowaniu do dawnych konstrukcji. Podjął specjalną wyprawę do Klanu Psa tylko po to, aby obejrzeć rokony. Pokłócili się natychmiast z Piranem, bo Gyuri chciał rozebrać rokona na części i zobaczyć dokładnie, jak jest zbudowany. Piran niemal osiwił na samą myśl o takim bezeczeństwie. Pozostali członkowie Klanu Psa obstawiali, że się wezmą za łby. Zamiast tego zostali najlepszymi przyjaciółmi. Na moje pytanie o wcześniejsze losy Miasta i o udział Eco w rozprowadzaniu energii zgodnie stwierdzili, że Wiedźma nie produkuje przecież energii, ona tylko znalazła dla niej dodatkowe zastosowanie.

Mnogość opinii była osłabiająca. Czy ci ludzie mają w ogóle pojęcie o dawnej technice? O działaniu elektryczności? Wiedza na ten temat była tak zazdrośnie strzeżona, że majster elektryk mógł tutaj spokojnie uchodzić za magika. Natomiast w klanach przekazywano potomkom wiedzę pożyteczną dla tego, czym się zajmowali. Wtedy przypomniałam sobie, że Ransam proponował mi kiedyś odwiedziny u pewnego staruszka. Starsi ludzie i ich pamięć byli

dla mnie na wagę złota. Wspomniałam Ransomowi o tym któregoś dnia, zwarta i gotowa, aby natychmiast wcielić pomysł w życie.

– Teraz chcesz iść? Koniecznie teraz kiedy jest tyle do roboty? I tak szatkujemy czas i wydzielamy go sobie jak skrawki chleba. Ciągłe śpisz gdzieś po drugiej stronie Miasta, zapadasz w te swoje letargi...

– Mam tam równie istotne zajęcia. Przecież ci opowiadałam – powiedziała rozłoszczona. No proszę! Wygląda na to, że Ransom najwyraźniej wciąż... – Nie wierzysz mi – stwierdziłam, zaciskając usta w wąską linię.

– Ależ wierzę, wierzę. Nie o to chodzi. Zasypiasz w tak dziwnych momentach... Raz ścięło cię, gdy siedziałas na krześle, raz niemal upadłaś...

– To był szybki skok, chciałam tylko rzucić na coś okiem...

– Aio. – Ransom jakoś tak bezwiednie wziął mnie za rękę. – Martwię się. Odlatujesz coraz częściej. Gdyby zdarzyło się to na przykład podczas zadania, byłabyś bezbronna.

Powinnam może się ucieszyć, że się troszczy, ale przyszło mi na myśl, że bardziej boi się o powodzenie naszego planu. Zabrałam dłoń stanowczo i odparłam zdecydowanie, ucinając wszelkie „ale”:

– Zrobię, co do mnie należy, o to się nie martw. Ale zanim to nastąpi, chcę wiedzieć jeszcze kilka rzeczy. Prowadź mnie do tego człowieka.

Ransom patrzył na mnie przez moment uważnie, wodząc wzrokiem po mojej twarzy, jakby chciał wyczytać z niej więcej, niż sama wiedziałam. Przez moment myślałam, że... Ale nie. Troska stężała i przemieniła się w coś bezosobowego. Takim samym tonem rzucił:

– Chodź.

Dziadek mieszkał na granicy ulic bogatszych z tymi biedniejszymi. To była duża, wiekowa samotna willa, mocno podniszczona i zaniedbana, ale wyróżniająca się urodą. Przytulały się do niej inne kamienice jak stare ciotki do urodziwej dziewczyny. Drewniane schody na piętro trzeszczały przy każdym kroku. Sypał się pył z kornikowych odwiertów. Pachniało starością. Mieszkanko Dziadka również, a nawet intensywniej. Było zdumiewająco obszerne. Wysoki korytarz, jadalnia, dwie sypialnie, gościnny, pomieszczenia gospodarcze. Wiele starych mebli, dywany, zdobna tapicerka. Jak podróż w przeszłość. Oto coś, czego spodziewałam się po Mieście, gdy obudziłam się po raz pierwszy. Ale teraz na powrót byłam nieco zaskoczona. Zatem miejsca jak to nadal istniały. Pozostałość dawnych czasów. Otworzył nam młody, wytworny mężczyzna. Miał na sobie uprasowaną w kancik koszulę i schludne, lśniące buty.

– Proszę, państwo z wizytą do pana Blumenthala?

Skinęliśmy z Ransomem w milczeniu nadal obrażeni na siebie.

– Proszę tędy, pan drzemie po obiedzie, ale jeśli zechcecie chwilę poczekać, wkrótce się obudzi.

Lokaj zaprowadził nas do salonu i posadził w głębokich fotelach. Były trochę niewygodne, bo powyłaziły z nich sprężyny, ale i tak robiły wrażenie. To nie był ekstrawagancki styl modnych elit. Wystrój wzorowano na luksusach minionych epok. Stare ciemne komody i szyfonierki. Liczne wzorzyste tkaniny, lichtarze, zegary, kilka rzeźb czy lustro w zabytkowej ramie. Ilość przedmiotów mogła przytłoczyć, mimo to dawała poczucie przytulności.

Siedzieliśmy w milczeniu. Żadne z nas nie chciało go przerwać. Gdy służący wprowadził wózek inwalidzki do pokoju, Ransam podniósł się z fotela i zbliżył do staruszka. Zrobiłam to samo.

– Dzień dobry, Dziadku. To ja, Ransam.

– A? O, jaka miła niespodzianka. Napijesz się herbatki? – Mężczyzna był pomarszczony jak bibułka, lekko otyły, miał blade, wodniste, małe oczy, wełniany kaftan i bambosze. Spełniał wszelkie wyobrażenia, jak powinien prezentować się stateczny, starszy mężczyzna.

Służący poszedł zaparzyć napar, a ja ukloniłam się na powitanie.

– Dzień dobry panu, mam na imię Aia, jestem... Znajomą Ransama. Bardzo chciałam z panem trochę porozmawiać.

– Ze mną? Ach taaak? – Pan Blumenthal śmiesznie przeciągał głoski. Chwilę także zajęło mu odnalezienie mnie wzrokiem.

– Tak, proszę pana. Chciałam zapytać pana o Miasto.

Staruszek roześmiał się chrapliwie, po czym zaniósł się kaszlem.

– Khe, khe... A co ja mogę powiedzieć? Nigdy go nie opuszczałem, to fakt. Ale jeszcze za dzieciaka marzyły mi się wyprawy. Potem tak się ułożyło, że zostaliśmy. Moi rodzice byli niepokieszeni, chcieli mnie widzieć na uniwersytecie za granicą. Ale tak to bywa, niestety.

– Proszę pana, pana rodzina była bogata?

– Zaraz bogata... No nie powiem, mogliśmy sobie pozwolić na to i owo. Moja siostrzyczka, świętej pamięci, bo starsza była co nieco, to ona, droga moja Dorothy, miała takie piękne suknie. O takie o, o! – starszy pan próbował sięgać do kostki – takie długie. Z falbankami i z kołnierzem, takie piękne.

– To chyba były drogie? – dociekałam.

– Drogie? Tak, chyba tak... Dorothy śpiewała. Występowała trochę. I to do tych śpiewów.

– A pańscy rodzice, co się z nimi stało?

Dziadek zmyślił się. Wzrok zmętniał mu jeszcze bardziej.

– Tatuś z mamusią nie żyli bardzo długo. Tatuś należał do grupy inicjującej pierwsze wypraw za Miasto, a mamusia zmarła niedługo po tym, jak zginął. Tak nam było smutno. Siostrzyczka starsza była, mieszkaliśmy wspólnie przez wiele lat.

– Wypraw za Miasto? A więc odbywały się takie?

– A tak, tak. Tak. Trochę. Ale bezowocne.

– Jak to wyglądało? – Staruszek obdarzył mnie zdumionym spojrzeniem.

– Ano. Tak zwyczajnie. Ludzie wychodzili i nie wracali. Dooies ich dopadały. Prędko zrezygnowano z tych wypraw. Szkoda ludzi. Szkoda. Charles, nalej moim gościom herbatki. Czy są jeszcze ciasteczka?

– Nie ma, panie Blumenthal – odpowiedział służący i troskliwie poprawił pled i poduszkę pod plecami pana Blumenthala.

– Trudno. A pytasz mnie o Miasto? Miasto jak Miasto. Trochę było zamieszania na początku. Dostawy prądu były nieregularne. Przez jakiś czas zaciskaliśmy wszyscy pasa. Zanim się unormowało. Ale powiem ci panienko, to wszystko przez tego Johnsona. Roger Johnson obiecał tyle, a figę z tego mamy. A ludzie głosowali na niego, a jakże. Myśmy oczywiście od razu stali w opozycji. Tatuś miał znajomości i wiedział z góry, kogo popierać. Tylko wiecie, tak to już jest. Johnson też pociągał za sznurki. Jak tylko ugrupowanie Abreu wysnuło swoje żądania...

Pojęłam wkrótce, co Ransom miał na myśli, mówiąc, że nie był w stanie wsłuchiwać się w monolog Dziadka. Początkowo siedziałam napięta niczym struna, wysilając umysł, aby nie uронić ani jednej informacji. Wreszcie człowiek pamiętający czasy tuż po eksplozji! Niestety opowieści Dziadka zagłębiały się w polityczne szczegóły, charakterologiczne opisy i polityczne rozgrywki, które przede wszystkim miały na celu postawić kogoś na szczycie, natomiast wcale nie wyjaśniały panującej sytuacji i tego, co się działo w Mieście. Wyłapywałam zaledwie skrawki. A pan Blumenthal był niestety głuchy na moje wtrącenia. Czasem nawiązywał do jakichś faktów z historii swojej rodziny, było to jednak równie zawile i trochę nie trzymało się kupy, więc zaczęłam powątpiewać w świetność pamięci staruszka.

Wytrzymałam tak blisko dwie godziny, aż pan Blumenthal rozkaszał się i służący Charles łagodnym tonem oznajmił, że dla pana Blumenthala czas na przerwę, i prosił, aby go już nie męczyć. Staruszek potulnie jak dziecko dał się odprowadzić do sypialni i włączyć stary magnetofon z muzyką.

– Pan trochę się rozgorączkował, ale cieszy mnie, że ktoś zechciał go odwiedzić. To dla niego wielka atrakcja. Już nie jest na siłach, aby wychodzić na zewnątrz – oznajmił Charles

ściszonego głosem, przysmykając drzwi do sypialni pana Blumenthala i odprowadzając nas do wyjścia.

– Dobrze, że Dziadek ma przynajmniej kogoś, kto się nim opiekuje – zauważyłam z uśmiechem. – Długo pan tu pracuje?

– Pozostaję w rodzinie Blumenthalów od dziewięćdziesięciu czterech lat.

– ...Co? – Poprosiłam, aby powtórzył liczbę, ale nie było mowy, żebym się przesłyszała. – Ale... Jak? – zająknęłam się, wydając kilka nieartykułowanych pomruków z wrażenia. – Żartuje sobie pan?

– Nie, w żadnym razie. Jestem androidem.

Patrzyłam na niego chwilę w milczeniu, aż poszukałam odruchowo twarzy Ransama, aby ocenić, czy jest równie zdziwiony co ja, ale chłopak mimo pewnego zaskoczenia wydawał się spokojny.

– Przecież pan... Nie wygląda pan na maszynę – zaczęłam ostrożnie, nie wiedząc, jak podejść do tematu. Pan Charles parsknął lekkim śmiechem.

– Owszem. Pochodzę z dość nowoczesnej generacji robotów. W zasadzie tylko długowieczność czy odporność na choroby oddziela mnie od ludzi.

– Czy... to powszechne, aby androidy pracowały... w taki sposób? Czy pan... Odpowiada panu taka praca?

Ktoś taki mógłby przecież z powodzeniem rozwinąć biznes w Mieście. Czy pan Charles z własnej woli decyduje się pomagać schorowanemu staruszkowi?

– Z tego, co mi wiadomo, androidy zostały po to właśnie stworzone. Aby pomagać ludziom. Jestem bardzo zżyty z rodziną Blumenthalów. Żał mi jedynie patrzeć, jak pan Blumenthal marnieje w oczach. Śmierć siostry ogromnie nas przybiła. Pan Blumenthal znacznie podupadł na zdrowiu od tamtego czasu. – Słowa pana Charlesa wydawały się bardzo szczere. Uznałam to za niesamowite.

– Czyli pamięta pan czasy sprzed eksplozji?

Służący zawahał się.

– Niestety. Znam tylko opowieści. Ale mogę w większości potwierdzić, że pan Blumenthal mówi prawdę. Czasem miesza mu się, to wszystko od tych książek z dzieciństwa, w których starszy pan lubował się w dawnych czasach, więc dom ma taki a nie inny wystrój. W tym domu panowała moda na styl sprzed dwu wieków. Panu się zdarza sądzić, że sam żyje w owych czasach. To już postępująca choroba.

Cóż, to sporo wyjaśnia. Miałam wiele pytań na języku, ale czułam się zbyt skrępowana, by wypytywać, więc odpuściłam. Pożegnaliśmy się i wyszliśmy z budynku.

– Wiedziałaś? Nie miałam pojęcia, że... to znaczy, to prawdopodobne, ludzie projektowali androidy, roboty w zasadzie... Ale on... Wydaje mi się, że ma własną jaźń!

Ransom wzruszył ramionami. Ja przez całą tę sensację zupełnie zapomniałam, że się gniewaliśmy, ale on zachował sporo rezerwy.

– Nie wiedziałem, że lokaj jest androidem, ale w sumie to mnie nie dziwi. Faktycznie zawsze wygląda tak samo, nigdy nie widziałem, aby brał wolne, przyprowadzał własną rodzinę czy w jakikolwiek sposób opuszczał dom po coś innego niż sprawunki, zakupy... Takie tam. Nie zwracałem na niego uwagi. Jest trochę jak mebel.

– Co? No wiesz?! Ja bym się w życiu nie zorientowała, że to nie człowiek. Czyli jest ich więcej? Androidów?

– Pewne tak. Elity stać na taką służbę. Sądzę, że po prostu trwają przy bogatych rodzinach od pokoleń. – Ransom przystanął na moment. – W każdym razie, jesteś zadowolona?

– Hm? Ach, tak. Poniekąd. Cóż, może nie dowiedziałam się tego, czego chciałam, za to dostałam zupełnie zaskakujący bonus... – odparłam w zamyśleniu, patrząc pustym wzrokiem na ulicę.

Androidy, to coś zupełnie nowego. Niezwykłe. Czy ludzie uważają je za coś powszechnego? Ransom twierdzi, że należą do elit... Jeśli są podobni panu Charlesowi... Jak ich odróżnić? Skąd wiadomo, kto jest androidem, a kto nie? Tak na pierwszy rzut oka, bez wnikania w rodzinną genealogię? Czy robot nie powinien być bardziej bezmyślny? Mechaniczny, bezemocjonalny? Ludzie poczynili znaczne postępy, jeśli chodzi o robotykę. Wypuszczono w minionych latach sporo maszyn, które miały stanowić pomoc domową, byłam tego pewna. Ale na zasadzie komputera, a nie empatycznej, czulej istoty! Pan Charles był z rodziną Blumenthalów dziewięćdziesiąt cztery lata, zatem nabyli go wcześniej, jeszcze przed wybuchem. Ale twierdzi, że nie pamięta tego wcześniejszego okresu. Zastanawiające, ale logiczne. W końcu reset powinien dotyczyć także baz danych każdego androida.

Czy może znam kogoś, kto jeszcze może być w posiadaniu androida? Nie mam wiedzy o dawnych losach poznanej elity... Może nieco o Valentinich, ale oni przecież nie mają służących. Chcieli sami kogoś zatrudnić. A może służąca Pani Poliszenko – Jacqueline? Uroczą, cichą kobietą. Czy też jest androidem?

Snułam te myśli nieświadoma, co się dzieje wokół mnie. Szłam milcząco, zupełnie odruchowo za Ransomem, wcale nie patrzyłam dokąd.

– Nie zamierzasz wracać do swojego domu? – zapytał tonem obrażonego dziecka.

– Słucham? – Rozejrzałam się, wybudzając z zamyślenia. Znajdowaliśmy się przy wejściu do „szkoły”. – A, pewnie. Nie zauważyłam. Pójdę już.

– Aio. – Ransom ważył coś w sobie. Dotknął mojego policzka. – Uważaj na siebie, proszę. Jesteś rozbita na tyle spraw... Sam nie wiem, gdzie ty to w sobie mieścisz.

Wszystko we mnie zamarło. „Ojej” – pomyślałam głupkowato.

Wtedy wydukałam z siebie coś, czego nie pamiętam i wróciłam do domu na autopilocie. W głowie kołatało mi się tylko „gdzie ja się mieszczę?” i tym podobne bzdury. Gdy wróciłam do domu, czekał tam na mnie mentalny kubel zimnej wody.

W pokoju na sofce siedziała Johtaja. Przed nią na stole kłębiły się papierzyska. Wiedziałam co na nich jest. Mapy i notatki dotyczące Zamku Wiedźmy. Johtaja trzymała w ręku białą kopertę.

– Aio. – Przywitała mnie tymi słowami. – Czas rozpocząć naszą akcję.

Przybyło wezwanie z Zamku na rozmowę dotyczącą wniosku. Zaczęło się.

Mimo iż wszystko było zawczasu uzgodnione, Johtaja wałkowała ze mną krok po kroku różne strategie i możliwości. W większości było to gdybanie, ale na czymś trzeba było się oprzeć. Na wypadek gdybym została pojmana, rozdysponowałam różne polecenia mające ułatwić funkcjonowanie domu, nawet prac budowlanych na długo po moim zniknięciu. Nie wszyscy wiedzieli, na co się zanoszą, ale czuli to w powietrzu. Możliwe też, że rozpylałam wokół siebie ponurą aurę. Denerwowałam się. Łatwo powiedzieć „hop”, a potem okazuje się, że to, przez co chciałam przeskoczyć stanowi przepastną otchłań.

Postanowiliśmy, że pójdę z samego rana. Położyłam się z pustką głowie. „Czy mam jeszcze coś do zrobienia?” Projekt ambadorski rozwinął się znakomicie. Mimo pierwszych mrozów klany z powodzeniem kontynuowały wędrówki. Nie obyło się bez pewnych sporów i niesnasek. Zdarzały się bardziej wojownicze klany, ale tendencja była pozytywna. Rada Wioski Klanu Psa zaszczyliła mnie nawet kilkoma pochlebnymi słowami. Cieszyło mnie to, ale przez to, że angażowałam się w sprawy starszych, zabrakło mi czasu dla Machdika.

– Machdiku?

– O jesteś – stwierdził znad struganego kawałka drewna, gdy weszłam do jego pokoju. Usiadłam obok, na łóżku, po swojemu podkulając nogi pod siebie.

– Jesteś zły?

– Za co? – zapytał sucho. Trzeba było być zupełnie odciętym od wszelkiej empatii, aby nie wyczuć, że coś jest nie tak.

– Machdisiu, wysłali mnie... rano idę zabić Księżycową Wiedźmę.

Spojrzał na mnie przestraszony.

– Serio?

– Tak... Opowiadałam ci prawda? O planie ruchu oporu...

– Trochę.

– Martwię się – przyznałam nieco żałośnie. Chyba go tym rozchmurzyłam. Odłożył na chwilę swój kawałek drewna, zapatrzył w sufit, po czym przysiadł się do mnie.

– I co teraz?

Wzruszyłam ramionami.

– Gdyby coś się nie udało... Cieszę się, że was poznałam. Że mnie przyprowadziłeś do Klanu Psa.

– Nawet tak nie mów. – Objął mnie ramieniem i przytulił. – Naprawdę musisz to robić? Czemu ty? Czemu ktoś z ruchu oporu tego nie robi? Co nas obchodzi Księżycowa Wiedźma? Niech sobie będzie. Nie potrzebujemy jej.

– Machdiku.

– Poważnie. Połączyłaś klany. Widzieliśmy na naszej ziemi już więcej ludzi, niż to było kiedykolwiek możliwe... Radzimy sobie bez Wiedźmy i jej sztuczek. A nawet jeśli... Nie możemy stąd wyjść... – Głos prawie mu się załamał. – Żałuję, że nie mogę iść tam z tobą.

Wzruszyłam się.

– Dziękuję ci. To chyba dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Teraz myślę, że dam sobie radę.

– Jesteś pewna? – Niepokój w jego oczach był jednocześnie bolesny i ciepły.

– Pewnie. Musiałbyś widzieć, jak strzelam.

– Dobrze?

– Beznadziejnie.

Parsknęliśmy śmiechem. Opowiedziałam mu kilka nowin z ostatnich dni oraz oczywiście moje najnowsze odkrycie – androidy. Machdik słuchał w napięciu, reagując, jak zresztą zazwyczaj podczas moich opowieści, dość plastycznie i porywczo.

Później obgadywaliśmy możliwości dotyczące androidów, dochodząc do niestworzonych pomysłów i pokręconych teorii. Zasnęliśmy wtuleni w siebie jak kociaki.

A potem nadszedł ranek.

ROZDZIAŁ 9. Księżycowa Wiedźma

Zgodnie z planem zawołałam riksę, która podwiozła mnie pod same drzwi Zamku. Chciałoby się powiedzieć „wrota”, ale to były zwykłe szklane, rozsuwane drzwi. Pojawiło się już kilku petentów, jakiś pan składał wniosek, wypytując urzędniczkę o szczegóły. Skierowałam swoje kroki do sąsiedniego pulpitu, pokazując wezwanie w białej kopercie. Zostałam natychmiast skierowana windą na trzecie piętro. Kobieta, oddelegowana jako przewodniczka, powiodła mnie korytarzem w stronę drzwi na końcu sali. Stało tam kilka krzeseł.

– Jest pani nieco za wcześnie, ale zaraz wszyscy się zbiorą. Będzie pani uprzejma poczekać tutaj.

– Naturalnie. Przepraszam, jest tu toaleta?

– Owszem, to te drzwi po lewej.

Urzędniczka odeszła, znikając w windzie. Doskonale. Idealnie. Miałam się wykić toaletą, ale tak jak przewidywała Johtaja, rada zatwierdzająca wnioski nie zbiera się od razu po otwarciu Zamku. Miałam czas, aby niezauważona pójść wyżej. Zerknęłam wcześniej do toalety. Nie posiadała okien, tylko szeroki lufcik na wysokości mojej głowy. Otworzyłam go i wyjrzałam. Miałam półtora metra do rynny i niewielki gzyms. To mogła być moja droga ewakuacyjna.

Wyszłam, rozglądając się chwilę po korytarzu i odtwarzając w myślach plany budynku konstruowane wspólnie z ruchem oporu. Pomacałam za plecami, upewniając się, że pistolet tkwi w kaburze. Miałam na sobie obcisły, elastyczny, szary strój, a na wierzchu strojną, jasną gazę upstrzoną cekinami. Wyglądało to dostatecznie ekstrawagancko, a gdy pozbyłam się gazy, zwijając ją do plecaczka, odzyskałam swobodę ruchów. Nie mogłam znaleźć schodów. Winda była rozwiązaniem prostym, ale ryzykownym. Skąd mogłam wiedzieć, czy po jej otwarciu nie znajdę się na widoku?

W końcu znalazłam wąskie schody, za drzwiami, tuż koło windy. Docelowo powinnam dotrzeć na trzynaste bądź czternaste piętro. Tak oszacowaliśmy wysokość budynku i Johtaja stawiała sześć do dziesięciu, że właśnie tam mieszka Księżycowa Wiedźma. Wspinałam się ostrożnie i cicho, sadząc susy po dwa stopnie. Dotarłam w okolice dziesiątego piętra i nawet nie miałam zadyszki. Wtedy jednak usłyszałam kroki. Ktoś schodził z góry.

Stałam na półpiętrze. Jedynym wyjściem było się cofnąć. Zeszłam najciszej jak się dało, choć miałam ochotę uciekać co sił w nogach. Niżej były drzwi na dziewiąte piętro. Przeszłam przez nie, zamykając jak najdelikatniej. Zamek szczęknął, ale miałam nadzieję, że osoba na schodach nie uzna tego za nic podejrzanego.

Znalazłam się w szerokim korytarzu usłanym miękkim dywanem. Wysokie okna do samej podłogi dawały widok na panoramę Miasta. Z lewej również była przeszklona ściana, a wewnątrz zaciemnione pomieszczenie. Wyglądało na salkę obrad. Dalej były drzwi ze znaczkiem przypominającym kabel. Wślizgnęłam się tam i nasłuchiwałam. Pomieszczenie było ciemne, ale mrugały tam czerwone, pomarańczowe i niebieskie światła. Stałam z uchem przy drzwiach dobrą chwilę. Człowiek na schodach najwyraźniej zszedł niżej, bo piętro pozostawało ciche. Obejrzałam się.

Pomieszczenie wielkości komórki wyglądało jak serwerownia. Brzęczące bardzo cichutko maszyny, pulsujące światełka i czarne, płaskie ekrany. Nie bardzo wiedziałam, na co patrzę, ale przeszło mi przez myśl, że może właśnie tu rozdziela się i kontroluje energię elektryczną wytworzoną dzięki pyłowi.

„Może na tym piętrze znajdę więcej wskazówek?” Postanowiłam się trochę rozejrzeć. Ruch oporu zakładał natychmiastową eksterminację Wiedźmy. Bez pytań, sądów i brania na zakładniczkę. Johtaja uznała, że zbyt wiele byśmy ryzykowali.

Wyszłam ostrożnie z „serwerowni” i ruszyłam przez korytarz po tłumiącym moje kroki dywanie. Ściana po lewej znów stała się szklana, z nieprzeźroczystych, jaśniejących własnym światłem luksferów. Za nią znajdował się duży pokój z kręconymi schodami na samym środku. To przypominało mi moje własne mieszkanie z wewnętrznym piętrem budynku. Pomyślałam, że podobnie jak u mnie wejście od górnego piętra może być zamurowane.

Dolne pomieszczenie stanowiło szeroką przestrzeń z równie szerokimi oknami. Przypominało trochę taras. Były tu sofka, krzesło i stolik. W kącie stały zabytkowe biurko i lampa. Poza tym wszystko wyścielał miły w dotyku, miękki dywan. Wspięłam się na górę. Wystawiłam głowę, zaglądając ciekawsko. Uroczy, zagracony pokój niesamowicie kontrastował z całym gmachem Zamku. Miękkie pufki, koce i kolorowe poduszki, różowe mebelki, obrazy ze zwierzętami, kącik dla pieska, a na półkach – lalki. Przy komódce pełnej różnych akcesoriów siedziała ubrana na różowo postać.

„To ona” – pomyślałam przejęta i nieruchoma. Falbaniasta sukienka, utrefione, skomplikowane zaplecione włosy, drobna postura. Terierek spał, oddychając miarowo na kocu obok Wiedźmy. Jeśli uda mi się wychynąć na tyle, aby mnie nie spostrzegli, moje zadanie będzie bajecznie łatwe.

Dotknęłam pistoletu i delikatnie odpięłam go od pasa. Wymierzyłam tak, jak uczył mnie Valko. Stałam licząc własne oddechy, kompletnie nie mogąc się zdobyć na strzał. W dodatku w plecy. Co prawda Hiiri mówiła:

– Jakby ktoś stał ci na przeszkodzie, ale był obrócony plecami – atakuj. To jest twoja przewaga. Nie ma mowy o wahaniu. Strzelasz i już. Albo uderzasz, obojętnie. W zasadzie jesteś tak beznadziejna w walce wręcz, że to może być twoja jedyna szansa – stwierdziła wówczas z typowym dla siebie sarkazmem.

„Hiiri, nie mogę. Johtajo. Ransamie... nie mogę” – myślałam w duchu, przeklinając swoją słabość... Nie, nie słabość. Nie byłam przestraszona ani dezorientowana. Po prostu czułam, że nie powinnam. I wtedy się odwróciła. Czy to przeczucie, czy jakiś dźwięk przykuł jej uwagę? Spojrzała na mnie. Nie miała tym razem pomalowanej twarzy. Może tylko delikatny makijaż, który jednak nie był w stanie ukryć prawdy. Przede mną siedziała dziewczynka. Może dwunastoletnia. Eco była dzieckiem.

Mierzyłyśmy się spojrzeniem, ja wciąż z wymierzoną do niej bronią. Ale ona nie zareagowała. Patrzyła na mnie zdziwiona, ale nieprzestraszona. Wtedy obudził się i rozszczękał piesek. Musiała trącić go dłonią, nie wiem. Nie spuszczałam oczu z jej twarzy. A terierek szczękał na wysokich tonach. Wtedy coś we mnie zaskoczyło i wyrwałam się z odrętwienia. Zaczęłam uciekać. Przeskoczyłam balustradę, jednym susem pokonałam wszystkie stopnie i pognałam do wyjścia, już niemal dopadłam do schodów, gdy z windy zaczęli wychodzić oni. Jeden, za drugim, pracownicy Zamku, ubrani albo w szare garnitury, albo w absurdalne stroje czarnoksiężników, jak je nazwałam kiedyś. Przyszło mi na myśl, że może być im ciężko walczyć w tak niewygodnych szmatkach.

Nie zastanawiałam się nawet nad tym, czy się boję. Mój umysł pracował na wysokich obrotach. Wszystko, co mnie obchodziło w tej chwili, to ucieczka.

– Zatrzymajcie ją – zarządził jeden z czarnoksiężników. Ludzie wokół otoczyli mnie kołem i zacieśniali krąg. Nie dałam na siebie czekać. Rzuciłam się na pierwszą lepszą osobę, usiłując podciąć jej nogi i w ten sposób zrobić sobie wyrwę w pułapce. Z krzyków i harmidru, jaki panował wokół wyławiałam tylko pojedyncze niezrozumiałe dla mnie słowa.

– Nie działa...

– ...przełączyć...

– ...ma broń!

– Podaj...

– ...nie dajcie jej u...

Zaatakowana przeze mnie kobieta zareagowała szybko i pochwyciła moją stopę. Upadłam, przekręcając się trochę w bok, i wyszarpnęłam nogę, kopiąc na oślep. Odturlałam się, wstając natychmiast i odparowując przedramieniem cios. To była moja ulubiona sztuczka. Nie umiałam co prawda dobrze atakować, ale moja wytrzymałość sprawdzała się w obronie. Właśnie

wpadłam na pomysł, żeby przebić się w ten sposób jak taran, gdy coś sprawiło, że utraciłam zdolność jakiegokolwiek ruchu. Stałam w pół zgięta z jedną ręką wyciągniętą lekko do przodu i nie mogłam w żaden sposób się poruszyć. Nawet gałki oczne jakby stężały. Poczułam napływającą panikę. Ludzie odsunęli się. Bezradnie patrzyłam na odsłonięte nagle przejście do wolności. Ale wtedy przed moim obliczem pojawiła się Wiedźma.

Stała, przekręcając ciekawie głowę i wyciągając do mnie swą drobną rączkę. Jak mogłam wcześniej pomylić ją z dorosłą osobą? W zasadzie myślałam, że jest bardzo stara. Dotknęła mnie jak eksponat muzealny, zaciekawiona fakturą wierzchniej powłoki.

– Kto to jest? – zapytała kogoś za moimi plecami. Jej głos był jakby szklisty. Suchy, nieco zdarty. I beznamiętny.

– Sprawdzimy to, panienko Eco. Może panienka iść do siebie.

Eco poszła posłusznie, straciwszy mną zainteresowanie. Pojawił się jeden z czarnoksiężników. Miał ciemną skórę oraz bródkę i wąsy. Naprawdę wyglądał jak czarnoksiężnik. Przyglądał mi się z pogodną, niemal życzliwą miną.

– No, no. Ależ niespodzianka. Przyszedłeś zabić panienkę Eco, prawda? Bardzo nieładnie. – Mężczyzna zacmokał, wyraźnie bawiąc się moim kosztem. – Nie sądziliśmy, że mógłby tego dokonać ktoś z nas. Zaraz nam wszystko opowiesz.

W kilkoro ludzi ułożono mnie do poziomu, wciąż stężała i niezdolną do najmniejszego ruchu. „Jakim cudem się nie udusiłam?” – przeszło mi przez myśl. W zasadzie nie czułam potrzeby wzięcia oddechu. Dziwne. A może paraliż powoduje, że nie odczuwam tego, jak pracują moje organy?

Przeniesiono mnie do sąsiedniego pomieszczenia, przypominającego salę obrad. Ktoś położył mnie na stole. Czarnoksiężnik kiwnął głową i jedna z kobiet przeszukała mnie. W kombinezonie w wewnętrznej kieszeni nosiłam moją kartę identyfikacyjną i mały czarny chip. Nie było sensu zostawiać ich nikomu. I tak z karty mogłam korzystać tylko ja jedna. Poza tym czułabym się niepewnie, gdybym je zostawiła gdziekolwiek. Tak samo nóż, bez względu na strój, zawsze nosiłam gdzieś przy sobie. To były moje rzeczy. Znaleziono mnie z nimi. Nie mogłam nawet zaprotestować, gdy zabrano czarny chip.

– Spokojnie, zaraz ci przejdzie. Niedługo będzie po wszystkim. – Czarnoksiężnik uśmiechał się, zaglądając mi w twarz. Wewnątrz mnie zaczęła rosnąć panika. Wtedy zeszytnienie raptownie zelżało. Mężczyzna pomógł mi się podnieść i posadził na jednym z krzeseł. Obejrzałam się. Przy wejściu stało troje ludzi. Dwoje na zewnątrz, plus jedna kobieta asystująca czarnoksiężnikowi. Siedziałam spokojnie, bo i tak nie miałabym szans na ucieczkę.

– No dobrze. A teraz powiedz, proszę, kto cię do nas wysłał?

Milczałam. Nie było takiej możliwości, abym zdradziła kogokolwiek. Czarnoksiężnik nie wydawał się przejęty moim milczeniem. Usiadł bokiem na blacie stołu.

– Chcemy tylko odhaczyć kilka podstawowych możliwości. To o wiele łatwiejsze i bardziej humanitarne niż prewencyjne palenie całej dzielnicy, więc jak będzie?

Zdjął mnie prawdziwy strach. A więc byliby zdolni, aby w zemście wymordować losowych ludzi? Spójrzmy prawdzie w oczy, zdolni zapewne tak, ale czy im się to opłacało? Może to tylko blef, aby mnie zastraszyć. Milczałam uparcie, a mężczyzna zaglądał mi ciekawie w twarz.

– Panie Torelli, coś mamy – zawołała kobieta, znacząco obniżając głos.

Czarnoksiężnik obejrzał się przez ramię. Okazało się, że do serwerowni obok prowadzą stąd drugie drzwi. Asystentka podeszła i podała mu z powrotem chip. To było szybkie. Nigdy nie miałam okazji sprawdzić, co na nim jest. Pan Torelli chyba dostrzegł w moich oczach ten głód informacji.

– Hola, panienko, a to aby na pewno należy do pani? – zapytał wesoło.

– Tak.

– Taaak? A wiesz, moja droga, co jest na tym chipie? Po co ci on?

Nie chciałam się zdradzić. Im więcej słów i kłamstw, tym bardziej będę tracić na wiarygodności. Powiedziałam krótko:

– Wiem, co na nim jest.

– Nie wiesz – odparł łagodnie czarnoksiężnik i przycisnął coś na swoim przedramieniu. Wierzchnia część odskoczyła, ukazując mechanizm. Patrzyłam na to wielkimi oczami. Proteza? Nie. Ten... Ta osoba nie jest człowiekiem. Rozejrzałam się. Wszyscy wokół patrzyli na mnie spokojnie i z pewną dozą zaciekawienia. Nie wytrzymałam.

– Czy... wy wszyscy?

– Tak, moja droga, tak. Opiekujemy się rodziną panienki Eco od pokoleń. Chronimy ją i teraz jesteśmy jedyną rodziną jej samej. Któż mógłby być tak okrutny, aby podnieść rękę na to bezbronne, niewinne stworzenie?

– Nie jest niewinna – zaprzeczyłam z naciskiem. – Jest odpowiedzialna za morderstwa i kaźnie w Mieście. Nie ma prawa, aby tak postępować.

– Ale jej nie zabiłaś prawda? Twój system ci na to nie pozwolił.

– Wypraliście jej mózg. Jesteście tylko maszynami – uniosłam się złością.

– A ty kimże jesteś? – Pan Torelli uśmiechnął się, bawiąc się moim pistoletem. Po czym strzelił mi w głowę.

Obudziłam się z krzykiem. Machdik przybiegł po chwili, widocznie nadal był w domu.

– Co się stało?! Aio, czemu krzyczysz?

Oddychałam ciężko, zaciskając dłonie na kołdrze. Telepało mną i nie mogłam pozbierać rozbieganych myśli. Spróbowałam zasnąć i przenieść się do Centrum. Nie mogłam. Spróbowałam gdzie indziej. Udało się. Kryjówka we Wschodnim Węźle, w pobliżu Nocnych Wędrowców, w Klanie Wiecznego Ognia... Centrum... nie. Wróciłam do Machdika.

– Nie mogę, nie mogę powrócić do Centrum! Machdiku, coś się stało, coś złego... Oni mnie... Ja chyba... – panikowałam. Machdik usiadł przy mnie i chwycił moje dłonie, starając się uspokoić.

– Aio, już dobrze. Powoli, jesteś tutaj. Nic ci nie jest. Cały czas tu byłeś.

Pokręciłam głową, odzyskując trochę równowagi.

– Machdik, oni mnie zabili. Wiedźma Eco nie istnieje, to tylko mała dziewczynka. To tylko ich marionetka. Wszystkim kierują androidy.

– Poczekaj, powoli. Co masz na myśli? Nie rozumiem, jak to androidy?

– Pamiętasz, co mówiłam wczoraj o panu Charlesie? Nie przypomina wcale maszyny. Ma takie ludzkie odruchy, jest empatyczny, opiekuje się panem Blumenfeldem...

– Blumenthałem chyba...

– No właśnie.

– I oni też są empatyczni? – spytał powątpiewająco.

– Nie. Nie wiem... Machdik, on do mnie strzelił. – Opowiedziałam całe zajście.

– Czegoś nadal nie rozumiem – zastanowił się chłopak. – Co było na chipie? I dlaczego facet powiedział, że to „system” nie pozwolił ci zabić Wiedźmy?

– Nie wiem... Ale masz rację. Chip może być odpowiedzią. Tylko nie wiem, jak go użyć.

– No na pewno potrzeba jakiegoś komputera. Tu takich nie ma.

– Komputera.

– Wszystko jedno. Nawet na oczy żadnego nie widziałem. A któryś z klanów?

Zastanowiłam się. Gdy budziłam się w różnych miejscach, ludzie żyli zazwyczaj dość skromnie, jedyna energia, jaka była im dostępna, to światło i ogrzewanie. Nikt nie czerpał z niej, bo wszyscy się obawiali. To przecież była moc Wiedźmy. Niemniej, Eco tak naprawdę... Tak naprawdę nie ma żadnej mocy. To po prostu dziewczynka. Przykrywka? Dlaczego?

– Kto rządził wcześniej Miastem, przed Wiedźmą?

Machdik był nieco zdezorientowany pytaniem.

– No różnie bywało. Przez długi czas była to po prostu Rada Miasta. Jacyś ludzie z Centrum. Zawsze z Centrum. Nigdy specjalnie się nie interesowaliśmy.

Myślałam gorączkowo. Zaczęłam chodzić po pokoju z kąta w kąt, jakby goniąc własne myśli.

Potrzebowali kogoś, figuranta, kogoś kto będzie stanowił symbol władzy. Aby uzmysłwić klanom, że to nie jest już anonimowa „jakaś tam” Rada Miasta. To konkretna osoba, z konkretną mocą. Kogoś takiego można się bać. Można podziwiać i stworzyć mu legendę. Moc, jaką władała Wiedźma była tym bardziej niedostępna. Można ją było skromnie dzielić i wydzielać... Żeby wszystkim się wydawało, że nie można marzyć o niczym więcej. Zatem da się... W rzeczywistości Wiedźma nie posiada magii. Liczy się tylko wiara w nią, którą zasiano w umysłach ludzi jako domysł. Ale energia istnieje, skądś jest pozyskiwana. Możliwe, że dokładnie tak, jak przedtem.

– Skąd czerpano energię, zanim... Przed klątwą? Przed pocałunkiem Boga?

– No, jak to. No z elektrowni. A skąd? – Machdik wyraźnie się pogubił. Śledził tylko trasę mojego kursu po pokoju.

– A gdzie ona była? – Zanim jednak zdołał mi odpowiedzieć, olśnienie spłynęło na mnie jak letni deszcz. – Wiem... Machdik, wiem gdzie to jest. Wiem, gdzie powinnam pójść. – Sięgnęłam do kieszonki w kurtce i wyjęłam stamtąd czarny chip. – Muszę się dostać do Centrum. Na pieszo.

– Zaraz na pieszo. – Machdik spojrzał łobuzersko spod grzywy ciemnych włosów. – Mamy rokony.

Zatkało mnie na moment.

– O nie. Nie. Nie mogę. Są zbyt cenne. Może pociąg?

– Jaki pociąg?

– Do Krainy Gier można było dojechać kolejką. Może stacja byłaby bliżej?

– A wiesz, w którą stronę iść na ten pociąg?

Zaprzeczyłam. Znałam mniej więcej układ klanów i potrafiłam sobie wyobrazić z grubsza mapę Miasta. Ale trasa kolejki za bardzo się wila, nie wiedziałam, któredy przebiegają tory. Jazda rokonem była bardzo kusząca, ale to w Klanie Psa byłoby potraktowane jak przestępstwo. Kradzież tak cennej rzeczy...

Machdik widział, że się waham.

– Słuchaj, to ważne, prawda?

– Tak. Nie mam pewności, ale wolę założyć, że nie wolno mi tego zignorować. Ten gość – Torelli – raczej mówił prawdę, nie mógł mnie jedynie podpuszczać, skoro za chwilę i tak chciał mnie zabić.

– Tylko że... jesteś tu.

– I całe szczęście. Nie wiedział przecież o mojej zdolności.

– Ale czy będąc tu... Czy to w ogóle liczy się jako... Czy ty w ogóle umarłaś? Z tego, co opowiadałaś, posiadasz ciało w każdym miejscu, w którym się budzisz. W takim razie utraciłaś tylko ciało. Dla mnie podstawową zagadką jest to, że masz ich kilka. Dlaczego?

Zacisnęłam szczęki, milcząc przez moment.

– Do tej pory myślałam – zaczęłam ostrożnie – że poprzez sen mój umysł wędrował do różnych miejsc i tam tworzył coś w rodzaju hologramu... Odpowiednika ciała. No wiesz, umysł nie może sam się gdzieś pojawić. Więc powstawało coś, w czym mógł się osadzić. Ale teraz... Nie, muszę wiedzieć na pewno. Myślę, że chip zawiera informacje, o których ludzie zapomnieli. Coś, o czym i ja powinnam wiedzieć... – zamilkłam.

Machdik zacisnął znacząco mi dłoń na moim ramieniu i pochylił się, mówiąc cicho, ale z naciskiem:

– Jedź.

Był tak poważny i zdecydowany, że to rozwiało moje własne wątpliwości. Pobiegliśmy do garażu rokonów. Usiadłam na pierwszym z brzegu, oceniając, co w ogóle mam przed sobą.

– Nie mam pojęcia, jak tym jeździć.

– Tu masz sprzęgło, dociskasz je przy każdej zmianie biegów. Tu jest gaz, a po drugiej stronie hamulec – wyjaśnił. – Biegi zmienia się stopą, spójrz. Dobrze. Rokony są stabilne, ale niezbyt szybkie. Za to przejadą przez najgorszy teren.

Zamarkowałam kilka ruchów, ćwicząc koordynację. Miałam nadzieję, że pójdzie mi lepiej niż przy walce wręcz. Kiwnęłam głową na znak, że jestem gotowa.

– Na trzy. Raz, dwa... Trzy! – Machdik pchnął odrzwia garażu, a ja jednocześnie odpaliłam silnik i ruszyłam przed siebie. Na szczęście rokon zaskoczył i z wyciem przejechałam przez plac, kierując się ku wyjazdowi z wioski, tuż koło domku babki Szechny. Trochę mną mimo wszystko szarpało, bo niezbyt umiejętnie wciskałam gaz. Rozsypywałam wokół piach.

– Hej! Stój! – usłyszałam za plecami. Zostałam dostrzeżona. Ludzie zaczęli zbiegać się i ktoś zaczął mnie gonić. Spanikowałam i wrzuciłam nie ten bieg, motor zarzęził i zwolnił.

– Dokąd to?!

– Złodziejka!

– Natychmiast zatrzymaj rokona!

– Stój! – krzyczeli ludzie. Wcisnęłam głowę w ramiona. Nawet babka Szechna wyszła ze swojej chatki. To jej spojrzenie zmroziło mnie najbardziej. Poprawiłam biegi, docisnęłam gazu. Ktoś próbował sięgnąć do mnie i ściągnąć z motoru, ale skrzyłam gwałtownie, podpierając się nogą, gdy maszyna przechyliła się zanadto.

Babka stanęła ze swoją laską, rozstawiając ręce i zagrządzając mi przejazd. Nie chciałam w nią wjechać, ale każda zwłoka mogła spowodować, że ludzie zrzucą mnie z rokona.

„Proszę” – pomyślałam. „Proszę, przepuść mnie”. Wbiłam w nią spojrzenie, sięgnęłam błękitu jej oczu i starałam się całą sobą wyrazić prośbę. Mierzyłyśmy się spojrzeniami. Babka poruszyła ustami i odsunęła się w ostatniej chwili. Nie słyszałam jej, ale domyśliłam się, co chciała powiedzieć. Przejechałam w tym momencie obok niej.

„Wróć” – mówiła babka.

Wyjechałam z wioski, za mną ciągnęły się wołania ludzi.

Jechałam największą prędkością, jaką się dało, początkowo tą samą ścieżynką, która prowadziła do Klanu Drzew, ale zamiast skrócić, pojechałam prosto. Teren był bardzo nierówny. Niekiedy natrafiałam na spękane fragmenty szosy. Często przejeżdżałam na przełaj. Rokon świetnie się sprawdzał. Raz zdarzyło mi się, że zapędziłam się w kozi róg. Musiałam odwrócić motor, prowadząc go. Odpalałam go z większym trudem niż za pierwszym razem, kilka razy pomyliłam biegi.

W końcu jednak udało mi się dotrzeć na obrzeża Centrum.

Wjechałam od strony, której nie znałam. Trochę się gubiłam. Zrobiłam duży łuk, bo pomyliłam kierunki, aż znalazłam się w dzielnicy, którą kojarzyłam. Dość prędko odnalazłam miejsce, w którym obudziłam się po raz pierwszy w Centrum. Elektrownia wyglądała na zespół porzuconych budynków. Czemu jej jakoś nie wykorzystano? Czemu nie zużyto cegieł, czemu nie zbudowano kolejnej bogatej dzielnicy? W Centrum było trochę pustych hangarów i rozpadających się budynków. Ale nie stanowiły one dużej powierzchni ani nie znajdowały się w zbyt korzystnym położeniu. Elektrownia natomiast była wielka i to pod samym bokiem Zamku. Z tego miejsca bez trudu byłam w stanie ujrzyć jego strzelistą strukturę, górującą nad innymi budowlami.

„Gdzieś tam jest moje drugie ja. Martwe” – przeszło mi przez myśl. Ale nie było czasu na rozterki na środku ulicy. Wyłączyłam silnik i dalej prowadziłam jednośląd. I tak martwiło mnie to, że zwabię hukiem motoru jakichś ciekawskich. Wprowadziłam motor pod osłonę jednej ze ścian.

Aby wejść, rozsunęłam zbutwiałe deski osłaniające okno. Znalazłszy się w środku, zablokowałam przejście dla niepoznaki. Miałam niewiele czasu do zmroku, ale i tak światło dnia tutaj nie docierało. Szukałam po omacku, licząc na to, że odnajdę dawno nieużywane maszyny. W ten sposób natrafiłam przypadkiem na włącznik światła. Teraz było prędej. Kolejno przeszukiwałam jedno pomieszczenie po drugim. Zagłębiłam się w budynku, docierając w końcu do zamkniętych drzwi. Mimo zabitych dechami okien, w środku wszystko

było pootwierane. Jeśli te jedne drzwi zastałam zamknięte, musiały coś skrywać. Trzymały mocno i już się zastanawiałam, czy ruszyć na nie taranem, czy może spróbować oberwać zamek, gdy spostrzegłam, że zamiast dziurki od klucza koło klamki znajduje się wąska szczelina. W przypływie nagłego impulsu wyciągnęłam chip i wsunęłam go w szparę. Coś kliknęło, więc nacisnęłam klamkę i już bez trudu weszłam do środka. Wyjęłam kwadracik pozostawiając wejście otwarte.

W centrum stał ośmiokątny pulpit-wyspa. Dostrzegłam kilka malutkich lampek, świecących tu i ówdzie. Maszyny musiały być czynne. Przy drzwiach odnalazłam włącznik światła i pomieszczenie się rozjaśniło. Po bokach również znajdowały się komputery, maszyny, trochę szafek i kilka krzeseł.

Podeszłam do środkowego panelu, zaczęłam go obchodzić. Było tam osiem ekranów i przy każdym pulpit kontrolny, a z prawej strony dodatkowa konsola z przyciskami, pokrętkami i kilkoma wejściami. Jedno z wejść było wąskie i tam wsunęłam mój chip. Ekran rozjaśnił się i zaczęły się na nim wyświetlać informacje:

Typ androida: Artificial Intelligence wersja A – AIA

Twórca: Alan T. Ring

Rodzaj: System bezpieczeństwa...

Następnie dane sprzętowe, pojemność, ilość egzemplarzy... 6.

Przebiegłam wzrokiem akapity naukowych danych, które mnie nie interesowały. Dalej jednak natrafiłam inny zbiór tekstów. To były artykuły, notatki i wpisy do notatnika twórcy A.T. Ringa. Wchłaniałam litery łączywie jak spaghetti. Zaczęłam od fragmentu wywiadu, który opublikowało czasopismo „ST”.

***Tori Pinkless:** Profesorze, nie wątpię, że czytelnicy zgodzą się co do faktu, jak fascynującą i nowatorską dziedziną jest robotyka. Jednakże proszę o zdradzenie: co pana uwiodło w tej gałęzi nauki?*

***Alan T. Ring:** Maszyny od lat ułatwiają nam życie. Nie wyobrażamy sobie już codzienność bez pojazdów do prędkich podróży, bez hologramów przekazujących wieści ze świata, bez lodówki, ekspresu do kawy, elektryczności... Wspaniałe nowatorskie urządzenia, coraz większe udogodnienia, coraz nowsze pomysły.*

***T.P.:** Nie sposób zaprzeczyć. Nie ma już chyba firmy budowlanej niezaopatrzonej w egzoszkielety, żaden niewidomy nie zrezygnuje z holowizjera zastępującego wzrok, kto*

sparaliżowany godziłby się w dzisiejszych czasach na egzystowanie w pozycji leżącej, skoro ma do dyspozycji maszyny?

A.T. Ring: *W rzeczy samej. A przecież mówimy jedynie o mechwspomagaczach. Od półwiecza rozwój robotyki znacznie się posunął. Wśród lekarzy na zakaźnym nie obyłoby się już przecież bez pielęgniarek typu robo-nurse. W kopalniach odwiertów dokonują mechaniczne krety (czy jak nazywa je mateczna firma – robohokuro), człowiek jedynie ich dogląda. Na wysokościach pracują mekaleddjury – droidy poruszające się jak stawonogi. Wszystkie one są precyzyjne i dokładne. Wreszcie docieramy do androidów –popularnej idei kopii człowieka.*

T.P.: *No właśnie, androidy już od jakiegoś czasu funkcjonują w naszym społeczeństwie. Oswoił się z ich obecnością. Ale to jeszcze nie czasy, gdy każdy może sobie pozwolić na swojego prywatnego androida. To chyba wciąż udogodnienie dla najbogatszych?*

A.T. Ring: *Nie zgodzę się z tym. Powoli dochodzimy do etapu, że android staje się równie popularny i potrzebny co odkurzacz. Już od dekady rządy wielu krajów umożliwiają składanie wniosków o androida domowego, a międzynarodowe dotacje wspomagają rozwój tej gałęzi naukowej i (już można rzec) przemysłowej.*

T.P.: *Mimo iż androidy to pański konik, pracuje pan także, profesorze, jako główny konsultant i inżynier w koncernie energetycznym.*

A.T. Ring: *Tak, w mojej pracy naukowej zazębiły się dwa aspekty. Fascynująca mnie od zawsze robotyka, chęć stworzenia androida doskonałego oraz zagadnienie, stosunkowo niedawno okrytej energii odnawialnej – pyłu...*

Dalej notatka dotycząca kolektora pyłowego:

Kolektor pyłowy – urządzenie do kondensacji i konwersji energii pyłowej na energię elektryczną. Pył zasysany do wnętrza kolektora przez absorber pyłowy jest sztucznie kondensowany w formę plazmy pyłowej i prowadzony dalej do szeregu urządzeń przechwytyjących jej promieniowanie i przekształcających w energię elektryczną.

Podział: kolektor pyłowy prosty, kolektor pyłowy z generatorem, kolektor pyłowy próżniowo-skupiający, kolektor pyłowy trójfazowy...

Otworzyłam kolejny dokument, który stanowił nieco chaotyczne notatki A.T. Ringa, coś jak dziennik czy pamiętnik. Najstarszy wpis był urwany.

...należy zacząć od początku, a zatem od pytania: czym jest pył? Nie jest to produkt, który jak można by sądzić, należy w jakiś sposób wydobywać. Sytuacja ma się bardziej, jak w przypadku pozyskiwania energii słonecznej, gdyż w istocie pył sam w sobie jest energią. Jest to energia zupełnie nowo odkryta, niedostrzegana wcześniej przez ludzkość, a przecież istniejąca od zawsze i wszędzie. Nie ma znaczenia, gdzie zbuduje się tak zwaną elektrownię. A sam budynek, mimo iż tak nazywany, przede wszystkim mieści laboratoria, magazyny, biura, serwerownie, no i najważniejsze – kolektor pyłowy. Jego funkcja to wylawianie wszechobecnego pyłu, filtrowanie i kondensacja.

Pył zaobserwowano dzięki roślinom. Drzewa, nazywane przez fizyków przepustnicami pyłowymi, pozwalają na swobodny przepływ pyłu wewnątrz swych struktur. W przeciwieństwie do ludzi i części zwierząt, które tworzą coś jakby barierę przeciwpylową. Swobodnie poruszamy się w pyłe, nie naruszając jego struktury, ani też nie ulegając jego bezpośredniemu wpływowi. Roślinność zaś przeciwnie. Również owady i część prymitywnych form nie wykazuje obecności barier przeciwpylowych. Do czego jednak wykorzystują one pył? Jak dotąd wciąż nie wiadomo. Istnieje kilka teorii, żadna jednak nie doczekała się potwierdzenia.

Dzięki tym odkryciom udało nam się dostrzec, przechwycić i skondensować pył, wówczas uaktywnia się jego ogromna energia. Nie jesteśmy w stanie trwale go gromadzić. Plazma pyłowa jest wysoce niestabilna i maszyna daje jej upust, rozpraszając ponownie w pył. Kolektor działa nieprzerwanie dzięki stałemu przepływowi pyłu.

Od lat robimy też testy na bezprzewodowe ładowanie. Najnowszym pomysłem jest podłączenie portu ładującego bezpośrednio do kolektora. Zaprojektowałem mały akumulator z przekątnikiem, który wychwytuje Port. Próby przebiegły pozytywnie. Akumulator ładuje się na odległość, nawet z dystansu pół kilometra. Dążę do tego, aby androidy pracujące w elektrowni i każde inne urządzenie nie potrzebowały cotygodniowego ładowania, a jedynie wychwytywały obecność kolektora i korzystały z całego procesu...

Dalsza część pliku, jak i kilku następnych była uszkodzona. Ale natrafiłam na zestaw najmłodszych notatek:

Pył jest delikatnym tworzywem i dobrze, żeby zawsze ktoś nad nim czuwał. Nadal badamy jego właściwości. Należy do tych zdobyczy, których używamy, rozumiejąc zaledwie skrawek ich działania. Tak jak niegdyś ołów zatruwał Rzymian, a papierosy miały być nieszkodliwe – pył może się okazać prawdziwie niebezpieczny. Jednak nawet jeśli tak jest, korzyści z jego stosowania są na razie niewspółmiernie wyższe niż jakiekolwiek ryzyko...

...stworzyliśmy z Carthym nowy typ androidów. Mają zostać wykorzystane, jako pomocnicy w elektrowni. Mathis Carthy twierdzi, że nasze androidy są już jeden krok za ludźmi. Zgadzam się do pewnego stopnia, choć ten krok to przepaść. Ile razy nie wpisać w kalkulatorze dwa plus dwa zawsze da cztery. Można powtarzać tę czynność w nieskończoność, a maszyna nigdy się nie pomyli. Z ludźmi jest odwrotnie. Nasza omylność i niepewność każe nam podążać ścieżką na ślepo, dając tyle możliwości, ile możliwych pomyłek jesteśmy w stanie popełnić.

...Przemyślałem swoje ostatnie słowa. Wprowadzając tyle danych w oprogramowania androidów, z pewnością popełniliśmy jakieś błędy. Chcemy, aby androidy wspierały ludzi swoją nieomylnością, a zarazem ta nieomylność może być naszą zgubą. Dlatego zacząłem tworzyć system, który nazywam po dawnemu „antywirusowym”. Ma zwątpić w bezsporność, obiektywizm, neutralność i zareagować w wypadku pomyłek. Nie chodzi tu o prawidłowe oszacowanie danych, a pokierowanie się tym, czym kierowałby się człowiek w ocenie sytuacji.

...Rozeszły się paskudne plotki dotyczące niestabilności i promieniotwórczości pyłu. Panujemy nad tym, Urządzenie jest monitorowane i wszelkie zaburzenia są wcześniej diagnozowane i naprawiane. Ale żadne zapewnienia naukowców i specjalistów nie wygrają z taką antyreklamą. Ludzie panikują. Rząd skłania się ku opinii publicznej i jest głuchy na nasze głosy – tych, którzy mają doświadczenie z pyłem od lat. To tak, jakby dowiedziono w badaniach nad nowoczesną rasą psów, że są one zdolne zabijać. To naturalnie przeraża, jednak miłośnicy i trenerzy psów wiedzą jednak, że choć niebezpieczeństwo istnieje, są to mądre i niesamowite stworzenia. Tak się czujemy, gdy krążą nad nami takie opinie...

Kilka programów medialnych wyraziło swój protest, co wywołało sporo demonstracji. Część dobrowolnie postanowiła zrzec się energii na rzecz życia survivalowego. Rząd nie zdecydował się na szczęście na zlikwidowanie elektrowni. Jeszcze. Całe miasta działają na tej bazie. Uzależniliśmy się od pyłu bardziej niż dzieci od matek. Carthy zaciera ręce i mówi, że już nie ma odwrotu. Nasi koledzy podzielają tę opinię, ale mniej entuzjastycznie. Szepczą po kątach. Mathis J. Carthy jest uważany za fanatyka. To świetny naukowiec. Obawiam się tylko, że czasem zapomina, po co to wszystko... Powinniśmy kontynuować pracę nad pyłem, aby zminimalizować ryzyko.

...Carthy oszalał. Do czegoś doszedł, nie wiem dokładnie, ale brzmi to groźnie. Uważa, że pył można kontrolować lepiej, bardziej wszechstronnie. Sądzi, że umysł ludzki jest w stanie w sposób plastyczny kreować...

Ten wariat chce to zrobić. Zamknął się w głównym zworniku i lada dzień może dojść do katastrofy. Z troski o ludzi daliśmy informację do mediów. Nie wiedzieliśmy, co się właściwie może stać, więc oznajmiliśmy, że obawiamy się wybuchu elektrowni, bo maszyny wykazały

przeciek. To bzdura, nawet gdyby system do tego dopuścił, nie zdążylibyśmy na żadne działania. W każdym razie rząd postanowił, że do schronów poszli z pierwszeństwem ci, którzy odpowiednio posmarowali łapy. Katastrofa. Nie da się sprowadzić tam wszystkich. Za mało czasu na ewakuację...

Postanowiłem rozmieścić w całym Mieście egzemplarze mojego systemu antywirusowego. Mój android pochłania jednak za dużo pamięci, a ja mam za mało czasu. System musi dokonać samoregulacji. Przypuszczam, że minie sporo czasu nim się odpowiednio skalibruje i wytworzy połączenia wewnątrzmodułowe. No i musiałem podzielić ją na wiele egzemplarzy i w zasadzie nie mam pojęcia, czy będzie działała w ten sposób. W każdym rdzeniu wbudowałem akumulator z przewodnikiem pyłowym, takim jak w prototypowych androidach. To mój nowy projekt, mam nadzieję, że nie ostatni...

Carthy, ten dureń, puścił impuls. Początkowo twierdził, że to właśnie było jego celem, ale chyba kłamie. Efekt przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania. Miasto w panice. Ludzie wiją się na ulicach jak w konwulsjach. Widziałem straszne rzeczy. Ktoś zaczął porastać futrem, ktoś biegł cały w płomieniach, podpalając, krzycząc i nie umierając. Ciała przechodzą deformacje. Obaj z Carthym byliśmy na początku strumienia impulsu, im bardziej się rozchodził, tym gorzej. Ale i tak czuliśmy, że coś jest z nami nie tak. Mathis ma duszności, pluje krwią, ja powoli tracę wzrok. Te ostatnie notatki nagrywam już głosowo. Nie mogę przestać, to nasza spowiedź. Carthy'ego i moja, bo czuję się nie mniej odpowiedzialny. Mogłem jakoś go powstrzymać, ale chyba w głębi ducha sam byłem ciekaw efektu.

Nastąpił gwałtowny wyrzut pyłu, co podzialało na organizmy żywe i urządzenia. Skondensowana plazma pyłowa rozprysnęła się, tak jakby wybuchła, i w reakcji łańcuchowej zaczęła oddziaływać na wszelkie delikatne struktury. Roślinność przetrwała go w zasadzie bez uszczerbku, po prostu przepuściła wiązki pyłu tak jak zawsze. Co dziwniejsze drobne urządzenia albo się spaliły, albo zafiksowały chwilowo. Dane się zresetowały. Straciliśmy wszystko, co było w naszych komputerach. Posiadamy tylko dokumenty wcześniej wydrukowane, albo pisane ręcznie jak ten notes. Ludzie i zwierzęta w bliskim kontakcie z falą eksplozji (jak można by nazwać gwałtowny wyrzut pyłu) doznali silnego uszczerbku na zdrowiu. Ludzie oddzieleni pewną odległością zaczęli natychmiast mutować. Najłagodniej wybuch zniesli ci, co zeszli do bunkrów. Część zwierząt zdechła, część przejęła podobne defekty co ludzie, a niektóre okazały się zupełnie odporne.

Moja wstępna teoria jest następująca: pył w tak silnej fali rozniósł wszelkie blokady, które organizmy żywe tworzyły przeciw niemu. Pył dostał się do struktur molekularnych i umysłowych. Stąd mutacje i wynaturzenia.

Koszmar wydarzył się także w pewnej odległości od Miasta. Wybuch jakby się rozpędzał. To nie epicentrum stanowiło najsilniejszy punkt destrukcji. To rosnący dystans. To, co spotkało żywych poza granicami Miasta... w zasadzie nie można ich już nazwać żywymi. Szalenie niebezpieczni. Zginęli wszyscy, którzy podjęli wyprawy poza miasto. Ktoś rzucił termin dooies i tak się przyjęło. I teraz mimo strachu nikt nie ośmielił się wyłączyć kolektora, gdyż podtrzymuje on elektryczność na ogrodzeniu, które jak się okazało, w jedyny skuteczny sposób powstrzymywało dooies...

Koordinujemy ochronę Miasta. Straciliśmy łączność ze światem. Przestały działać holo, telefony, internet... Ludziom mówimy, że elektrownia jest odłączona, ale to nieprawda. Nie ma zastępstwa energii, nie mamy od dawna kolektorów słonecznych ani gazociągu. Nawet nie ma jak zbudować elektrowni węglowej, to nieopłacalne. Mimo wszystko pył nadal się sprawdza.

To nie koniec. Mutacje postępują. Panuje chaos.

Carthy podupada na zdrowiu, w ciągu kilku dni stał się wrakiem człowieka. Sądzę, że także ma wyrzuty sumienia. To wszystko z naszej winy. Myśli, że da się powstrzymać to, co już się stało. To tak absurdalne, niemożliwe. Ale ta myśl opętuje go jak idee fixe. I mnie również. Cofnąć czas. Oto, czego nam brakuje.

Carthy wpadł na pomysł, że pošle kolejny impuls – przeciwiimpuls. Coś, co przynajmniej powstrzyma dalsze mutacje.

Chciałbym podać coś lepszego, ale nasze obliczenia wydają się właściwe. Przynajmniej prawdopodobne. Więc zdecydowaliśmy się na to. Posyłamy przeciwiimpuls.

Tym razem ostrożniej, oszczędniej. Nie chcemy powtórzenia resetu danych. Boimy się. Impuls jest zbyt mały, by objąć całą przestrzeń zniszczeń. Dociera tylko do krańców Miasta.

Obserwujemy.

Miasto stabilne. Wygląda to jak sąd ostateczny. Ludzie wychodzą ze schronów. Strach, odraza.

Rząd nakazuje izolację kolejnych dzielnic Miasta.

Prawie nie widzę. Carthy nie jest żadnym wsparciem, jego oddech brzmi jak stary traktor. Jest na skraju wyczerpania.

Stało się coś jeszcze. Nasze androidy się zmieniły. Wszystkie roboty pracujące w ośrodku, jak również pozostałe... One zyskały świadomość! Ich pamięć się zresetowała, ale zyskały coś

niemożliwego do osiągnięcia tylko algorytmami i pasmami danych. Nie zauważyliśmy tego od razu. Kiedy sytuacja trochę się uspokoiła, kilkoro z nich przejęło kontrolę nad ośrodkiem. Wiedzą, że to my popełniliśmy błąd...

A sądziliśmy, że już gorzej być nie może.

Mój system... Carthy wie.

Odciąga uwagę, abym mógł się wymknąć. Nie sądzę, aby dane mu było to przeżyć.

Te notatki to cała prawda o tym incydencie. Zamierzam je przepisać i skopiować na wszystkie egzemplarze mojego systemu. Staram się je ukryć, nie chcę, aby pozostałe androidy je znalazły. Mam nadzieję, że któryś z egzemplarzy systemu przetrwa. Mają opóźniony zapłon aktywacyjny, dane muszą się zgrać i zsynchronizować. Wszystko przez ten pośpiech. Teraz jednak działam w dużej perspektywie. Mam nadzieję, że w ten sposób jakoś odkupię swoje błędy.

Niech to zadziała.

Gapiałam się w tekst, czując, że gdybym miała kanaliki łzowe, płakałabym. Z pewnością da się to zamarkować nawet u androida, ale mój twórca, Alan T. Ring, widocznie nie uznał, że będą mi potrzebne. Czułam smutek, którego nie umiałam wyrazić. Wszystko to... prawda o mnie samej nie zdziwiła mnie aż tak bardzo. Ale żal był nie mniejszy. To jak spodziewać się nieuleczalnej choroby i zobaczyć przed sobą wyniki badań.

Wszystko natomiast stało się jasne. Cała moja pamięć dotycząca rzeczywistości, była systemem wgranym mi przed wybuchem. Jestem jak pan Charles. Dlatego nie posiadałam żadnych własnych wspomnień w przeciwieństwie do wiedzy ogólnej, będącej zapewne zbiorem spisanych przez Alana T. Ringa oderwanych informacji. Moja wytrzymałość brała się z odpowiednich struktur i materiałów, z jakich zostałam zrobiona. Nie męczyłam się fizycznie, a jedynie odczuwałam potrzebę snu, tudzież raczej zmiany ciała, które w prędkim sposób przechodziło regenerację energetyczną. Nie pociłam się, nie płakałam. Mogłam jeść, ale przeważnie i tak o tym zapominałam. Nie odczuwałam głodu. Zwracałam wszystkie związki odżywcze, dla mnie w istocie zbędne. Moje serce nie biło, a uderzenia w piersi były tylko sztucznym efektem dla podtrzymania realności produktu. Oddech był również tylko symulowany, w rzeczywistości mogłam wstrzymać go na dowolnie długi czas. Dlatego paraliż, jakim potraktowano mnie w Zamku Wiedźmy, zadziałał. Po prostu unieruchomiono mnie, co zapewne byłoby niemożliwe w stosunku do człowieka. Może gdybym była żywa, zabiłoby mnie.

Uszkodzenie głowy przez wystrzał z pistoletu uniemożliwiło mi powrót do tamtego ciała. Ale mój umysł... moje oprogramowanie wędruje swobodnie pomiędzy egzemplarzami mojego wizerunku. Było mi przykro. Nie jestem prawdziwa. Nie jestem osobą. To tylko... Jestem czymś. Moje emocje to zaprogramowane reakcje na stres, wzruszenie, radość... Nic dziwnego, że mój program trwał tyle lat w uśpieniu. Przetrawienie tylu informacji i konfiguracji musiało być ogromnie czasochłonne...

Wszystkie te myśli powodowały we mnie rozłam. Jednocześnie coś w środku mnie analizowało dane, a druga część chciała po prostu zniknąć, rozpaść się. Usiadłam na podłodze pod pulpitem i schowałam głowę w ramionach. Trwałam tak... sama nie wiem, jak długo. Było mi wszystko jedno. Może rok? A może minutę. W końcu jednak część analityczna wygrała. Moje oprogramowanie nie pozwalało na bezradność i bezczynność.

Powróciłam do lektury. Znalazły się tam jeszcze dane dotyczące samego pyłu. Jego właściwości, zastosowania. Ring musiał skopiować również notatki swojego kolegi. A także informacje dotyczące wysyłanych impulsów.

„Niedobrze” – dotarło do mnie. Torelli i reszta mają jeden z chipów. Zatem w tym momencie z pewnością już wiedzą, że mam zapasowe ciała. Że będę działać przeciwko nim. Przez cały czas w Centrum funkcjonowałam jako Sydonia. Ale może znajdą mnie po danych z karty identyfikacyjnej. Zwłaszcza jeśli prześledzą ślad płatności kartą. Zatem Karan, Louise, Hayley i reszta są w niebezpieczeństwie. „Mam mało czasu. Muszę ich ostrzec. A potem...”

Przez chwilę rozważałam to wszystko w swego rodzaju otępieniu, a następnie jakby coś zaskoczyło w moim umyśle. „Skanowanie problemów zakończono” – pomyślałam złośliwie pod własnym adresem, olśniona tym, co należało zrobić.

Wyjęłam chip i ruszyłam do wyjścia. Czas wypełnić powierzone mi zadanie.

ROZDZIAŁ 10. Ci, którzy mają moc

Poranek. Głuchy odgłos kroków na schodach poderwał wszystkich w pomieszczeniu. Pukanie. Hiiri stanęła przy drzwiach, Karan z Ransamem schowali się za kanapą. Wszyscy trzymali w pogotowiu broń. Aia długo nie wracała. Zbyt długo.

Wczorajszy wieczór przyniósł mróz i takie też były nastroje. Najbardziej lodowatą aurę roztaczał Ransam spięty i blady. Dawno odczekali umówiony czas zgodnie z ustaleniami Johtai. Dawno minął też czas na ewakuację. Wynieśli jedynie chorych. Logiczne, jeśli przyłapano Aię, nie powinno ich tu być. Ransam uparł się nadal czekać. Przedłużające się chwile były powolną torturą. Bo skoro jeszcze nie ma tu milicji, to może nie wiedzą... A skoro tak, czemu nie wraca?

Pukanie powtórzyło się. To był znak. Hiiri otworzyła drzwi.

– Słuchajcie, bo nie będę dwa razy powtarzać. – Weszła do pokoju szparkim krokiem, powodując zbiorowe ochnięcie będące wyrazem długo wstrzymywanego napięcia.

– Aia! – Ransam zeskoczył ze schodów jednym susem, przeleciał przez pokój i zamknął dziewczynę w uścisku.

– Co tak długo?! – odezwała się zrzędlawie Hiiri.

– Ja też się cieszę, że cię widzę... – Aia wyglądała na zmęczoną. Jej zwykle pogodna twarz była ściągnięta i stężała. Zmarszczyła brwi, nadając spojrzeniu dość odpychający wyraz.

– Najważniejsze, że nic ci nie jest... – zaczął pokojowo Ransam. Aia wyswobodziła się z jego uchwytu, odpychając go delikatnie na wyciągnięcie ręki. Lecz bardziej na dystans zatrzymało go jej stalowe spojrzenie.

– Właśnie, że nie. Zastrzelili mnie. To inne ciało. Przyjechałam tu z Klanu Psa. Słuchajcie, proszę, i nie przerywajcie mi. To ogromnie ważne. Musicie prędko stąd wiać. Księżycowa Wiedźma nie jest tak naprawdę naszym wrogiem. Albo raczej... W tej rozgrywce jest już nieistotna.

Jednym ruchem dłoni przerwała wszelkie protesty i kontynuowała.

– Wiedźma jest małą dziewczynką. Człowiek wychowany przez androidy. To z nimi mamy problem. Eco została pozbawiona empatii i moralności. Może to choroba, a może oni to sprawili. Również oni utwierdzają ją i nas w przekonaniu, że ma władzę nad pyłem, że ma w ogóle jakąkolwiek moc. Nie wierzę w to. To nieprawda. Pył od dawna był źródłem energii, wykorzystywanym przez ludzi. Po wybuchu Elektrownia nie uległa zniszczeniu. To zasadniczo nawet nie był wybuch, tylko szaleństwo pewnego naukowca. Elektrownia nadal działa i zapewnia energię w Mieście. Podtrzymuje również sygnał ochronny izolujący Miasto.

Wszystkie sztuczki, jakich rzekomo dokonywała Księżycowa Wiedźma były tylko grą dla podtrzymania jej wizerunku i strachu ludzi. Większość zjawisk – na przykład człowiek, który mimo ran nie krwawił, były wywołane przez narkotyki. Syntetyzują ich wiele. Karan został naszprycowany nimi, aby ogarnął go bitewny szal na arenie Krainy Gier, a później pomogły mu zapomnieć o wszystkim.

Ransam rzucił przyjacielowi niespokojne spojrzenie. Karan wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować. Hiiri przyglądała się Aii z dziwną miną, lekko przekrzywiając głowę.

– Zatem – podjęła Aia po małej pauzie – celem jest unieszkodliwienie androidów. Ludzie powinni sami o sobie stanowić, nawet jeśli robią to chaotycznie. Zamierzam wam to umożliwić, przedtem jednak muszę załatwić kilka spraw. Uważam, że klany nie powinny się izolować. Jest wielu, którzy potrzebują pomocy, inni zaś są skłonni się nią dzielić, jeśli tylko pokazać im jak. Postąpicie, jak uważacie, ale na waszym miejscu, rozważyłabym współpracę.

Dziewczyna zamilkła na chwilę, wodząc wzrokiem po twarzach.

– To trochę... niespodziane co mówisz...

– Trochę? To jak w pełnym pędzie zderzyć się ze ścianą – zauważyła kwaśno Hiiri. – W zasadzie niespecjalnie chce mi się wierzyć.

– Nie musisz – wycodziła Aia i minęła ją, kierując się w stronę schodów. – Żadne z was nie musi. Niby czemu, prawda? Logicznym byłoby odrzucić wszystkie te nedorzeczne słowa i dalej bawić się w podziemie...

– Aio! – głos Karana sprawił, że zatrzymała się na pierwszym stopniu. – Nie złość się, daj nam chociaż ochłonąć...

– Ochłaniajcie sobie do woli. Powiedziałam, co chciałam, teraz ruszam dalej, naprawić jeden błąd... I kilka innych.

– Czego od nas oczekujesz? Co zamierzasz? Ścigają cię? Wyjaśnij nam więcej... – Ransam ledwo nad sobą panował. Wyglądał na kogoś, kto nie wie, czy się wściec, rozplakać czy położyć spać.

Aia uniosła brwi, okazując zdziwienie.

– Czego oczekuję? Niczego. Ani nie jestem waszym przywódcą, ani tak naprawdę nikim istotnym. Zadanie okazało się w dużej mierze porażką. Zabito mnie. Umarłam. Ale będą starali się namierzyć moje pozostałe skorupy. Szukając mnie mogą namierzyć was. Dlatego już was tu nie ma! – Otworzyła drzwi na oścież.

– Poczekaj... – Ransam ujął jej dłoń. – Co masz na myśli, mówiąc, że umarłaś?

Aia wyglądała teraz na poirytowaną.

– To, co powiedziałam. Słuchajcie bardziej uważnie. Pamiętasz, że mogę się przenosić z miejsca na miejsce? Mam kilka ciał. Jedno zostało zlikwidowane. Uszkodzone. Gdybym posiadała tylko tamto, już by mnie tu nie było. Ale pozostało mi jeszcze pięć egzemplarzy. Nie rób takiej miny... To nie żadne sztuczki ani czary. Jestem maszyną. Androidem. Mam zapasowe ciała. Składałam się z kilku kopii. Dotarło?

Mówiła coraz głośniej, starając się wyrwać dłoń. Ransom przytrzymał ją w swoich.

– Co chcesz zrobić?

– Muszę wrócić do Klanu Psa. Potrzebuję ich pomocy... Wiem też coś, co pomoże im...

– A później?

– Później... Przywrócę ustawienia fabryczne wszystkich androidów.

– Mów jaśniej... – Ransom złapał ją za ramiona. – Co chcesz zrobić?

– Pozbawię androidy świadomości. Wyślę impuls.

– Nie. Nie rób tego... Może jest jakiś inny sposób. Możemy walczyć. – Zamknął ją w uścisku, a głos mu się łamał. – Nie chcę, abyś odeszła...

– Cieszę się, że cię poznałam – wyszeptała i opadła bezwładnie w jego ramionach.

Obudziła się w jednym z ciał, które, jak uznała, było najbliżej Klanu Psa. Nie było czasu na powrót rokonem. Jedno z ciał musiało zostać w Centrum, aby odpalić impuls. Teraz należało dotrzeć do Klanu Psa. Więc biegła. Jej wytrzymałość z pewnością miała swoje granice, ale nie musiała się szczególnie oszczędzać. Już niedługo.

Udało się jej dotrzeć na miejsce nieco po południu. Zrezygnowała ze wparadowania do wioski głównym wejściem. Obeszła całą osadę, kryjąc się w krzakach i wspinając się na gruz. Tą drogą dotarła do domu Majtrejów. Nie chciała wchodzić do środka, bojąc się, że przyłapią ją rodzice Machdika. Starła się go wywabić, rzucając kamyczkami w okno. Jego pokój wychodził na część osłoniętą krzakami. Za którymś razem ujrzała go w oknie. Jak dobrze. W przeciwnym razie musiałyby czekać nawet do wieczora na jego powrót. Chłopak zniknął z widoku i kilka mechanicznych oddechów później ujrzała go wybiegającego zza węgła.

– I co? Udało Ci się? Dotarłaś? Dowiedziałaś się czegoś...? – wyrzucił z siebie potok pytań.

– Ćśś. Chodź, trzeba pomówić.

Oddalili się od domu i weszli do jednego z niezamieszkałych budynków. Tutaj tylko ściany i strop parteru ocalały. Reszta zawałiła się i dom powoli zarósł chwastami.

– Udało mi się dotrzeć do elektrowni i znalazłam to, czego szukałam, a nawet więcej. Rokon tam jest, później poproszę, aby ktoś wam go dostarczył albo... Mniejsza o niego. Jeśli się uda...

Machdik, wasza klątwa... Mam pewną teorię i jest to bardzo ryzykowne, ale jeśli się to sprawdziło...

– Aio, powoli, trudno mi złapać twoje myśli. Skaczesz nimi jak świerszcz w trawie. Pozwól mojej durnej głowie to zrozumieć. Po kolei.

– Dobra. – Wzięła oddech z przyzwyczajenia, tylko aby się uspokoić i poukładać myśli. – W Mieście jest energia. Była od zawsze, ludzie z niej korzystali i korzystają nadal. Po to jest elektrownia. Energia to jest światło, ciepło, pobór wody... wszystko to bierze się z pyłu. To niesamowite źródło energii i w zasadzie nie chodzi o jego wytwarzanie, tylko pobieranie. Kiedyś, gdy w elektrowni pracowali normalni ludzie, jeden z naukowców uznał, że jeśli skondensować siłę pyłu, jego wydajność przekroczy wszelkie ludzkie pojęcie. Tak też się stało. Przez jego nieostrożność nastąpił krótki wybuch. Krótki, ale destrukcyjny w skutkach, bowiem działał przede wszystkim na skomplikowane struktury, głównie organizmy żywe i martwe. Siła wybuchu zasadzała się na tym, że zmiany dokonujące się w ludziach, zwierzętach, nawet maszynach pozwalały na niekontrolowany rozwój. Rozwój czegoś. W środku, w nas, w ludziach... Ale te zmiany postępowały i były zbyt agresywne, więc naukowcy wywołali kolejny impuls, który miał to wszystko zatrzymać. Wy nazywacie to Pocałunkiem Boga – czas, kiedy wszelkie zmiany zostały powstrzymane i wszystko się ustabilizowało. Przeciwimpuls objął jedynie obszar Miasta, w dodatku ocalałych było niewielu, bo część zginęła już od siły pierwszego impulsu. Część defektów była potworna i wielu zabiła. Część stworzyła lub uaktywniła umiejętności, które były ukryte głęboko w mózgu bądź w potencjale komórkowym. Mniejsza o szczegóły, sama tego dobrze nie rozumiem. Jedno stało się dla mnie zrozumiałe i to jest istotne w tej chwili. Klątwa Klanu Psa jest spowodowana nie przez pierwszy impuls, a przez drugi...

– Mylisz się... Drugi nas uratował... – zaczął odruchowo Machdik, ale Aia pokręciła głową.

– Nie, drugi zahamował, zablokował to, co działo się w waszych umysłach. Uważam, że specyfika waszego defektu pozwoliłaby na przełamanie tej bariery, sami jednak ją pogłębiacie. Machdik... demony... to tylko wytwór twojego umysłu.

Chłopak prychnął ironicznie.

– Mowa! Może i tak, ale gdybyś sama zobaczyła tę zgraję...

– Nie, nie tak... Posłuchaj. One tam są, ty je widzisz... ale to nie są demony. To pył.

– To znaczy?

– Pył. Moc. Manifestacja tego, co może dostrzec wasz umysł... Każdy umysł klanu Psa widzi pył i może na niego wpłynąć.

Machdik zaśmiał się krótko, ale umilkł speszony poważną, spokojną miną przyjaciółki.

– Jak to: wpłynąć?

– Można pokonać klątwę. Musisz zapanować nad demonami, zamiast uciekać... każ im... Cokolwiek. Kiedyś to potrafiłeś. Sam mi to opowiadałeś.

Machdik przez chwilę milczał, nie mogąc połączyć się, o czym mówi dziewczyna. Wreszcie przyszło mu na pomoc jego własne wspomnienie.

– Byłem małym dzieckiem i wyszedłem za bezpieczny teren wioski...

– Nie ma czegoś takiego jak bezpieczny teren. Wymyśliliście to sobie. Tutaj trzymacie demony na dystans, bo jesteście przekonani, że wam nie grożą, i tak jest.

Machdik zamarł, wpatrując się bez słowa w dziewczynę. Jakby próbując wysledzić najmniejszą oznakę kpiny bądź zwątpienia... Ale Aia sprawiała wrażenie spokojnej i nieugiętej. Nie. Nie kłamała.

– Boję się – przyznał. – Pójdiesz ze mną?

Kiwnęła głową i podała mu rękę. Przeszli na skraj wioski, tam, gdzie klan oznaczył granicę.

– Co mam robić?

– Może wyobraź sobie, że przyzywasz te demony do siebie, a potem siłą umysłu trzymasz na dystans...

Chłopak skrzywił się, ale po namyśle postąpił krok na przód, a potem drugi. Szli powoli, jakby to była jakaś dziecięca wyliczanka, gdzie każdy krok odpowiada jakiejś literce lub cyfrze – odmierzali kolejne centymetry zdobytej ziemi. Machdik zaczął się marszczyć i pocić. Niemal nie mrugał, zaciskając szczękę, a prawą dłoń na dłoni Aii. W końcu zatrzymał się i zaczął cofać.

– Nie... nie mogę... Aio... Nie mogę. One tu są, widzą mnie... Aio, nie karz mi...

– Machdik. Spokojnie. Jestem tu. To nie jest ich ziemia. One w ogóle nie są... To nie psy! Wyglądają inaczej. Tak naprawdę... to są... To są nici! Dużo kolorowych nici. Włóczka. Robi się z nich hafty do waszych ubrań.

– Jasne... – wycedził przez zęby. Trwali chwilę w zawieszeniu. Machdik czerwieniał się z wysiłku i stękał. W końcu dodał z trudem, przez zaciśnięte gardło: – Próbuje... nici. Te nici też chcą mnie dopaść, Aio... co mam robić?

Panikował, ale już nie był człowiekiem spadającym w przepaść. Teraz był człowiekiem, który wisi, trzymając się jedną ręką na krawędzi.

– No to... Wpuść te nitki... to tylko włóczka, nie zrobi ci krzywdy, chce się z tobą dogadać.

Machdik zrobił kolejny krok w tył, a później krzyknął i zgiął się w pół, chwytając za głowę. Dziewczyna patrzyła na to ze zgrozą w oczach... po chwili jednak chłopak wyprostował się i powiodł zdumionym spojrzeniem wokół.

– I co? – Aia niepokoiła się. – Co widzisz, Machdiku, w porządku? Co się dzieje?

– Jestem na zewnątrz – oznajmił spokojnie i jakby dziwiąc się własnym słowom. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Aio, jestem na zewnątrz! Jestem tu! Wyszędłem! Nic mnie już nie goni.

Aia z ulgą usiadła wprost na suche liście. Machdikowi spełzył uśmiech z twarzy.

– Nie byłeś wcale pewna.

– Nie – odparła słabo. – Miałam silne przeczucie i całkiem niezłą teorię. Wybacz, że cię naraziłam...

– Nie żartuj. To najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić... Aio... Aleś wymyśliła z tymi nitkami. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Ze wszystkich rzeczy, o których pomyślałam, że mogłyby być niebezpiecznie, kolorowe nici brzmiały najbardziej absurdalnie... No i jakoś tak silnie kojarzą mi się z waszą wioską.

– Nici? Nieważne, w każdym razie skutkuje. Co teraz? Pokażemy się reszcie?

– Jeszcze chwilę... Chciałabym, abyś spróbował czegoś jeszcze... Te nici... widzisz je?

– W zasadzie... tak. Są tu cały czas, ale wyglądają tak naturalnie, że kiedy się nie skupię, to wcale ich nie dostrzegam.

– Spróbuj... Nakazać im coś.

– Co?

– Coś, cokolwiek. Pobaw się w czarodzieja... O rany... – Przewróciła oczami i zmarszczyła czoło w namyśle. Machdik dopiero teraz ujrzał w niej znajomą Aię. Dotąd była sztywna, spięta i jakby obca.

– Stwórz obrazek, jakąś rzecz, hologram... iluzję? – Podsuwała kolejne słowa, licząc, że zrozumie, o co jej chodzi. – Nie mogę uwierzyć, że ludzie w przyszłości nie znają podstaw fantasy... Uch, dobra, to może... – Podniosła kamyk. – Zamień ten kamień w szklaną kulkę.

Machdik zagapił się w kamyk ze skupieniem i przez dłuższy czas nic się nie działo. Wreszcie, gdy Aia straciła nadzieję i zaczęła wymyślać coś na zastępstwo, kamyk rozpadł się i ze środka wyturlała się mała szklana kulka z pęcherzykami powietrza w środku.

Oboje milczeli przez moment, kontemplując zjawisko, a gdy ich oczy się spotkały, wybuchnęli niepohamowaną radością.

– Udało się! Widziałas, zrobiłem to! Niesamowite... Sądziś, że cały Klan Psa to potrafi?

Aia pokręciła głową, uśmiechając się szeroko.

– Sądzę, że potraficie wszyscy znacznie więcej. Wiedźma tylko udawała, że ma moc, a jej rodziny zapewne nawet nie tknął impuls. Należeli do elit, w końcu było ich stać na androidy. Torelli sam mi to powiedział. Ale wy... Możecie nakazać materii się zmieniać, tworzyć światło

i ciepło, wspomagać naturę w rozwoju... – przerwała, widząc, że Machdikowi zakręciło się w głowie. – Dajesz radę? – Podparła go ramieniem.

– Taa... Trochę się zmęczyłem.

– Bądźmy ostrożni... Na pewno taka zabawa wpływa na energię ciała... To w sumie też trochę uspokajające, nie jesteście wszechpotężni.

Machdik przysiadł obok na kupce cegieł, Aia pochyliła się zaglądając mu w twarz. Znów spoważniała i wróciło wrażenie smutku.

– Hej, co się stało? Czym się martwisz?

Uśmiechnęła się blado.

– A wyglądam na zmartwioną?

– Tak. Zdecydowanie. I przemęczoną.

Roześmiała się krótko, szczekliwie.

– To dobrze. To brzmi... pocieszająco. – Uśmiechnęła się szerzej. – Chodź. Może przejdziemy się do Klanu Drzew?

Machdik zrobił okrągłe oczy, ale zaraz rozpromienił się jak jutrzienka. Wstał energicznie i podał Aii ramię.

– Pani pozwoli.

– Przyznaj, po prostu kręci ci się jeszcze w głowie.

– Wykluczone. Teraz, moja droga Aio, wybraniec wyzwoli wioskę.

Szli okrężną drogą, krusząc suche chwasty pobielone szronem. Powietrze było mroźne, lecz przyjemne. Z ust obojga unosiła się para. W dodatku chłopak radował się z każdym krokiem coraz bardziej i entuzjastycznie patrzył w szare skłębione niebo. Demony przestały go ścigać i mógł spacerować za granicami wioski równie swobodnie, co w ich obrębie. Opisywał, co widzi i jak układa się włóczka sugestywnie wymyślona przez Aię. Była reprezentacją pyłu, a może po prostu inwencją twórczą Machdikowego umysłu.

Szli ścieżką do Klanu Drzew, rozmawiając o tym, jak zareaguje Klan Psa po ich powrocie, a także co uda się zrobić z odkrytą mocą.

Kurtyna z pnączy ukazała wioskę Klanu Drzew senną i wyludnioną. Tylko z chat unosił się dym i czuć było zapach pieczeni i ziół. Aia przeszła pewnie przez plac, kierując się do chaty Zeraha. Była tu kilkakrotnie, przyprowadzając wybranych wysłanników innych klanów. Każdy musiał być wcześniej zaakceptowany przez Zeraha i zobowiązany do trzymania w tajemnicy położenia klanu. Machdikowi zdarzało się przyjechać do klanu Drzew na rokonie, ale wizyta była zawsze tak krótka, że nigdy nie mógł się rozejrzeć. Teraz oczy chodziły mu wokół głowy.

– Dzień dobry, Aio, co cię sprowadza do... Na zielone pędy mej ukochanej żony. Czy to syn Majtrejów?

– Tenże sam. – Chłopiec skłonił się teatralnie, pozostawiając Zeraha w osłupieniu.

– Ale jakim cudem? Czy czujesz się dobrze, chłopcze?

– Jak najlepiej. Zły czar prysł, klątwa została zdjęta.

Zerah, nie wiedząc co z sobą począć, uściskał Machdika i samą Aię, po czym zwołał sąsiadów, którzy wychodzili ospale z ciepłych domów, nie od razu orientując się, o co chodzi.

– Zerahu, czy możemy się zobaczyć z rosnącymi?

Mężczyzna uniósł brwi ciut zaskoczony.

– Proszę, nic nie stoi na przeszkodzie.

– Klątwa blokowała prawdziwe zdolności ludzi z Klanu Psa – rzekła Aia i wyjaśniła wraz z przyjacielem, co odkryli i co się wydarzyło.

Ludzie przed domem Zeraha zbierali się coraz liczniej. Aia przywykła już, że pojawiając się, wywoływała sensację w wiosce. Mieszkańcy zazwyczaj reagowali na wszelkie nowości, zbijając się w stado i wyczekując intrygujących wieści.

– A więc to nie Wiedźma zasilą Miasto w energię?

– Nie. Ponadto ona sama jest raczej niegroźna. Nie sądzę, aby pozbawiona opieki androidów mogła działać cokolwiek złego. Należy jedynie unieszkodliwić maszyny. – W głosie dziewczyny pojawiła się znów ta beznamiętna, stalowa nuta.

Jej słowa wywołały poruszenie. Klan Drzew był wyraźnie zaniepokojony.

– Ależ... Rozumiem unieszkodliwić... Czy zamierzacie... Czy ruch oporu zamierza z nimi walczyć?

– Nie. Wcale nie zamierzamy się do nich zbliżać. Należy po prostu przywrócić poprzedni stan rzeczy... zrestartować... Mam na myśli...

– Rozumiemy, chcecie odebrać im zdolność świadomego myślenia, czy tak?

– Właśnie.

Znów szept i pomruki.

– To będzie zabójstwo, moja droga. Pozbawienie kogoś świadomości na stałe to zabójstwo – powiedział miękko Zerah, przewiercając Aię spojrzeniem. Uciekła wzrokiem.

– Może. Ale oni są zagrożeniem. Są niebezpieczni i szkodliwi.

Przywódca Klanu Drzew nic nie odpowiedział, tylko wskazał im drogę do części, gdzie drzemali zimowym snem rosnący. Aia wiedziała którądy iść, ale Zerah wyraźnie chciał im towarzyszyć. Kilkoro mieszkańców w milczeniu powędrowało za nimi.

Machdik nigdy wcześniej nie był w tej części wioski. Nie mógł pohamować ochów i pomruków, gdy obchodził ostrożnie zasadzonych w ziemi przodków klanu.

– Oni żyją... Widzę, jak nici oplatają ich ciała i jak przemieszczają się między sobą. Jakie to wielkie... A tam! Coś się tam przekształca... Tam w głębi dzieje się szybciej, tu na górze są bardzo powolni.

Zerah pozwolił mu dotknąć kory, młodych pędów i gałęzi. W pewnym momencie Machdik zrobił taki ruch, jakby coś wyciągał. Robił to w skupieniu, ale w końcu zachwiał się i musiał przyklęknąć.

– W porządku, w porządku. Po prostu szybko się męczę. Chciałem spróbować wziąć kawałek tego, co między sobą przesyłają. Mam to! Aio, wiesz, przeskoczyło na mnie. Mogę to przesunąć dalej... Tylko sobie chwilę odpocznę. Zimno tu. Możemy na chwilę usiąść gdzieś w cieple?

Przenieśli się do domu Zeraha, a ktoś z sąsiadów przyniósł ciepłej polewki i poczęstował chłopca. Aia odmówiła. Z przekrzywioną głową słuchała rozmowy Zeraha i Machdika.

– Więc reszta wioski jeszcze nie wie?

– Najpierw chcieliśmy sprawdzić, jak to działa, żeby się upewnić, że objawy klątwy nie wrócą. Ale czuję się dobrze.

– Trochę to nierozsądne. Powinieneś uprzedzić ojca.

– Wiem... może trochę. Ale zaraz zaniesiemy dobre wieści.

– Cieszę się niezmiernie. – Zerah uśmiechnął się ciepło, a siateczka zmarszczek na widocznej części jego twarzy przemieściła się. – Z rana może pošlemy kogoś do innych klanów z wieścią. Powinni wiedzieć.

– Z tym się wstrzymajmy do czasu, gdy wypowie się rada. Może pójdziesz razem z nami?

– Dziś już jest za późno. Zresztą rzeczywiście wasz klan będzie musiał najpierw sam się uporać z tymi zmianami. Natomiast z rana spodziewam się wizyty posła z Klanu Bliźniaczych Serc. Jeśli przybędzie, możemy złożyć wam podwójną wizytę.

– Zgoda, uprzedzę ojca i radę wioski. Myślę, że trzeba będzie posłać kogoś do Nocnych Wędrowców i Śpiewającej Rodziny.

– Moim zdaniem priorytetem jest Klan Wiecznego Ognia. Oni mają największy problem. Może wasza moc mogłaby temu jakoś zaradzić?

– Trochę się boję ingerować w czyjeś ciało. Nie wiemy jeszcze, czy w ogóle się da.

– Gyuri Saz ze Wschodniego Węzła mawiał, że rozgrzany silnik trzeba schłodzić. Można najpierw spróbować na materii nieożywionej.

Rozmawiali tak wymieniając się pomysłami, aż zapadł zmrok. W końcu Aia zarządziła, że czas wracać. Wierzyła, że poszukujący jej nie odnajdą tak łatwo, zwłaszcza w rozproszonych zakątkach klanów. Ale każda godzina zwłoki mogła narazić jej przyjaciół w Centrum. Machdik, wyszedłszy przed dom, skupił się i wyciągnął przed siebie rękę czyniąc gest jakby sypał sól. Po chwili wewnątrz jego dłoni rozjaśniło się delikatnie, jarząc niczym lampa. Chłopiec nieco się spocił, ale wyglądał na zadowolonego.

– To jest to, co wyciągnąłem z drzewa. Tylko troszkę. Będzie nam oświetlało drogę powrotną.

Ruszyli żwawo do domu. Machdik szedł pierwszy, oświetlając dłonią ścieżkę. Tym razem nie musieli się kryć. Szli prosto w stronę bramy.

– Machdik. Poczekaj. – Aia przytrzymała go za ramię.

– O co chodzi? Martwisz się o tego rokona? Wy tłumaczmy im. Jak zobaczą to – pomachał dłonią – zapomną o sprawie...

– Nie, nie o to chodzi... – Dziewczyna zorientowała się, że w wiosce zostali dostrzeżeni. – Widzisz ja... Muszę wrócić do Centrum. Opowiedz wszystko radzie wioski i reszcie.

– To opowiedzmy razem...

– Nie będę odbierała wybrańcowi chwały. – Uśmiechnęła się lekko. – Czas nagli... będziecie wiedzieli, co robić.

– Dzięki. – Machdik objął ją i uściśnął mocno.

– Ja też dziękuję. – Ktoś zdecydował się wybiec na zewnątrz. Domyśliła się, że chcą ściągnąć Machdika z powrotem w bezpieczny obręb wioski. Pewnie Demir. Uśmiechnęła się. – Trzymaj się.

I opadła bezwładnie na ziemię.

Machdik patrzył na jej ciało, bezwolne jak kukła. Zazwyczaj starała się leżeć bądź siedzieć, gdy się przenosiła, ale zdarzało jej się gruchnąć na ziemię właśnie tak. Ale tym razem ten widok jakoś nim wzdrygnął. Trochę jak za pierwszym razem, gdy opadła bez życia i leżała w jego domu. Ukląkł i dotknął jej dłoni prędko tracącej ciepło. Nici jej ciała przestały przypominać te otaczające jego własne czy płaczące się wzdłuż pni drzew.

Na skraju wioski babka Szechna odwróciła wzrok.

Jedno ciało leżało pod szklaną trumną w Klanie Bliźniaczych Serc. Pozostałe dwa leżały ukryte w pobliżu innych klanów. Pierwsze we Wschodnim Węźle. Wyszła z ukrycia i położyła się na skraju wioski. Rano ktoś ją może odnajdzie. Może sprytny Gyuri Saz albo wesola Edina Fehér, albo młody Vili Halász, który ostatnio został czempionem w zawodach... Poznała tu niezwykle

pogodnych, energicznych ludzi. Wolą by w razie czego wydano milicji skorupę jej ciała. Poszukiwania pozostałych egzemplarzy w przypadku niepowodzenia mogłyby być katastrofalne, dla mieszkańców. Nie będzie tęsknić. Androidy nie tęsknią. Nie ma łyzy do otarcia ani ukłucia w sercu.

Drugie ciało chciała zostawić Nocnym Wędrowcom, ale mogło zostać znalezione zbyt prędko. Pobieгла więc w okolice osady ślepców ze Śpiewającej Rodziny. Zajął jej to trochę czasu i zapadła głębsza noc. Było jej to na rękę. Dla Śpiewającej Rodziny nie było wielkiej różnicy – noc czy dzień. Ciemność nie sprawiała problemów. Ale kiedyś trzeba spać. O tej porze raczej nie zapuszczali się zbyt daleko. Położyła się na głównej drodze wiodącej do wsi. Przypomniała sobie samotną szopę, z której wydobył ją Anaru i jego towarzysze ze Śpiewającej Rodziny. Ciekawe czy to jej twórca, jej ojciec, Alan T. Ring, zaniósł ją tam i ukrył osiemdziesiąt lat temu. Z oddali dobiegł przytłumiony śpiew. To klan musiał zebrać się w swojej sali i teraz posyłał jej w mrok kołysankę. Śpij, Aio, już niedługo.

Przeniosła się do Czuwających. Mimo późnej pory chciała porozmawiać z panem Wynnem. Obudzi go i pożegna się krótko. Noc sprzyjała, dzięki temu mieszkańcy może jej nie wyczują. Po co robić sensację? Ktoś im kiedyś wytłumaczy. W końcu to, w co wierzyli, wcale nie musiało być błędne.

Wyszła ze świątyni, ostrożnie uchylając odrzwia. Droga wolna. Potruchtała, chowając się na tyłach budynków, pod ścianami, w półcieniach i odnalazła właściwy dom. Weszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Coś było nie tak. W domku, i tak skromnym, jakby zabrakło kilku sprzętów. Półki były wyczyszczone, stół pozbawiony zastawy, kotara przy łóżku zasunięta. Zajrzała tam, gdzie spodziewała się spotkać starszego pana. Pusto. Łóżko było ogołocone z pościeli. Usiadła ciężko na brzegu, chowając na chwilę głowę w dłoniach. Staruszek zmarł i jego dom posprzątano. Skuliła się na łóżku i tak już pozostała.

Wróciła do Centrum. Ostatnie miejsce. Uniosła się na łokciu. Znajdowała się na jakimś strychu. Rozejrzała się. Ktoś spał nieopodal zawinięty w budy koc. Wychyliła się dostrzegając ciemną czuprynę. Karan. Więc posłuchali jej i przenieśli się. Dobrze. Nieco dalej leżała Hiiri. Pod oknem na blacie stolika bez nóg porzucano papiery. Wstała ostrożnie i przyjrzała się im ostrożnie. Plany Zamku Wiedźmy, wnioski, pozwolenia, pomiary, plany domu. Obróciła jedną z kartek czystą stroną w górę. Chciała napisać im, aby odwiedzi Klanowi Psa rokona. Oby zostało jeszcze paliwo w baku...

– Ładnie to tak skradać się po nocy?

Aia wzdrygnęła się i odwróciła jednym ruchem. Jej bezszelestne poruszanie się było niczym w porównaniu do umiejętności Hiiri.

– Trochę mi zleciało. Ale już wychodzę – szepnęła w odpowiedzi.

Hiiri nic nie powiedziała, tylko podeszła bliżej. Aia przybrała obojętny wyraz twarzy.

– Przy elektrowni, schowany, stoi rokon. Narysuję mniej więcej gdzie. Mam prośbę, trzeba oddać go do Klanu Psa.

– A nie możesz sama tego zrobić?

– Nie bardzo. Nie sądzę.

Wojownicza ruchu oporu pokiwała głową. Stały przez chwilę w milczeniu, nie patrząc na siebie. Wreszcie Hiiri podeszła i objęła Aię. Krótco, niezręcznie.

– Gdyby jednak nie wypaliło... To wracaj.

– Nie ma takiej...

– Tak tylko mówię. – Hiiri przez chwilę wydawała się speszona i smutna. Ale tylko na moment. Podała jej krótki ołówek. – No to rysuj tę mapę.

Obejrzały się jak na komendę gdy Karan zamruczał cicho. Aia nie zwlekając nakreśliła kilka słów i uproszczoną mapę.

– Idź już – powiedziała Hiiri, a głos zdawał jej się drżeć. Może przez szept.

Uchyliła okno wskazując bezpieczne przejście kocią ścieżką po dachach. Aia bez słowa podążyła tą trasą. W Mieście roilo się od milicjantów i patroli. Nie miała wątpliwości, że jej szukali. Musiała w dwu miejscach nakładać drogi, aby nie dać się dostrzec. Czasami kulila się za kominami, czekała rozplaszczona zamierając aby nie zdradził jej śpiący ptak. Raz zeszła z dachów, bo byłoby ją widać z przeciwnego okna, gdzie zupełnym przypadkiem zauważyła obserwatorów. W pewnym momencie znalazłszy się na dole doszedł ją odgłos zbliżających się kroków. Rytmiczny trucht kilku par butów. Natychmiast padła na ziemię i wczołgała pod samochód dostawczy. Biegący zatrzymali się przy aucie, jednak wkrótce rozdzielili się zostawiając tylko jednego ze swoich. Aia widziała wszystko z dołu. Buty milicjanta miała tuż przed nosem. Odczekawszy chwilę aż ścigający oddalą się na stosowną odległość złapała mężczyznę za kostki i pociągnęła z taką siłą, że stracił równowagę. Mimo, że zaparł się odruchowo ramionami i tak uderzył czołem w asfalt. Zamroczyło go. Aia wykorzystała to aby wyturlać się spod podwozia. Wskoczyła okrakiem na przeciwnika i jeszcze raz rąbnęła jego głową o ziemię. Liczyła, że jest jednym z androidów. Nie był. Ciemna lepka ciecz rozlała się spomiędzy palców dziewczyny ściskających głowę mężczyzny. Podziękowała w duchu swemu ojcu, za brak odruchu wymiotnego i wcisnęła mężczyznę na swoje miejsce pod samochód. Rozejrzawszy się czy nikt nie nadbiega znalazła odpowiednie wejście i wspięła się ponownie

na dachy. Do tej pory nie wiedzieli gdzie się znajdowała. Jediną poszlaką był opuszczony dom. Pozostawiony trup będzie kolejnym śladem. Nie miała wątpliwości, że towarzysze niedługo go znajdą. Czas jakby przyspieszył. A podróż dłużyła jej się niesamowicie. I ten rosnący niepokój. Pluła sobie w brodę, że tyle czasu zmarnowała w Klanie Drzew.

W końcu jednak dotarła. Najbardziej się obawiała, że budynek będzie obserwowany i spróbują ją zgarnąć właśnie tam. Wyglądało jednak na to, że Torelli i reszta nie wpadli na jej tok myślenia.

Elektrownia, jak zwykle najslabiej oświetlona, ziała ciemnością wnętrza. Rzut oka na Zamek Wiedźmy. Tam światła aż roztaczały łunę. Kto zamieszka tam, gdy ludzie odkryją, że Zamek opustoszał? Czy Eco ucieknie? Czy rozpoznają w niej Wiedźmę? Czy dziewczynka będzie miała na tyle rozsądku, aby nie dać się zabić? Będzie miała swoją szansę. Aia oszczędziła jej już raz życie. Co miałoby sprawić, że oszczędzi je po raz drugi? To nieważne. Weszła do środka przez pozostawioną przez siebie dziurę w oknie i rzekła ciemności na głos:

– Pozostała już tylko jedna rzecz do zrobienia.

– No ja myślę – znajomy głos odezwał się tuż przy jej uchu. Doprawdy nigdy ruch oporu nie miał gorszego szpiega, skoro już drugi raz dała się tak podejść. Chciała się odwrócić, ale dwie dłonie przytrzymały ją. Poczuła ciepły oddech na karku.

– Teraz już chyba nie będziesz uciekać, prawda?

– Nie. Teraz już jestem prawie u celu. Puść mnie, Ransom.

– I co wtedy? Puścisz ten swój impuls i myślisz, że wszystko będzie w porządku?

– Nie. Ale będzie lepiej.

– Tak? A co z Charlesem, lokajem Dziadka? Co z panem Blumenthalem? Jak myślisz, długo pociągnie bez swojego sługi?

– Pomożesz mu. Charles... To tylko maszyna. Tak jak ja.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda.

– Co nieprawda? Nie mam uczuć, Ransom. Mam tylko wgrany program. Mam ścieżkę zachowań. Algorytmy potencjalnych emocji, które zdaniem mojego twórcy powinnam odczuwać. To nie są prawdziwe emocje. To tylko taki trik. Nazywa się to postęp.

– Głupia jesteś, wiesz? Ludzie mają tak samo. Każdy z nas taki jest. Nami rządzą stres i hormony, lęki i odchyły... Działają na nas narkotyki i... i... wiesz, co jeszcze? Miłość! To wszystko jest równie zmyślane. Ale mam w nosie czy ktoś to zaprogramował, czy zrobiła to natura, genetyka, nieznany bóg czy geniusz naukowiec. Rozumiesz? Nie obchodzi mnie to! – załkała.

Gdyby mogła, też by zapłakała. Ale nie pociła się, nie płakała, nie miała kataru. Temperatura jej ciała była powodowana temperaturą pracującego mechanizmu. Skurcze i wzdrygnięcia były imitacją prawdziwej reakcji organizmu na zaskoczenie. Nie czuła ucisku w żołądku, który mógł gromadzić pokarm, ale go nie potrzebował. Nie kołatało jej serce – pracowało swoim równym, sztucznym rytmem wzmagany jedynie trochę przez intensywny ruch. Nie drżały jej ręce, nie sztywniało ciało.

Ale i tak czuła. Nie tak jak ludzie. Ale odbierała to na swój sposób jako żal i radość, smutek i ulgę. I było tego tak wiele, że zrobiła to, co robili ludzie. Pocałowała Ransama. Dzięki temu uspokoiła się trochę. Dzięki temu mogła odwrócić się i pójść wprost do pokoju z ośmiokątnym panelem, gdzie osiem komputerów chwilę później przetrawiało polecenie, jakie przesłała, kopiując dane ze swojego chipu. Osiem monitorów wyświetliło komunikat, który prosił o potwierdzenie chęci wykonania akcji. „Tak” – kliknęła. I zamarła.

EPILOG – Miasto

Ransam stał przez chwilę oparty o deski przesłaniające okno i powstrzymywał suchy szloch. Nie chciał tam iść. Nie chciał widzieć, jak umiera. Jak ginie jej świadomość. Czekał, czując się z każdą chwilą gorzej. Nakazywał mu to egoizm. Należało być tam. Niekoniecznie trzymać ją za rękę. Ale choćby być obok. „Zrobiłaby to i tak, sama” – usprawiedliwiał się. I nie mógł.

Czas leciał, a do uszu Ransama nie dochodził żaden dźwięk. W końcu ruszył śladem światła, jakie roztaczało jedno pomieszczenie zza uchylonych drzwi. Stała tam. Ale wiedział już, że to nie ona. Patrzyła beznamiętnie w przestrzeń. Na ekranach migало: „Proces zakończony. Impuls wysłany”. Nic bardziej oczywistego.

– Aio – spróbował. Zwróciła na niego swoje puste oczy.

– W czym mogę pomóc? – Głos nie ten sam. Powstrzymał mruganiem szklące się znów oczy, które tak go drażniły.

– Usiądźmy sobie.

– Tak jest – oznajmił android dziarsko i przysiadł pod ścianą. – Czy mam coś opowiedzieć?

– Proszę.

– Proszę umieścić chip pamięciowy w porcie. – Wyciągnęła dłoń. Na nadgarstku ukazał się otwór, który sugerował, aby tam umieścić chip.

– Zrób to sama.

Android wstał i wyjął z ośmiokątnego panelu czarny prostokącik, po czym wsadził go do szczeliny na nadgarstku.

– Proces aktywacji danych zakończony.

Aleksandra Kurzawa

Urodziłam się w 1990 r. w Białymstoku, lecz wkrótce wraz z rodziną przenieśliśmy się pod Zieloną Górę w woj. lubuskim, miasto piękne, przytulne i przyjazne. Moi rodzice to niezwykle twórcza para, która zaszczepiła mi zamiłowanie do literatury, a szczególnie do szeroko pojętej fantastyki. Gdy miałam 6 lat do poduszki czytany był mi Tolkien, a niedługo później Sapkowski czy Strugaccy. Wspierana przez rodziców z przyjemnością zatapiałam się w różnorodnych zainteresowaniach. Trudno mi było wybrać tylko jedną dziedzinę, toteż ukończyłam szkołę muzyczną w klasie skrzypiec, a zielonogórska uczelnia uczyniła mnie magistrem z malarstwa i filologii polskiej. Po licencjacie z Edukacji Muzycznej założyłam firmę, w której uczę podstaw gry na skrzypcach, a w wolnych chwilach prowadzę zajęcia z jazdy konnej. Pasjonują mnie języki, mam bzika na punkcie zwierząt, kocham się w górach i podróżach, Od lat pisałam do szuflady i wyjąwszy wydany niewielkim nakładem tomik poezji pt. „Rzeczy oczywiste”, powieść „Sen” stanowi mój debiut.